

**WIELKOPOLSKA
POZA POZNANIEM**



**WIELKOPOLSKA
POZA POZNANIEM**

REPORTAŻE Z REGIONU

**SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA
WIELKOPOLSKIEGO**





REPORTAŻE, KTÓRE GRYŻĄ

MARCIN KAÇKI

Pytania płyną z ciekawości świata i człowieka. Im więcej pytań, tym świat i ludzie bardziej interesujący. Odpowiedzi bywają zwodnicze, pokrętne albo podejrzanie proste. W tomie *Wielkopolska poza Poznaniem. Reportaże z Wielkopolski* pytania mnożą się jak szarańcza.

Po co ludziom światło, kiedy śpią, a niebo takie piękne i czy za patrzenie w niebo można dostać nożem w plecy? (*Pradawna chęć paleniska*). Takie postawienie sprawy pobudza jak mocna kawa. Połykamy łapczywiej, chcemy więcej, wskakujemy w tekst po szyję i płyniemy za pytaniami, a odpowiedzi rozgarniamy na boki.

Gdy reporter pyta, świat wydaje się bardziej skomplikowany, mniej oczywisty, a czerń i biel pokrywają odcienie szarości. Może chodzić o banalny los jednego człowieka, wtedy padają pytania budzące niepokój. Co się stało z rodzeństwem tego człowieka? Dlaczego dał obcemu dolary? Dlaczego Stefania nie chce rozmawiać o życiu przed wojną? Czasem są to zagadnienia bolesne, zahaczające o minione dzieje: co robiono kobietom, gdy wyzwalano Poznań? Innym razem tragiczne, podszyte gorzką ironią: dlaczego Marianna i Jan zginęli w drodze na pogrzeb, i dlaczego akurat ich taksówkarz musiał być pijany? (*Pradziadek z archiwum. Jak odszukać to, czego nie zapisano...*).

Najbardziej lubię pytania, które nie pozwalają zasnąć, bzzyczą nad uchem jak głodny komar, a potem gryzą bez pardonu. Goi się to trzy dni, swędzi, a kiedy zaczniesz drapać... nie ma końca. U mnie ciągle zabliznia się ślad po pytaniu: co napisała Konstancja do męża, o którym myślała, że nie żyje, gdy obok siedział już drugi mąż? (*Pradziadek z archiwum. Jak odszukać to, czego nie zapisano...*).

Czasami trafiają się pytania, które ciągną za rękę, są jak kryminalna zagadka np. dlaczego ludzie mają problem, żeby wyjść z kina? (*Muza – mój drugi dom*). Nie żebym lubił kryminały, prawdziwy kryminał mnie nie nęci: kto zabił, czy uciekł i kogo powieszą? Nuda. W *Reportażach z Wielkopolski* znalazłem historie znacznie ciekawsze. Dlaczego polonista pracuje w laboratorium, które bada krew ofiar i morderców? A puenta (przepraszam za spoiler!) zostawia z pytaniem: jak to możliwe, że Piła została stałą się miastem kryminalistów (*Miasto kryminalistów*). Nie ma kryminalów, którymi nie rzucałem o ścianę po kilku stronach. Męczą mnie wymyślne scenariusze i psychopatyczni (chyba) autorzy, którzy karmią

czytelników gulaszem z własnych lęków, podlanych brutalną, wymyślną przemocą. Życie – reportaż – przynosi zawsze ciekawsze rozwiązania. Co powiecie na historię miasta w Wielkopolsce, które zassała ziemia? (*Wapno tylko dla wapniaków*). Jak to się czyta! Całkiem niedawno zniknęły tam szkoły, kluby sportowe, teatry, ulice, domy, sklepy i ludzie. Żarłem tę opowieść łapczywie aż do ostatniego pytania: czy można wygrać z solą, w której kryształach odbija się ludzka chciwość?

Pogryzieni przez pytania będziecie prosić o plaster, a wtedy jeszcze pani Zofia z przytułku zawoła: gdzie mam iść, skoro jestem niewidoma? (*Dlaczego ja tu jestem?*). I łzy same pociekną wam po twarzy. Jest w tej historii wielkie pytanie – o granice człowieczeństwa, które poznaje się podczas zwykłego nakrywania do stołu, jest też inne, rozbrajające – o wiek, w którym można się zakochać. Podobą mi się odpowiedź: 88 lat.

Łzy wyciśnie też rzekomo bezwzględny Mafia, który po pracy potrzyma żonę za rękę, pogłaszcze dzieci, a gdy spojrzy w stłuczone lustro spyta: tabletki, płyn do mycia szyb, powiesić się czy utopić? Dobra łamigłówka, dla wielu ciągle aktualna (*Mafia*).

Na koniec zostawiam pytania z Kalisza, które pędzą na czołowe zderzenie z rzeczywistością (*Groby*). Dlaczego tamtejszy śpiewak zapala krewnemu, ofierze czystek NKWD, świeczkę ze wstydem, a u sąsiadów – z całym weselnym orszakiem? I dlaczego niedaleko, nad innym grobem, miejscowi Polacy stoją dumnie w tureckich mundurach i ofiarnie pilnują nocami pewnego Żyda?



EGOISTYCZNA
MIŁOŚĆ XXI WIEKU

KAROLINA GAWARZEWSKA



Okropny wieczór. Początek listopada, pogoda kiepska. Wsiadam do małego lupu i jadę dwie ulice dalej. Po co marznąć? Każdego dnia w drodze do pracy mijam cztery stojących przy sklepie chłopców trzymających w rękach browary. Tym razem było tak samo. Godzina 20:00. Dla Grodziska Wielkopolskiego to środek nocy. Sklepy zamknięte. O tej porze możemy zaspokoić pragnienie tylko w sklepach monopolowych. Wszyscy w domu, nikt się nie pokazuje. Ciemno i ponuro, aż strach się bać. Wieczór cichy, za cichy, podobno niebezpieczny. Zawsze może ktoś wyskoczyć zza krzaków. Wolę dmuchać na zimne, dlatego jadę, nie idę.

Grodzisk jest fajnym miastem. Tutaj każdy się zna i wie o sobie wszystko. Ploteczki są uwielbiane i przekazywane komu się da, szczególnie jeśli chodzi o związki. Tak, to zdecydowanie najpopularniejszy temat. Po co żyć swoimi problemami, skoro można żyć problemami sąsiadki?

Małe miasteczko ma swój urok. Idąc na targ, zawsze spotykam znajomych. Czasem tych bliskich, a czasem tych z przedszkola, których nie widziałam masę czasu. W dużym mieście prawdopodobieństwo spotkania znajomego jest zdecydowanie mniejsze.

W każdą sobotę idąc ulicą Szeroką, mijam sklepy, sklepiki lokalnych przedsiębiorców. Uwielbiam pana Janka, który w samym centrum prowadzi klasyczny warzywniak.

– Dzień dobry, pani Karolino!

– Dzień dobry!

– Miło panią widzieć. Może świeże pomidorki? Ogórki też tyle co przyjechały.

– Oczywiście, że biorę. Proszę jeszcze kilogram marchewki.

Zawsze świeżo, pysznie, miło i z uśmiechem na twarzy. Piękno takiej miejsciny.

W powiecie liczącym około 15 tysięcy mieszkańców babcie, dalsze ciotki, znajomi i społeczeństwo nie zostawiają suchej nitki na osobie, która prowadzi podwójne, niezdecydowane życie. Ma drugą żonę, męża, dziecko w terenie, jest kawalerem czy starą panną. Każda z tych opcji to dobry pretekst, by kogoś obgadać. Powiat grodziski rozwija się w niesamowitym tempie. Jest coraz piękniejszy. Mieszkańcy spacerują, dbają o siebie i spędzają czas z najbliższymi.

Szkoda tylko, że rozwija się nie tylko infrastruktura powiatu, ale także plaga rozwodów i niezobowiązujących związków.

Ona i on

– Puk, puk, czy mogę wejść? – delikatne otwarcie drzwi. Uśmiech mówiący „I co ja tu robię?!”. Szybkie rozluźnienie lampką wina. Propozycja dietetycznej sałatki, mały żart, i już wszystko dobrze. Miła, czterdziesto-letnia kobieta usiadła na wygodnej kanapie i powiedziała:

- Cieszę się, że tu jestem. Co chcesz wiedzieć, kochana?
- Co jest najważniejsze?
- Ech... Ja po prostu nie zgodziłam się na życie w trójkącie.

Wolność, brak odpowiedzialności i totalna samowolka. Nowe doznania, próba rozpoczęcia czegoś od początku. To wszystko ekscytuje, podnieca, o tym można myśleć i myśleć. Nie jest łatwo być ofiarą rozwodu lub żyć pod jednym dachem z partnerem i nienawidzić się z całych sił. Osoby, które tego doświadczyły, marzą o spokoju, normalnym życiu, miłości i akceptacji. Ich historie są różne, a zarazem bardzo podobne.

Bardzo utalentowana kulinarnie. Kiedyś grubsza babka, dzisiaj kobieta w rozmiarze 38. Ciemnowłosa Anna wkroczyła niepewnie do mojego mieszkania. Poświęciła karierę, by być z dziećmi w domu. Dawka stresu, jaką otrzymała od męża, sprawiła, że w ciągu pół roku straciła prawie dwadzieścia kilogramów. Ekspresowe odchudzanie bez diety i ćwiczeń, tylko z wykorzystaniem stresu i emocji. To była prawdziwa lekcja życia. Sytuacja zmusiła ją do poszukania pracy. Po kilkumiesięcznych próbach udało się. Pracuje w salonie kosmetycznym – recepcjonistka z prawdziwego zdarzenia. Ponowna nauka pracowania z ludźmi i uśmiechania się do wrednych i trudnych klientów. W jej zmęczonych oczach po całym dniu pracy było widać smutek, lęk i załamanie. Uważa, że świat zszedł na psy, ludzie żyją bez wartości, a mężczyźni nie są godni żadnego szacunku.

Jeden schodek, drugi, trzeci – końca nie widać. Pierwsze piętro, drugie, i nic. W oddali słyszę tylko jakiś głos, który motywuje mnie do dalszej drogi. W końcu dotarłam na trzecie, upragnione piętro. Mieszkanie numer 39. W drzwiach czeka Jakub – uśmiechnięty, zadowolony i jednocześnie niepewny, co go czeka. Zaprasza mnie do

domu i proponuje herbatę z cytryną. Światło włączone tylko w salonie, gdzie mamy rozmawiać. Atmosfera tajemnicza i ekscytująca. Mężczyzna jest tak wysoki, że kiedy wchodzi do pokoju, jego głowa sięga futryny. Przystojny, duży facet. Jego znakiem rozpoznawczym jest rozczulająca szpara między jedynkami. Szczery uśmiech zawsze zdradzał tę słodką niedoskonałość. Pracuje jako koordynator produkcji w państwowej firmie gazowej. Interesuje się informatyką, lubi jeździć na rowerze i, czasami, konno. Każdą wolną chwilę stara się spędzać z Wiktoria – jego obecną partnerką. Jak wygląda jego życie? Przede wszystkim polega ono na udowadnianiu światu, że jest szczęśliwy.

Na początku było małżeństwo

Anna i Andrzej są małżeństwem od osiemnastu lat. Jak na dzisiejsze czasy to bardzo dobry staż. Poznali się na szkolnej imprezie andrzejkowej i zawsze uznawani byli za parę idealną. Życie ich nie rozpieszczało. Ich pierwszy syn urodził się chory, wymagał uwagi i poświęcenia. Do dziś ma problemy z przysadką mózgową. Małżeństwo wspólnie podjęło decyzję – Anna zadba o dom, a Andrzej o utrzymanie rodziny. Nigdy im niczego nie brakowało, uchodzili za szczęśliwych.

– Wiesz... teraz zdrada staje się czymś zupełnie normalnym. Być z jedną osobą to już w ogóle jakieś dziwne, niemodne i nie na czasie. Lepiej bawić się z dużą grupą kochanków.

– Tak myślisz?

– Sama zdrada mojego męża nie była tak straszna, jak propozycja życia we trójkę.

Trudno określić, czy to nowoczesne życie, głupota, czy brak odwagi do zmiany. Anna o zdradzie męża dowiedziała się dzień przed wakacjami. Miały to być jej pierwsze, najpiękniejsze wakacje za granicą z mężem, dziećmi i znajomymi – Michaliną i Stasiem. Czekala na nie cały rok.

Podczas rozmowy ze mną Jakub usiadł na kanapie, oparł łokcie o kolana i patrzył w ziemię.

– Mój związek z Alicją był totalną masakrą.

– Dlaczego?

– Nie znaliśmy się. Nie robiliśmy nic razem. Byłem bardzo nieszczęśliwy.

Kuba nie potrafił żyć ani rozmawiać ze swoją żoną. Codziennie były kłótnie i nieudomówienia, aż pewnego dnia doszło do wyprawki. Później nawet do kilku kolejnych. Kiedy o tym opowiadał, zachowywał się tak, jakby ktoś odebrał mu połowę życia. Z żoną ma dwóch synów. Pierwszego w wieku siedmiu lat, a drugiego – zaledwie trzech. Był dla żony oschły i nie okazywał uczuć. Czasami wręcz obwiniał dzieci za całą sytuację, bo gdyby nie one, byłby wolnym człowiekiem i nic by mu nie ciążyło. Teraz zaczął życie na nowo z inną kobietą i żałuje tego, co wydarzyło się w przeszłości. Codziennie kładąc się do łóżka, powtarza: „Gdybym nie miał dzieci, byłoby łatwiej”.

Nowa miłość, nowe życie

Mąż Anny oszalał na punkcie innej kobiety. Zakochał się, i to w najbliższej przyjaciółce Anny. Tej, której powierzyła niejedną tajemnicę.

W jego sercu jest teraz Michalina – ta, z którą Anna, Andrzej i ich dzieci mieli razem pojechać na wymarzone wakacje za granicą. Michalina jest żoną Stasia, a więc trójką zamienia się w czwórką. Dzień przed wakacjami Anna i Staś dowiedzieli się o romansie ich małżonków. Powiedział im o tym znajomy, który był świadkiem tajnego, dwuznacznego spotkania. Początkowo nie mogli w to uwierzyć. Postanowili zbadać sytuację.

Dla Anny i dwójki jej dzieci był to początek najgorszych wakacji w życiu. Wraz z mężem byli z Michaliną i Stasiem najlepszymi przyjaciółmi. Wszystkie wakacje – razem, każdy weekend – razem, święta i nie święta – razem, grille, spacer, rowery, baseny – wszystko razem! A tu nagle taka niespodzianka.

„Bzzzt, bzzzt”! Ktoś dobija się do drzwi i nerwowo wkłada klucz do zamka. Kuba przerywa rozmowę, jest rozkojarzony, a ja nie wiem, co się dzieje. Drzwi się otwierają. Ktoś wchodzi do mieszkania, nic nie mówiąc. Słychać tylko hałasujące kauczukowe koła. Chwila milczenia. Nagle do pokoju wkracza Wiktoria. Uśmiechnięta, zadowolona pcha swoją małą walizkę, trzymając w rękach czekoladki. Podchodzi do nas, wita się i natychmiast chce dołączyć

do rozmowy. Kiedy Kuba ją zobaczył, doznał jakiejś transformacji. Widziałam błysk w jego oku, radość, spadek napięcia. Wiktoria wróciła z jedno-dniowego szkolenia. Kubie ten dzień dłużyl się w nieskończoność, więc natychmiast wstał i przytulił ją całym ciałem. Poznał Wiktorię, kiedy podjął decyzję o rozwodzie. Rozstanie, zostawienie dzieci. Tak to wyglądało z perspektywy obcych ludzi: zostawił żonę i dzieci dla innej kobiety. Tak myśleli wszyscy.

Kwestia zazdrości i pożądania

Andrzej nie ma odwagi zostawić żony i dzieci. Codziennie po pracy je obiad, przebiera się w luźne rzeczy i wyjeżdża. W tygodniu wraca do domu bardzo późno, a w weekendy – nad ranem. Wraca jak do hotelu. Nie dokłada do jedzenia, płaci tylko za rachunki. Kiedyś Andrzej powiedział Annie: „Jeśli kiedykolwiek uderzysz w Michalinę, to odetnę cię od wszystkiego”.

Miał na myśli jakiegokolwiek groźby, rozmowy, ataki. „Wszystko” to pieniądze. Doskonale zdawał sobie sprawę, że Anna jest bez pracy i środków do życia. Wie, że ma trudny charakter i ludzie zachowują wobec niej dystans. Można powiedzieć, że miała mniej sojuszników, kiedy byli szczęśliwym małżeństwem, niż teraz.

Anna opowiadając tę historię, patrzy mi prosto w oczy i oczekuje zrozumienia. Jest jej ciężko.

Odniosłam wrażenie, że nasza rozmowa sprawia jej ulgę, jest spowiedzią, formą terapii.

Michalina to dwudziestodwuletnia, młoda kobieta, która urodziła dziecko w wieku 16 lat. Ma ochotę wyszaleć się i nie ogląda się na uczucia innych. Mąż Anny był jedną z „opcji” Michaliny, która wypaliła.

- Przylapałaś ich kiedykolwiek na gorącym uczynku?
- Co masz na myśli, mówiąc „gorący uczynek”?!
- Coś, co uznajesz za przekroczenie granic.
- Tak, byli w lesie. Całowali się.

Dowiedziała się o tym od klientki siedzącej na salonowej kanapie. Nie chciała reagować, ale jej emocje były silniejsze. Wsiadła do auta i pojechała do Wielichowa. Bardzo się spieszyła. Podjechała do lasu znajdującego się w pobliskiej wsi. Stał... Stał samochód, na

który zbierali tyle lat, a w nim siedział Andrzej trzymający za kolaną Michalinę i czule dotykający ją ustami w szyję.

Ona, podniecona, przewracała oczami. Całowali się tak namiętnie, że Anna nie potrafiła im przerwać. Załamała się, nie wierzyła w to, co zobaczyła. Czuła się bezsilna, zaczęła płakać. Rozgoryczona wróciła do pracy pełnić obowiązki profesjonalnej recepcjonistki. Zaczęła się dobra mina do złej gry.

Stres i niepokój unosił się w moim mieszkaniu. Propozycja drugiej lampki wina wydawała mi się dobrym pomysłem, rozluźniającym atmosferę. Nerwowa reakcja Anny, jej donośny głos i łapczywe połykanie sałatki były dla mnie jasnym i oczywistym przekazem, że był to cios poniżej pasa. Po kilku minutach pojawił się uśmiech i chwilowe zapomnienie o problemie.

Bolesne doświadczenie zdrady i rozpacz. Najbliższa osoba stała się największym wrogiem.

Nowa partnerka Jakuba nigdy nie została zdradzona. Kiedy słyszy, że jest tą drugą, odwraca głowę i nie chce tego przyjąć. Cały czas powtarza, że pojawiła się w życiu Kuby w trakcie jego rozwodu. Jakub też tak twierdzi, ludzie jednak widzą wszystko inaczej.

Wiktoria jest absolwentką pedagogiki. Od ponad roku pracuje w banku i bardzo dobrze się tam czuje. Często jeździ na szkolenia, co doprowadza Kubę do szału. Czuje strach przed kolejną porażką. Wiktoria jest młoda, piękna i niejeden facet stracił dla niej głowę. Niewiele potrzeba, by zaszkodzić zakochanym. Wiktoria realizuje się sportowo, spędza dużo wolnego czasu na boisku piłkarskim. Sporo trenuje i dba o siebie. Tak samo jak Kuba uwielbia jeździć na rowerze. Czuje się wtedy i w pełni zrelaksowana. Wielokrotnie powtarza: „dzień bez Kuby to dzień stracony”.

– Kiedy pojawiłam się w życiu Kuby, wszystko zmieniło wymiar. Wiem, że jestem jego bratnią duszą, osobą, która o niego zabiega, zawsze go wysłucha i ma podobne zainteresowania.

– Zastanawiałaś się nad tym, że on jest zajęтым mężczyzną?

– Nigdy.

Rozpaliła się pomiędzy nimi miłość, która kosztowała ich naprawdę wiele. Wiktoria ma świadomość, że nie powinna interesować się żonatym mężczyzną, ale uczucie było silniejsze. W tym momencie nie zwracała uwagi na jego żonę i dzieci. Nie mają łatwo.

Okazało się, że żona Kuby nie była dla nich największą przeszkodą. Pewnego dnia, kiedy Wiktoria siedziała sama w domu, usłyszała krzyki na klatce schodowej. Nie reagowała. Skupiła się na praniu, sprzątaniu i układaniu rzeczy w szafach. W pewnym momencie do mieszkania wkroczyła wściekła kobieta. Pełna złości, zapłakana, zaczęła wrzeszczeć, przeklinać i obwiniać Wiktorię o rozwód syna, o wszystko. Pojawił się wróg, z którym trzeba było się zmierzyć. Matka Kuby często nachodziła Wiktorię, groziła i prosiła, by dała mu spokój. Dziewczyna wystraszyła się, płakała, ale nigdy nie zrezygnowała z Kuby.

Z najbliższymi tylko na zdjęciu

Ania nie mogła znieść swojej sytuacji i zachowania Andrzeja. Zwróciła się o pomoc do teściowej. Liczyła na wsparcie i słowa otuchy. Po raz kolejny oberwała w twarz. Reakcja teściowej była kompletnym rozczarowaniem.

Mama Andrzeja jest typową fałszywą katoliczką. Chodzi trzy razy w tygodniu do kościoła i w każdą niedzielę siedzi w pierwszej ławce.

Pewnego niedzielnego popołudnia umówiły się na kawę. Standardowy rytuał, z niewielką zmianą: tym razem Anna była sama, bez męża i dzieci. Matka zrobiła herbatę, pokroiła pyszną, domową szarlotkę i kazała Annie usiąść na seledynowej, przedwojennej sofie. Anna rozmowę rozpoczęła od prośby, która miała dać jej odrobinę nadziei. Tego przynajmniej się spodziewała.

– Mamo, Andrzej mnie zdradził. Spotyka się z inną, lekceważy mnie i dzieci.

– Wiedziałam.

– Co wiedziałas?

– To jest twoja wina, ty na to pozwoliłaś.

Annę zamurowało. Nie wiedziała, co powiedzieć i jak zareagować. Nie wypila herbaty. Zostawiła wszystko, wstała i wyszła. Dla teściowej Andrzej jest niewinny. Jedyną osobą odpowiedzialną za sytuację jest Anna. To ona pozwoliła na to, by inna kobieta odebrała jej męża.

– Byłam w totalnym szoku. Zawsze miałam bardzo dobrą relację z teściami. Nigdy nie wtrącali się w nasze życie. Odwiedzaliśmy się nawzajem, wszystkie święta spędzaliśmy razem.

– Dlaczego teściowa tak postąpiła?

– Andrzej świetnie manipuluje ludźmi, i to właśnie zrobił z mamusią.

Jedyna osoba, która mogłaby pomóc, odwróciła się od Ani, dodatkowo obarczyła ją winą. To wszystko działo się tak szybko, że Anna nie potrafiła określić, jak długo trwa zdrada męża. Kiedy zapytała go o to, usłyszała: „Ale co trwa?”. Kolejna próba manipulacji.

Była przyjaciółka Anny, a zarazem kochanka jej męża, jest w trakcie procedury rozwodowej. Michalina wyrzuciła Stasia z domu, wezwała policję, doszło nawet do obdukcji. Sytuacja tej pary jest dramatyczna. Andrzej zakochał się w kobiecie, która pobiła mężczyznę.

Przypadek Kuby i Alicji jest trochę inny. Mieli znacznie krótszy staż małżeński. Przed ślubem byli parą pięć lat. Nigdy ze sobą nie mieszkali. Tworzyli związek „weekendowy”. Ich małżeństwo trwało ponad dziesięć lat. Decyzję o oświadczeniach Jakub podjął tuż po pobycie w wojsku. Przed samą ceremonią cała jego rodzina doznała szoku – chciał zrezygnować ze ślubu i zerwać z Alicją. Powiedział o tym wszystkim, tylko nie przyszłej żonie. Rodzina mu na to nie pozwoliła, co okazało się błędem. Usłyszał tylko: „Zwariowałeś, nie zrywa się zaręczyn!”. Takie podejście doprowadziło do tragedii, która stała się jednocześnie momentem granicznym, przejściem do nowego życia.

– Kiedy powiedziałem rodzicom o rozwodzie, wygnali mnie z domu i wyzywali od najgorszych.

– Co czułeś?

– Wściekłość. Nienawidziłem ich w tym momencie. Zawiedli mnie najbardziej na świecie.

Gdy Jakub poinformował matkę o rozstaniu z Alicją i o nowym związku, został przez nią uderzony w twarz. Matka dodatkowo rzuciła butem w drzwi od łazienki. Zbiła szybę, która rozprysnęła się na kawałki po całym pokoju. Kazała mu wybierać: albo relacja z rodzicami, albo związek z Wiktoria. Rodzice odwrócili się od Kuby, posadzili go o całe zło i obrzucili błotem. Kiedy o nich rozmawiamy, ton głosu Kuby zmienia się całkowicie. Jest smutny i zmieszany. Wzdycha i patrzy w podłogę. Z rodzicami nie widział się ponad rok.

Wiktoria usiadła na fotelu obok Kuby i z radością dołączyła do naszej rozmowy. Jakub zdecydowanie potrzebował bliskości. Zaczepiał ją i podrywał. Zachowywali się jak nastolatkwie. Zaczepka, odpowiedź, słodki uśmieszek.

– Posuń się!

– Siadaj na kolanko.

– Za chwilę. Nie przeszkadzaj, rozmawiam.

Kuba zaproponował Wiktorii herbatę i chwycił ją czule za kolano. Oboje zaczęli mówić o przyjaciółach, którzy odwrócili się od Jakuba. Przez rozwód stracił wszystkich.

– Ludzie przyjaźnili się ze mną, by usłyszeć, co się stało i z kim jestem, a następnie wykorzystywali to przeciwko mnie.

– W jaki sposób?

– Siali plotki.

Ich związek był tematem tabu przez ponad rok. Wiktoria uchodziła za kobietę, która rozbiła małżeństwo i odebrała ojca dzieciom, a Jakub – za mężczyznę, który zostawił rodzinę dla innej. Tak, za sprawą bujnej wyobraźni grodziskiego społeczeństwa, zaczął się ich wspólny horror. Wiktorię posądzano o ciążę, grożono jej, wysyłano anonimy i listy. Ludzie nie dawali spokoju.

Dziecko priorytetem?

Ania i Andrzej mają dwóch synów. Starszy podsumował ostatnie wakacje za granicą, mówiąc: „Mamo, widziałem dużo, za dużo. Byłem pierwszy raz za granicą. To były najgorsze wakacje w moim życiu”. Słowa siedemnasto-latka ugodziły Annę w serce. Przez cały okres dwutygodniowych wakacji chłopak był świadkiem jawnych zdrad ojca.

Andrzej i Michalina próbowali zataić swoją znajomość. Zabawili się w aktorów, którzy zniszczyli dwie, kochające się rodziny. Kochankowie nadużywali alkoholu i świetnie się bawili. Dla Anny i Stasia był to trudny czas, ponieważ całą uwagę skupiali na obserwacji i analizie zachowania Michaliny i Andrzeja.

Jeden z piękniejszych wieczorów w Chorwacji Staś poświęcił na sprawdzanie telefonu Michaliny. Chciał przekonać się na własne oczy, jak wygląda jej romans z Andrzejem. Kiedy inni popijali alkohol w hotelowym barze, Staś ukradkiem wybrał się do pokoju,

chwycił telefon i przez przypadek za pierwszym razem złamał kod zabezpieczający. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Nie było tam żadnego śladu po Andrzeju. Żadnej wiadomości ani rozmowy. Znalazł za to coś gorszego, co sprawiło, że pękło mu serce: wiele dwuznacznych wiadomości od innych, nieznanych, bezczelnych mężczyzn, którym Michalinka próbowała się sprzedać. Szukała ofiary. Z jednym jej się udało – z Andrzejem.

W czasie rozmowy jadłyśmy kolację. Za każdym razem, kiedy z ust Anny padały słowa dotyczące dzieci, przerywała posiłek, odkładała talerz i zaczynała w emocjonalny sposób gestykulować. Dla dzieci była zdolna do największych poświęceń. Próbowala Andrzejowi wybaczyć, a nawet dała mu szansę trwającą rok. Nic się nie zmieniło.

– Manipulował mną. Wmawiał mi, że to wszystko, co się dzieje, to wymysł ludzi.

Andrzej zmienił się o 180 stopni. Twierdzi, że nie zrobił nic złego, próbował uświadomić Annie, że Michalina jest jego przyjaciółką i nie zrezygnuje z przyjaźni tylko dlatego, że ludzie próbują wejść mu na głowę. Nie widział w niczym problemu.

Dosłownie „słyszałam” stres Anny w sposobie jej jedzenia. Każdy kęs sałatki był głośno przegryziony i intensywnie przełknięty. Anna nadal mieszka z mężem, mimo tych wszystkich okropnych sytuacji. Andrzejowi brak honoru, by zostawić rodzinę. Okłamuje Annę i dzieci: „delegacja” to tak naprawdę wakacje z kochanką, „urodziny przyjaciela” – kino z Michaliną, „dodatkowa praca” – piątka u niej.

Swoim dzieciom Anna mówi prawdę. Woli, by o wszystkim dowiedziały się od niej niż od kolegów czy obcych ludzi. Przez tę sytuację starszy syn Anny w ciągu dwóch lat zbyt szybko dojrzał. Chłopak chce zastąpić ojca młodszemu bratu i partnera matce. Gdyby nie jego wsparcie, Anna by oszalała. Ma wyrzuty sumienia, gdyż to ona powinna wspierać swoje dziecko, a nie na odwrót. Syn nieraz mówił jej: „Mamo, wyluzuj, odpuść, daj spokój”.

Horror Kuby trwał pięć lat. Po roku małżeństwa pojawił się jego pierwszy syn, Tomek, który obecnie, mając siedem lat, jest przeszczęśliwy, że rodzice nie są już razem. Tomek był sprawcą kolejnych szerzących się w domu wojen i awantur. Kuba opowiada

o dzieciach nerwowo. Podczas rozmowy potwierdza krążącą po mieście plotkę, że drugi syn, Adam, pojawił się jakby „na przeprosiny”. Zarówno Kubie, jak i jego żonie wydawało się, że drugie dziecko ich zbliży i naprawi całe zło.

– Kocham Adama. Adam jest moim synem, ale on był taki „na pogodzenie”. Był próbą naprawy.

– Co sobie myślałeś, decydując się na drugie dziecko?

– Myślałem, że dziecko nas połączy, a tak naprawdę mam kolejny obowiązek.

Mówi to tak, jakby chciał się wytłumaczyć. Patrzy w jeden punkt i popija łąpczywie herbatę. Łokcie opiera na kolanach i nerwowo podryguje nogą. Kiedy pojawił się Adam, sytuacja jeszcze się pogorszyła. Teściowa i matka wtrącały się i obrażały wzajemnie partnerów. Małżeństwo mimowolnie się rozpadało. Dzieci cały czas spędzały u dziadków, zostały odseparowane od problemu. Po rozwodzie Kuba mógł widywać się z nimi co drugi weekend. Alicja próbowała utrudnić mu życie. Czuje do Kuby żal, złość i nienawiść. Daje mu to odczuć w każdej sytuacji.

Starszy syn Kuby jest kompletnie oglupiały. Chce być z tatą, ale się boi. Chciałby mieć obojga rodziców, ale wie, że kończyłoby się to kłótniami. Do dziś, kiedy zbliża się niedzielny wieczór i Tomek ma wrócić od ojca do matki, kładzie się na łóżku, dostaje strasznego ścisku w brzuchu i zaczyna płakać. Boi się powrotu do mamy, boi się jej reakcji i zbędnych pytań wywiadowczych.

Szara strefa życia

Starszy syn Ani toleruje ojca w domu, a młodszy codziennie próbuje rodziców połączyć, rozmawiać z nimi i przekonywać, by się pogodzili. Nie rozumie, że to niemożliwe. Prosił, błagał, żeby było tak jak dawniej. Skakał ze złości, płakał, cierpiał, i nic. Można powiedzieć, że Annie ta sytuacja utarła nosa. Niektórzy twierdzą, że ma nauczkę. Przez społeczeństwo uznawana jest za osobę dumną i pewną siebie, której wszystko wolno i która wszystko może. Kobiety się jej bały, zwłaszcza wtedy, kiedy była pod wpływem alkoholu. Zdarzało się, że zachowywała się nieodpowiedzialnie i przynosiła Andrzejowi wstyd. Nie lubił, gdy wychodziła z domu.

Wiedział, że Anna nie ma umiaru. Zawsze była dominująca i bardzo bezwzględna. Wysoko się ceniła.

Zdrada męża, nauka samodzielności, bieda zmieniły jej podejście do życia. Jej znajoma podsumowała to następująco: „Anna zawsze czuła się lepsza od innych. Zazdrościła znajomym ciekawego życia, lepszego auta czy mieszkania. Pożyczała od bogatych kobiet ciuchy, by tylko polechtać swoje ego. Nie doceniała tego, co ma”. Żyła w złotej klatce. Kiedyś dostawała wszystko, co chciała, dzisiaj musi sama o to zawalczyć. Zawiodła się, rozczarowała, ale próbuje żyć normalnie. W jednej chwili zakończyło się całe jej życie. Dumę zastąpiła pokora. Dzisiaj chce kochać i być kochana. Chce być szanowana i traktowana jak przystało na kobietę.

– Fajnie jest być na górze, ale bardzo łatwo spaść na dno – mówi Anna.

Jakub ma swoje za uszami. Gdyby cofnąć się o dziesięć lat i zająć do jego życia, niejedna osoba byłaby w szoku. Rozbił wiele związków, zaszkodził wielu mężczyznom i złamał wiele kobiecych serc. Podrywał młode dziewczyny i był bezwzględny. Zdradzał Alicję.

Związek z Wiktorią też mógł być chwilowym skokiem w bok. Okazało się zupełnie inaczej. Na temat swojej dalekiej przeszłości nie chce rozmawiać. To właśnie przez nią przyjaciółka Wiktorii nie zaprosiła go na swoje wesele. To był trudny moment dla Wiktorii.

– Cały czas walczę o swoje. Rozmawiam z rodziną, spotykamy się naprawdę rzadko.

– Chcesz to zmienić?

– Tak, ale się boję.

Małżeństwo Anny istnieje praktycznie tylko na papierze i polega na wzajemnym tolerowaniu siebie.

– Gdzie jest w tej chwili twój mąż?

– Weekend jest, on weekendy spędza poza domem, z nią. Jestem z dziećmi sama, i tak już pozostanie.

– Myślisz, że Andrzej kiedyś wróci?

– Tak, Karolinko. On ma czterdzieści dwa lata i nie ma zdrowia, by tak długo ciągnąć tę libację, a ona znajdzie kolejnego, lepszego.

– Wybaczysz?

– Tak, ale nigdy nie zapomnę.

Po każdym spotkaniu i rozmowie nie mogłam spać. Myślałam o cierpieniu, zmianach, trudności podejmowania decyzji. Wydaje mi się, że moi rozmówcy na pierwszym miejscu stawiają poświęcenie. Nieważne – dla rodziny czy dla własnego dobra. Po prostu poświęcenie. Anna została zdradzona i pozostawiona sama sobie. Znosi upokorzenie, by być przy dzieciach. Jakub zostawił rodzinę dla innej kobiety, a Wiktoria pokochała żonatego mężczyznę, nie patrząc na nic. Cierpią przez najbliższych i zachowanie społeczeństwa. Codziennie słyszę, że w Grodzisku Wielkopolskim kolejne rodziny się rozpadają, a ludzie rozwodzą. Co drugie dziecko w przedszkolu ma dwie mamy i bez problemu przedstawia swoim kolegom nową dziewczynę taty. Te historie otworzyły mi oczy i pokazały, że podstawą udanego życia jest określenie priorytetów. Nie wiemy, jak bardzo może się ono zmienić następnego dnia.

Karolina Gawarzewska – absolwentka Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu, inż. towaroznawstwa i mgr zarządzana. Podczas studiów uczestniczyła w wielu projektów naukowych, brała udział między innymi w wolontariacie na Ukrainie, w działalności Studenckiego Koła Naukowego, tworząc innowacyjne produkty i strategie dla przedsiębiorstw, pełniła także funkcję Mentora w Akademii Młodego Ekonomisty. Doświadczenie zdobyła, pracując w większych korporacjach i w mniejszych, prywatnych firmach. W tej chwili prowadzi własną działalność gospodarczą specjalizującą się w zarządzaniu projektami marketingowymi. Wyznaje holistyczne podejście do zdrowia i człowieka. Trenuje fitness i taniec nowoczesny. Kocha podróżować, książki psychologiczne i kryminały.



KRĘGOSŁUP PRACOWNIKA?
TAKI SAM JAK DYREKTORA.
CZYLI JAK DZIAŁAJĄ WIELKOPOLSKIE
FIRMY, KTÓRE STAWIAJĄ NA LUDZI

DOROTA KRAJEWSKA-ROSZYK



Zatrzymuję się przy wjeździe i mówię, do kogo przyjechałam. Jestem miło powitana z imienia i nazwiska. Zaskoczenie pierwsze. Wsiadam z samochodu. Niedaleko mnie przechodzi pracownik ubrany w roboczy strój i mówi mi „Dzień dobry”. Zaskoczenie drugie. Po prawej stronie od głównego wejścia widzę spory staw z liliami wodnymi i skalniaki. Trawnik jest zadbany, a wokół stawu krząta się dwóch ogrodników. Jestem tuż przy drodze szybkiego ruchu w przemysłowej części Tarnowa Podgórnego, a czuję się jakbym przeniosła się do jakiegoś równoległego świata. Jak tu sielsko – uzmysławiam sobie. Zaskoczenie trzecie. Spotka mnie ich tu jeszcze wiele.

Półokrągła ściana ze szkła, szeroka na kilkanaście metrów. Przez nią widać drugi staw, drewniany mostek, ławeczkę i piękną zieleń. Latem czynna jest jeszcze fontanna. Jestem urzeczona miejscem. To nie romantycznie położony zajazd, tylko kantyna dla pracowników firmy Schattdecor. W środku wielka, żółta, designerska sofa, która pomieści ze 20 osób oraz długi wspólny stół, przy którym w przerwie razem zasiadają pracownicy, menedżerowie czy prezes firmy. Ten wspólny stół jest symbolem filozofii właściciela, Waltera Schatta, którą można podsumować stwierdzeniem, że trzeba lubić ludzi. Uśmiecham się, kiedy słyszę te słowa, bo dwa dni wcześniej czytałam wywiad z Solange Olszewską, właścicielką podpoznańskiego autobusowego giganta Solaris Bus & Coach, która idzie jeszcze dalej i mówi: „Trzeba kochać ludzi i to, co się robi”.

Witalność

Ale trzeba kochać mądrze. Schattdecor jest drukarnią papierów dekoracyjnych i folii dla przemysłu meblarskiego. Wielu drukarzy pracuje tu na stojąco. Jednym z najważniejszych obszarów zainteresowania ludźmi, na które wskazuje Katarzyna Brylczak, Kierownik Działu Personalnego, jest dbanie o ich... witalność. Chcemy, aby pracownik w wieku 60 lat mógł wykonywać te same zajęcia, które wykonywał, gdy miał 40 lat. Dlatego tak ważne są zdrowe plecy. Firma przygotowuje się do kompleksowego programu wspierającego zdrowie, który zostanie poprzedzony dokładną diagnozą.

– Zatrudnicie fizjoterapeutę? – pytam zaciekawiona.

– Nie wykluczam tego – odpowiada Brylczak, uśmiechając się lekko. Po otrzymaniu wyników diagnozy wybierzemy najbardziej optymalną opcję.

Oprócz prywatnej opieki medycznej, szczepień wykonywanych w siedzibie firmy, w której jest też pokój medyczny, Schattdecor zachęca pracowników do zdrowego stylu życia. Jak podkreśla jednak Brylczak: zachęca, nie narzuca. Kierownictwu zależy na tym, aby pracownicy aktywnie angażowali się w dbanie o własne zdrowie.

– Na przykład rok temu postanowiliśmy zachęcić do zdrowego odżywiania i przez parę miesięcy kupowaliśmy pracownikom jabłka. Uczenie ludzi zdrowych nawyków to proces długoterminowy i działa jak efekt kuli śnieżnej. Na konsultację z dietetykiem zgłosił się raptem jeden pracownik produkcyjny. Ale zadowolony z efektów pochwalił się kolegom i zachęcił do udziału kolejne osoby. Bardzo nas cieszy to, że ludzie zachęcają się nawzajem do wartościowych działań. O to właśnie nam chodzi. O umożliwienie doświadczania różnych rzeczy, nie o wyręczanie ludzi. O edukację, ale w nienachalny sposób, podkreśla Brylczak. W ramach integracji organizujemy dla naszych pracowników m.in. kajaki, grzybobranie, warsztaty gotowania, z zapachów, *savoir vivre* czy *sommelierskie*. Są to zajęcia w czasie wolnym, współfinansowane przez firmę i dla chętnych – dodaje.

Solange Olszewska również propaguje zdrowy styl życia. Od produkcji bezemisyjnych pojazdów po promocję zdrowej żywności. Ma gospodarstwo ekologiczne, które założyła na potrzeby swojej rodziny. Nazwała je Zagroda Szczęśliwych Zwierząt. Szybko okazało się jednak, że gospodarstwo wytwarza więcej niż potrzebuje rodzina Olszewskich, dlatego otworzyła mały sklepik ze zdrową żywnością tuż przy wejściu do fabryki. I dzieli się z pracownikami.

Szacunek do ludzi

Na każdym kroku widać dbałość o ludzi. Wnętrza w firmie są niesamowicie estetyczne. Nawet łazienka, śmietankowa, jasna i ciepła, zrobiła na mnie wrażenie. Nie wiem, czy bardziej jej zapach, designerski wystrój czy krem do rąk stojący obok mydła, jakbym była w domu. Wszystkie fotele w biurach są równe, bo jak mówią,

kręgosłup pracownika jest dokładnie taki sam jak dyrektora. Nie znajdzie się więc tu czarnego skórzanego dyrektorskiego fotela.

– Na Boże Narodzenie pracownicy dostają takie same prezenty jak klienci firmy. Nie ma żadnego różnicowania – podkreśla Brylczak. – W grudniu zapraszamy też wszystkich naszych pracowników wraz z partnerami na spotkanie świąteczne. Rozmawiamy, cieszymy się z wspólnego przebywania, ale również wyróżniamy tych, którzy zgłosili pomysły na usprawnienie działania firmy. Przekazujemy im publiczne uznanie oraz nagrody.

Charakterystyczna dla firmy jest duża ilość zieleni, szczególnie doceniana przez pracowników latem, bo łatwiej znosić upały. Ja doceniłam ją również jesienią i wyobrażam sobie, że kiedy śnieg przykryje choinki, mostek i ławeczkę, wrażenie też może być niesamowite. Wszystkie zakłady na świecie wyglądają podobnie, żeby komfort pracy ludzi w Polsce, w Niemczech, jak i każdym innym kraju był dokładnie taki sam.

Nieszablony design w Pyzdrach

Trzydziestotrzyletni Patryk Strzelewicz jest właścicielem pięćdziesięcioosobowej firmy Q-workshop produkującej kostki do gry oraz współwłaścicielem i prezesem biura projektowego Mindsailors. Impulsem do zmiany siedziby Q-workshop był moment, gdy zobaczył, jak pracownicy stawiają tace z nowo pomalowanymi kostkami na ziemię, bo zabrakło miejsca na stołach. Ten widok uzmysłowił mu jak bardzo rozrosła się jego firma.

– Decyzja o poszukaniu nowej, większej siedziby została podjęta w miesiąc. Część produkcji jest już przeniesiona, a część jeszcze nie, ale efekt jest fantastyczny – mówi Strzelewicz. – Już nie mogę się doczekać, kiedy cała firma będzie w nowej siedzibie! Fajnie się patrzy, gdy pracownicy angażują się w remont, żeby dodać coś od siebie, i decydują, jak to ich wnętrze ma wyglądać. Serce mi rośnie, bo widzę, jak oni się cieszą, że będą pracować w lepszych warunkach. To, co już jest, wygląda bardziej jak bank niż jak firma produkcyjna. Dziewczyny przychodzą do pracy ładnie ubrane, nawet na szpilkach i widać, że dobrze czują się w tym miejscu. Na ostatnim spotkaniu wigilijnym pracownicy przyszli do mnie i sami z siebie powiedzieli, że doceniają jaką mają pracę, na jakich warunkach

i w jakiej atmosferze. To było dla mnie bardzo budujące. Przy okazji przeprowadzki poprosili nas o porządną ekspres do kawy. Chwilę to trwało, zanim go dostali, bo to był wydatek kilku tysięcy złotych i droga umowa serwisowa. Ale teraz miło się patrzy, kiedy dziewczyny w czasie przerwy plotkują roześmiane, stojąc w kolejce po kawę w naprawdę pięknej kuchni – dodaje.

Kiedy to słyszę, przypomina mi się firma, w której w przerwie na kawę pracownicy rozmawiali o tym, jakie kto bierze środki na uspokojenie, bo mieli tak stresującą pracę. Miło słyszeć, że tego sześciosa cieszą roześmiane pracownice.

Muruję. A ja buduję katedrę

W 2014 roku Frederic Laloux, kiedyś partner w znanej firmie consultingowej McKinsey and Company, obecnie doradca wielu międzynarodowych koncernów, wydał książkę *Pracować inaczej*. Znalazł i przeanalizował firmy, w których zarządza się „inaczej”. Efektem takiego zarządzania jest ponadprzeciętna skuteczność oraz ludzie odczuwający satysfakcję z pracy. Firmy te swoje działania opierają w dużej mierze na własnej intuicji i na eksperymentowaniu, bo temat nie był szeroko opisywany przed Laloux.

W Polsce mamy również takich eksperymentatorów. Profesor Andrzej Blikle już w latach 90. zarządzał rodzinną firmą poprzez próby angażowania pracowników w usprawnianie ich własnej pracy. Profesor uważa, że zaangażowanie i poczucie sensu są w pracy kluczowe. To samo potwierdza Marcin Łaciak, Kierownik ds. Rozwoju Organizacji nowotomyskiego producenta automatyki przemysłowej Phoenix Contact. Łaciak, psycholog z wykształcenia, wraz ze zespołem menedżerów przekonał się, że era zarządzania kijem i marchewką się skończyła.

– Jeśli firma chce działać długofalowo, to jej największym wyzwaniem jest przekierowanie uwagi pracowników z motywacji zewnętrznej na motywację wewnętrzną. To nie podwyżka czy premia sprawia, że ludzie chętnie podejmują się proaktywnego sposobu działania. Każdemu pracownikowi zadajemy pytanie, czy czuje, że robi coś ważnego, czy jego praca wpływa na czyis los. Przykładowo w firmie produkujemy złączki elektryczne. Jak złączka może wpływać na czyis los? Może! – mówi Łaciak. – To ważny komponent

używany do produkcji pociągów, a pociągi mają bezpiecznie przewozić ludzi. Dlatego pracownik, który produkuje złączki ma w tyle głowy, że jego praca zapewnia bezpieczeństwo transportu innych ludzi i że każda złączka jest tak samo ważna, bo będzie umieszczona w jakimś pociągu.

Gdy to usłyszałam, przypomniała mi się anegdota. A może jest to prawdziwa historia? Zapytano dwóch murarzy, co robią. Pierwszy z nich odpowiedział po prostu:

– Muruję. Nie widać?

Drugi wyprostował się i odpowiedział z dumą:

– Ja buduję katedrę!

Czuję, że dokładnie o to chodzi Łaciakowi. Widać, że żyje wprowadzaniem nowych sposobów zarządzania i może opowiadać o tym godzinami. Trudno się do niego dodzwonić. Próbowałam chyba z pięćdziesiąt razy. Mówi, że prawie nigdy nie pracuje przy biurku.

– Mam dwadzieścia minut, możemy rozmawiać – odpowiedział. Przegadaliśmy czterdzieści i umówiliśmy się na kolejne spotkanie z oprowadzaniem po firmie.

Frajda

W Phoenixie wprowadzono *Lean Manufacturing*, metodę optymalizacji przepływu materiałów.

– Brzmi bardzo przedmiotowo, ale wbrew pozorom jest częścią mądrego zarządzania ludźmi. Zwiększamy autonomię pracowników w obszarach ich pracy i zachęcamy do samodzielnego doskonalenia i eksperymentowania. Liczymy się z tym, że mogą popełniać błędy. Chcemy, aby te błędy ich uczyły, bo najważniejsze są długofalowe efekty, które to eksperymentowanie może przynieść.

– Co sprawia, że ludziom chce się u was pracować? – pytam.

– Umożliwiamy odczuwanie satysfakcji z samodzielnego podejmowania decyzji, frajdę – odpowiedział mój rozmówca – a dzięki nim dumę ze swojej pracy.

Firma podkreśla, że dba o rozwój pracowników. Każdy z nich przechodzi serię szkoleń, a jeśli ma dobre wyniki w pracy, jest szkolony i przygotowywany na wyższe stanowisko. Kiedy nadarza się okazja, jest od razu gotowy, aby je objąć. Jedynym kryterium są efekty bieżącej pracy. Nie jest nim ani wiek, ani płeć.

– I tu mamy ciekawe doświadczenia. Kiedyś mieliśmy mocny podział na stanowiska typowo kobiece i typowo męskie. To się powolutku zmienia. W firmie pracuje wiele pań uzdolnionych technicznie, na przykład na stanowiskach operatorek i robią karierę w obszarach tradycyjnie uważanych za męskie, opowiada Łaciak. – Firma dofinansowuje też studia, bo wiemy, że nie wszyscy uzdolnieni pracownicy mieli możliwość studiowania za młodu. U nas mają.

Dzielenie się dobrymi praktykami

Wszyscy trzej wielkopolscy pracodawcy reprezentujący przemysł komunikacyjny: Solaris, Volkswagen Poznań i Phoenix Contact aktywnie współtworzą programy nauczania w szkołach technicznych i na studiach. Korzystają na tym wszyscy: młodzież, która uczy się realnych umiejętności i poznaje potencjalnych pracodawców, szkoły, które kształcą zgodnie z potrzebami dzisiejszego biznesu i wypuszczają na rynek użytecznych absolwentów, oraz sami pracodawcy, którzy mają dostęp do dobrze wyszkolonych ludzi, dokładnie takich, jak potrzebują. Ale nie tylko w tym zakresie firmy dzielą się wiedzą. Przy okazji rozmowy z Volkswagen Poznań zostałam zaproszona na otwartą konferencję o różnorodności w firmach. Po co to robią? Żeby dzielić się swoimi dobrymi praktykami ze wszystkimi, którzy chcą tego słuchać. Z odpowiedzialności biznesowej. Phoenix z entuzjazmem dzielił się ze mną swoimi doświadczeniami z zarządzania. Zarówno tymi, które się powiodły, jak i tymi, które się nie udały.

– Chcemy być organizacyjnie sprawniejsi od firm na Zachodzie – mówi Łaciak.

No właśnie. Nie wiem, czy to książka Laloux, czy wreszcie ten etap rozwoju biznesu w Polsce sprawiły, że temat korzyści z dbania o pracowników został wyłożony na stół. Od maja do listopada 2016 roku trwała kampania społeczna „Praca? Lubię to!” organizowana przez uniwersytet SWPS i park technologiczny YouNick w Poznaniu. Dlaczego obie te instytucje zajęły się tematem?

– W pracy spędzamy dużą część naszego życia. Wiele osób doświadcza w pewnym momencie wypalenia zawodowego, braku motywacji i zaangażowania. I wtedy nie wiadomo co dalej. Po raz pierwszy w Polsce tak głośno mówimy o tym, że warto lubić swoją

pracę, jak ważne są oparte na wzajemnym szacunku, życzliwości i otwartości relacje pracodawca–pracownik i po co tworzyć przyjazne i innowacyjne miejsca pracy oraz jaki jest związek między zaangażowaniem pracowników a wynikami finansowymi firm. Zadowoleni ze swojej pracy, zaangażowani pracownicy są kluczem do wzrostu innowacyjności polskiej gospodarki. Konieczne są nowe wzorce dotyczące zarówno przestrzeni pracy, jak i sposobu traktowania personelu – mówi Beata Kiewisz, pomysłodawczyni kampanii.

„95% mojego kapitału odpływa drzwiami codziennie wieczorem. Moim zadaniem jest stworzyć takie środowisko pracy, które sprawi, że ci ludzie wrócą każdego ranka”.

Jim Goodnight, Prezes SAS Institute

Jaka jest zależność między zaangażowaniem pracowników a wynikami ekonomicznymi przedsiębiorstwa? Oto, co pokazują badania przeprowadzone przez McKinsey zaprezentowane podczas kampanii:

- Lepsze osiągnięcia ogółem – 18%
- Mniejsze wypalenie – 125%
- Więcej poświęcenia dla firmy – 32%
- Więcej satysfakcji – 46%

Wniosek ogólny: wysoki poziom zaangażowania to więcej dobrowolnego wysiłku pracowników.

Z kolei w październiku 2016 roku odbyła się w Warszawie konferencja „Firma z duszą”, na której o tzw. turkusowych organizacjach rozmawiali m.in. profesor A. Blikle, profesor J. Hausner i wielu przedsiębiorców. Konferencja była zainspirowana publikacją Lalo-ux. Podobnie jak bohaterowie jego badania, organizatorki obu wydarzeń nie znały się wcześniej. Były zachwycone odkryciem, że niezależnie, w różnych miejscach w Polsce promują te same wartości.

Co to są turkusowe organizacje?

To firmy z zespołowym podejmowaniem decyzji w sprawie podziału zadań, samoorganizujące się, w których często nie ma szefów,

hierarchii, regulaminów, ocen pracowniczych, premii i sztucznych regul. Są za to zespoły ludzi, którzy ze sobą współpracują w imię celu, dla którego się połączyli. Sami o wszystkim decydują. O terminach, budżetach, podziale zadań, łącznie z tym, ile zarabiają poszczególni członkowie zespołu. Brzmi jak utopia albo anarchia? Nic bardziej błędnego. To model pracy świadomych ludzi, którzy nie potrzebują kija i marchewki. Pracują, bo chcą coś zrobić i jednocześnie zarobić pieniądze. Te dwie motywacje są co najmniej równorzędne. Pierwsza często ważniejsza. Takie firmy istnieją, także w Polsce. Identyfikuje je prof. Blikle i opisuje na swoim blogu moznainaczej.com.pl. Nie nazywają siebie turkusowymi, często nie znają nawet takiego terminu. Wyróżnia je zaangażowanie, zadowolenie z pracy i z życia tworzących je ludzi.

Gość z niewyczerpanym pierwiastkiem pozytywnej naiwności

– Bardzo rzadko mówię autorytarnie, że coś ma być zrobione tak a tak – opowiada Strzelewicz. – Takie zachowanie chyba podcinałoby skrzydła mojemu bardzo ambitnemu zespołowi. Staram się nie prezesować, bo siła leży w całym naszym zespole. Jestem po prostu gościem z niewyczerpanym pierwiastkiem pozytywnej naiwności. Jeśli postanowię stworzyć kostkę cyfrową, co będzie wymagało ode mnie zbudowania w ciągu roku czterdziesto-, pięćdziesięcioosobowego zespołu i znalezienia 20-30 mln zł na tę inwestycję, to nic mnie nie zatrzyma. Oczywiście nie czymś kosztem. Mam nadzieję, że jest to inspirujące dla ludzi dookoła – mieć kogoś, kto nie zatrzymuje się nawet w obliczu problemów. Myślę, że to sprawia, że ludzie chcą ze mną pracować – opowiada bardzo zwyczajnie. – Wiesz? Trudno mi się o tym mówi. O wiele łatwiej mi się tak po prostu działa – dodaje.

– Jeździmy na targi po całym świecie: USA, Włochy, Australia, Ameryka Pd. Zawsze daję kilka dni wolnego pracownikom na zostanie w miejscu targów i pozwiedzanie. Bo co to by była za atrakcja pojechać na targi, np. do USA, spędzić cały dzień na stoisku i zupełnie nic nie zobaczyć? Jeśli wolne jest dłuższe, tak jak to będzie mieć miejsce wkrótce w Australii, pracownik finansuje pobyt częściowo ze swoich pieniędzy.

– Śpimy zawsze w porządnym hotelach. Na przykład dwa lata temu spaliliśmy w pięknym starym zamczysku, w którym kiedyś stacjonował Napoleon. Śniadanie bajeczne, okoliczności przyrody cudowne. Wiesz... Oni tam sprzedają te kostki. Nieziemskie ilości, przez wiele godzin i widzą, jaką kasą obracamy. Więc nie zafunduję im hotelu za 10 euro! Poza tym wrócą zmęczeni, będą ich bolały nogi i plecy, ale dzięki temu, że mają jednocześnie takie małe wakacje, wracają szczęśliwi. Mają być opaleni i wypoczęci. Dzięki temu nie mam problemu, gdy jest kolejna taka delegacja... Staram się też, żeby za każdym razem w tych wyjazdach uczestniczyli inni pracownicy, żeby każdy miał szansę.

Bardzo dobre warunki wyjazdów służbowych podkreśla też Brylczak.

– Co jeszcze jest ważne w zarządzaniu ludźmi? – pytam, zachwycona takim podejściem.

– Trzeba im ufać. Pracuję z rodziną i przyjaciółmi i ogólnie mam dobre doświadczenia łączenia relacji prywatnych i służbowych. To nie jest tak, że nigdy nie przejechałem się, ale w 4/5 przypadków zaufanie w pracy mi się sprawdza. Pamiętam też pewną sytuację wiele lat temu w firmie ojca, kiedy zaczęły zniknąć sprzęty. Okazało się, że wynosił je pracownik, ale ojciec nie stracił przez to wiary w ludzi. To jest przykład, że nawet jeśli na kimś się zawieziemy, to nie znaczy, że następna osoba nie zasługuje na kredyt zaufania. Właściwie tego zaufania nauczył mnie ojciec, pozwalając mi prowadzić firmę w wieku 23 lat. Sam był doświadczonym przedsiębiorcą, ale nie wtrącał się. Wtedy czułem, że jest to ciężar. Trzeba było zakasać rękawy i ciężko pracować, bo mieliśmy trudną sytuację materialną. Nie było czasu, żeby to analizować, ale dzisiaj jestem rodzicom za to wdzięczny. Dzięki ich zaufaniu i temu, że to udźwignąłem, uwierzyłem w siebie jako lidera.

Poniedziałek nowym piątkiem

Zlokalizowana na Murawie Cognifide Polska, firma tworząca serwisy i portale internetowe dla wielu znanych światowych marek, jest kopalnią pomysłów, co zrobić, żeby zespołowi młodych ludzi dobrze się u nich pracowało.

Wymyślili na przykład, że zamienią niesławną atmosferę poniedziałków w wyluzowaną atmosferę piątków. W jeden z takich poniedziałków witali pracowników jabłkami z inspirującymi hasłami, w inny na lustrach wypisali miłe cytaty, na przykład „Uśmiechnij się – jesteś piękna”. W jeszcze inny przyklejali sobie nawzajem miłe karteczki na biurka czy monitory. Celem było wywołać uśmiech kolegi czy koleżanki – mówi Magdalena Owsiana, Starszy specjalista ds. PR i Marketingu.

Żałuję, że nie mogłyśmy porozmawiać dłużej, bo lubię pomysły przełamujące stereotypy i znalazłabym w tej firmie dużo więcej inspiracji.

Oglądanie meczu w czasie pracy?

W ważnych momentach w wielkim Volkswagencie Poznań zatrzymuje się produkcję. Zrobiono tak również na czas meczu Polska–Niemcy w trakcie Mistrzostw Europy 2016 w piłce nożnej.

– Na halę produkcyjną przyniesiono ławki i na telebimach załoga i zarząd wspólnie oglądali mecz. Przynieśli trąbki, szaliki, wymalowali flagi na twarzach. Atmosfera była niesamowita. A najbardziej wtedy, kiedy zarówno Polacy, jak i Niemcy stali podczas śpiewania obu hymnów. Nikt im tego nie kazał. Zrobili to sami, spontanicznie. Najbardziej charakterystyczny w Volkswagencie jest szacunek dla ludzi. W tamtym momencie to było bardzo widoczne – mówi poruszona Dagmara Prystacka, rzecznik Volkswagena. Przyznam, że i mnie przeszły ciarki, kiedy to usłyszałam.

Z kolei w Solarisie przesunięto godziny rozpoczęcia pracy zmian, tak aby panowie mogli wieczorem obejrzeć mecze.

Niedawno został otwarty kolejny zakład Volkswagena we Wrzesznie. Budowało go i pracowało przy jego rozruchu wielu pracowników z Poznania. Na uroczystość otwarcia zostało zaproszonych 1000 osób.

– Nie mogliśmy zaprosić wszystkich. To byłoby fizycznie niemożliwe. Dlatego znowu zatrzymaliśmy produkcję i zorganizowaliśmy transmisję na żywo, aby każdy pracownik mógł zobaczyć nasz nowy zakład. Pracownicy wrzesińskiej fabryki mogli przez dwa dni zwiedzać ją z rodzinami. To frajda, szczególnie dla dzieci, bo na co dzień nie ma takiej możliwości – opowiada Prystacka.

Dlaczego ludzie chcą tu pracować?

Kiedy o to pytam, oprócz szacunku do ludzi, który często podkreśla, Prystacka wymienia pewność zatrudnienia i poczucie bezpieczeństwa wynikające z bardzo rzetelnej komunikacji.

– Jest taka zasada w Volkswagencie, że żadna informacja o firmie nie wyjdzie na zewnątrz Volkswagena, zanim nie prześlemy jej najpierw pracownikom. Żadnych niespodzianek, sensacji w gazetach, powodów do plotek. Ten sam szef, jasne cele i strategia na najbliższy rok. Wszystko jest przewidywalne. Ważne informacje zarząd przekazuje osobiście pracownikom na hali, osobno na każdej zmianie. Zebrania te trwają czasem nawet po trzy godziny. Pracownicy mają wtedy okazję zadać zarządowi wszystkie nurtujące ich pytania. Na bieżąco są informowani co tydzień przez swoich mistrzów produkcji, a raz na miesiąc wychodzi gazeta „Głos Volkswagen Poznań”.

Prystacka mówi z dumą, że mają bardzo niską, 1% rotację pracowników. Volkswagen bardzo dokładnie przeprowadza proces rekrutacji, długo podejmuje decyzje, ale kiedy już zatrudni pracownika, to chce zostać z nim do emerytury i wie, że musi w niego inwestować. Kiedy moja rozmówczyni przyszła do firmy, zaskoczyło ją to partnerskie podejście do pracownika. Nie czuła hierarchii i uważa, że pełni ona w firmie funkcję raczej porządkującą, a nie ograniczającą.

Z innych przykładów dbania o pracownika Prystacka wymienia przychodnię z lekarzem, rehabilitację czy siłownię działające na terenie zakładu. Od niedawna firma oferuje podstawowe pakiety medyczne dla każdego spośród 10 tysięcy pracowników! Kobiety w ciąży pracują po sześć godzin dziennie, ale otrzymują pełną pensję. Dostają również miejsce parkingowe obok swojego miejsca pracy, żeby nie musiały daleko chodzić, bo parkingi w Volkswagencie to prawdziwe hektary. Niby drobiazg, ale dla tej konkretnej osoby przez kilka miesięcy jest dużym ułatwieniem.

A jeśli ktoś chce rozwijać się poza granicami kraju, to również ma taką możliwość. Polacy pracują zarówno w centrali w Niemczech, jak i w odległym Meksyku.

Stange Olszewska także słynie z dbania o pracowników, ich rodziny, ale nie tylko. Dla dzieci pracowników wybudowała żłobek.

– To najpiękniejszy żłobek w Europie! – uważa jej synowa.

Jest położony obok zakładu, ale schowany w lasku. Dzieci hodują tam na przykład kury, żeby wiedziały, skąd się biorą jajka. Mają też plac zabaw, na którym nie mogło zabraknąć makiety ulicy i znaków drogowych. Bezpieczeństwo na drodze to jeden z naszych priorytetów. A dla dorosłych prowadzimy szkolenia z bezpiecznej jazdy, opowiada Olszewska w wywiadzie z Joanną Rubin w książce *Twarze polskiego biznesu. Rozmowy „na kawie”*.

Olszewska prowadzi również szeroką działalność społeczną. Wspiera dzieci pokrzywdzone przez los, opiekuje się niechcianymi zwierzętami i roślinami. Dlaczego to robi?

– Jestem w takim okresie życia, że przychodzę do firmy, już nie do pracy. Moim celem jest to, aby miejsce, które stworzyłam, jego filozofia działania przyczyniła się do budowy lepszego świata – wyjaśnia.

Pomagać sobie nawzajem, pomagać też innym

– Pamiętam, że na trzy tygodnie przed Świętami Bożego Narodzenia jednej z naszych pracownic spłonęła kuchnia. Jej koleżanka wysłała maila do kilku wybranych osób w firmie, proponując zbiórkę pieniędzy na pomoc. Wiadomość rozprzestrzeniła się do kolejnych osób. Pieniądzy zebrano tyle, że starczyło na remont generalny kuchni i odmalowanie mieszkania, a na końcu kilka osób przyszło pomóc jej posprzątać i święta udało się przygotować w nowej kuchni – opowiada Prystacka.

– Naszemu koledze poważnie zachorowało dziecko. Umożliwiliśmy mu bardzo indywidualny rozkład czasu pracy. Było dla nas naturalnym, że jego priorytetem jest rodzina. Dzieci naszych pracowników są dla nas ważne. Starsze często zgłaszają się na praktyki. Bardzo nas to cieszy, bo to znaczy, że w ich domach jesteśmy postrzegani jako dobra firma – mówi Brylczak. A dla młodszych organizujemy Mikołajki i Festyn Rodzinny.

Schattdcor wspiera również społeczność lokalną. Nie sponсорuje jednak biernie wydarzeń, ale aktywnie angażuje się w różne akcje. Na przykład współfinansuje Bieg Lwa w Tarnowie Podgórnym, w którym bardzo licznie uczestniczą pracownicy firmy. Wybrali tę imprezę dlatego, że są zlokalizowani na terenie tej gminy.

Jednocześnie wspierają witalność zarówno swoich pracowników, jak i mieszkańców gminy. Nie będziemy sponsorować znanych drużyn piłkarskich, ale lokalny młodzieżowy klub sportowy tak – mówi Brylczak. – Kiedyś poproszono nas o sfinansowanie remontu przedszkola. Zgodziliśmy się kupić farby i narzędzia, ale chcieliśmy, aby to rodzice dzieci je odmalowali. Tak właśnie chcemy działać: dajemy coś od siebie, ale chcemy zaangażować do aktywności innych ludzi – dodaje.

Dlaczego?

Po pierwsze, ludzie, którzy pracują w optymalnych warunkach, są bardziej pomysłowi i kreatywni. Zbadaliśmy i zmierzylśmy, że tak jest i przynosi to realne korzyści firmie. Po drugie tak jest po prostu sensowniej. Wprawdzie trudniej jest wdrożyć się w pracę w firmie, gdzie jest autonomia, ale jeśli ludzie wykorzystują swój potencjał, rozkwitają – podkreśla Łaciak z Phoenix Contact. Dobra praca leczy. Pomaga nawet przejść przez trudne okresy w życiu, jakie czasem każdemu z nas się zdarzają. Wszystkim jest łatwiej – podsumowuje moje rozmowy.

Dziękuję Joannie Rubin, autorce książki Twarze polskiego biznesu. Rozmowy „na kawie” za spotkanie i miły prezent, jakim okazała się jej książka. O tym, że Solange Olszewska dba o swoich pracowników wiem, bo jestem poznanianką. Ale wszystkie wypowiedzi pani Olszewskiej pochodzą z wywiadu, który przeprowadziła Joanna. Również niektóre informacje o profesorze A. Blikle.

Dorota Krajewska-Roszyk – coach, konsultant biznesu. Przeprowadzała piętnaście lat z przedsiębiorstwami w jednym z najlepszych banków świata. Poznań, Warszawa, Nowy Jork – to była praca marzeń. Ale kiedy nastał okres kolejnych zwolnień grupowych, dwie zasłyszane historie

zmieniły jej życie. Historie te dały początek projektowi można.pl – miejscu, gdzie Dorota przedstawia ludzi, którzy mocno zmienili swoją karierę oraz biznesy, które działają inaczej niż większość. Robi to po to, żeby zainspirować innych do dobrych zmian. I po to, by pokazać, że w Polsce można. Można.pl.





**PRADZIADEK Z ARCHIWUM. JAK ODSZUKAĆ
TO, CZEGO NIE ZAPISANO...**

EWA SPŁAWSKA





Władysław

Władysław płynie do Ameryki zarobić pieniądze. Wyrusza z Bremy, statek nazywa się Crefeld, opuszcza niemiecki port 13 marca 1902 roku. Podróż morska trwa czternaście dni. Władysław odbywa ją jako pasażer trzeciego pokładu (po niemiecku to *zwischendeck*, po angielsku *steerage deck*, dosłownie zatem „międzypokład”). Warunki są fatalne, jest ciasno, duszno, jedzenie serwowane w trzeciej klasie kiepskie. Czy wiedział, że warto mieć ze sobą suszoną kielbasę, suchary i butelkę gorzałki na wypadek, gdyby chwyciła go choroba morska?

Pod koniec marca dociera szczęśliwie na Ellis Island. Co myśli, gdy patrzy pierwszy raz na Statuę Wolności? Czy boi się, że nie podoła wyzwaniu?

Manifest okrętowy spisany przez kapitana statku poświadcza, że Władysław jest biały, jego ciało nie nosi oznak deformacji, nie jest kaleką, potrafi czytać i pisać, wykonuje zawód robotnika – *labourer*. W rubryce dotyczącej wyznania zanotowano: „katolik”.

Władysław nie zamierza osiedlać się w Ameryce na stałe, jest żonaty, w kraju czeka na niego Anna z dziećmi. W jego przypadku zamorski wyjazd to emigracja sezonowa.

Jak żona daje sobie radę podczas jego nieobecności? Z czego płaci komorne? Bo Władysław to komornik, czyli chłop bez ziemi, bez własnej chałupy, pochodzący spod Zbierska koło Kalisza.

Hasło „komornik w XIX wieku” jest w internecie popularne i szuka się go na licznych forach genealogicznych. Genealogdy-amatorzy mają wątpliwości, kto to, zdarza się nawet, że niektórzy mylnie sądzą, że to odpowiednik współczesnej profesji prawniczej. Ciekawej lektury na ten temat dostarcza forum Genealodzy.PL oraz forum Wielkopolskiego Towarzystwa Genealogicznego Gniazdo.

Władysław ma przy sobie dolary – niewiele, ale liczy, że w podróży powrotnej będzie już bogatszy. Ciężkiej pracy się nie boi. Nazwiska współpasażerów odnotowanych na tej samej liście, wskazują, że wielu z nich pochodzi z dawnej Polski. Ale ich narodowość zanotowano różnie, w zależności od kraju okupanta. Są zatem wśród nich Rosjanie, Austriacy, Polacy z Galicji. W manifestie okrętowym zapisuje się, kto zaprasza danego pasażera i gdzie ten się zatrzyma, ile ma pieniędzy, czy posiada bilet do docelowego miejsca podróży.

W przeciwieństwie do większości jego współpasażerów z Polski, zwłaszcza tych z Galicji, Władysław nie jedzie do Chicago. Jedzie do farmera. Przechodzi pozytywnie kontrolę w porcie Ellis Island, jest zdrowy i silny. Nie ma jaglicy, której panicznie boją się Amerykanie, ani innej choroby zakaźnej, nikt nie stawia mu kredą na odzieniu krzyżyka, który dyskwalifikuje imigranta do dalszej podróży.

Zapisy w manifestach okrętowych są dokładne i staranne, ale nie zawsze prawidłowo odnotowują nazwę polskiej miejscowości lub nazwisko pasażera. Dlatego trzeba przeszukiwać je na różne sposoby – polskie nazwisko mogło ulec zniekształceniu, gdy zapisywał je obcokrajowiec.

Skany oryginalnych manifestów znajduję na stronie internetowej Ellis Island. Można je także odszukać w witrynie Family Search, która zawiera internetowe zasoby Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich, znane też jako archiwa Mormonów.

Na stronie Ellis Island zamieszczane są zdjęcia statków, którymi w XIX wieku imigranci przyплыwali, oraz ich dane: gdzie i kiedy były zbudowane i jak zakończyły ostatnią morską podróż.

Chcę się dowiedzieć, co spowodowało podjęcie przez Władysława decyzji o wyjeździe do dalekiej Ameryki. Czy na podróż namówił go agent emigracyjny? Czy zrobił to krewny albo sąsiad, który wyjechał pierwszy? A jeśli Władysław był pionierem w swojej wsi i sam znalazł werbownika, żeby zdobyć bilet na statek i na kolej do Bremy? Czy musiał pożyczać pieniądze, wystawiać weksle?

A może to Anna zaplanowała wyjazd Władysława? Sama dobrze zna smak ciężkiej pracy na obczyźnie, jeszcze jako panna zatrudnia się przy wykopkach ziemniaków w Westfalii. Pracuje szybko i dobrze, opanowuje niemiecką technikę pracy do perfekcji. Język też przyswaja prędko. Kiedy nadejdą wojny, ta znajomość języka bardzo jej się przyda.

Ale teraz Anna jest młoda, myśli o przyszłości, mokra ziemia i mróz przy wykopkach wykrzywiają jej palce u rąk, na starość będzie cierpieć na reumatyzm. Wspólnie z Władysławem ciężko pracują na chleb i na izbę, chcą być na własnym.

Rodzina Władysława nie zna wielu szczegółów z jego życia. Po ich pradziadku pozostały data urodzenia i data śmierci na nagrobku oraz opowieści przekazywane ustnie. Nie zachowała się ani jedna

fotografia Władysława i Anny, nie ma żadnych pamiątek, listów, paszportu Władysława, biletu na statek. Prawnuki i praprawnuki próbują ustalić, co działo się z nim od jego urodzenia w 1869 roku do 1934 roku, kiedy zmarł na gruźlicę. Czy jako dziecko chodził do szkoły? Kiedy i w jakim kościele go ochrzczono? Kiedy i gdzie ożenił się z Anną? Kto był świadkiem na ich ślubie? Czy służył w wojsku? Kim byli rodzice Władysława? Co się stało z jego rodzeństwem? Zadanie nie jest łatwe.

Na szczęście są archiwa

Od czego zacząć? Akta metrykalne? Wizyta w urzędzie stanu cywilnego czy w archiwum państwowym?

Barbara Cywińska, sekretarz Wielkopolskiego Towarzystwa Genealogicznego Gniazdo, podpowiada mi, jakie bazy warto przejrzeć w internecie. Linki do nich znajdują na stronie WTG Gniazdo. Ta strona od razu staje się moją ulubioną.

Poznań Projekt to działający od 2000 roku projekt indeksacji XIX-wiecznych małżeństw z terenu historycznej Wielkopolski. Jego koordynatorem jest Łukasz Bielecki. Na stronie internetowej widnieje informacja, że „obecnie w bazie danych znajduje się ponad milion rekordów z lat 1800-1899, co stanowi około 3/4 ogólnej liczby zawartych w tym czasie ślubów”.

Niestety, nie znajduję wśród nich Władysława. Muszę odszukać parafię, w której mieszkali z Anną, i ustalić, czy księga została przekazana do archiwum.

Kolej na bazę BaSIA. Czytam na stronie internetowej archiwum, że „odnaleźć w nim można nazwiska poszukiwanych osób, odnośniki do skanów, akt metrykalnych oraz inne informacje, pozwalające zidentyfikować rodziny, miejsca i podstawowe fakty z ich historii. Baza tworzona jest za pomocą aplikacji ASIA (Automatyczny System Indeksuacji Archiwalnej), która przede wszystkim pozwala w przyjazny sposób indeksować akta archiwalne, a jednocześnie odgrywa rolę pośrednika w procesie indeksacji i udostępniania jej wyników on-line”.

Baza jest na bieżąco uzupełniana, w listopadzie 2016 roku dodano do niej kolejne akta stanu cywilnego – Parafii Rzymskokatolickiej Królików, Parafii Rzymskokatolickiej Lubstów, Parafii Dąbie,

Urzędu Stanu Cywilnego Żabno, Urzędu Stanu Cywilnego Koryta. Jeżeli dziś nie znajdę danych, które mnie interesują, może się okazać, że za parę miesięcy będą już dostępne.

Baza danych ELA prowadzona przez Naczelną Dyрекcję Archiwów Państwowych wskazuje pod hasłem „Zbiersk” 22 rekordy. Z okresu, który mnie interesuje, dostępne są: księga stałej ludności, t. I-IV, tabele prestacyjne – włościanie dóbr, księga ludności wsi. Witryna ELA podaje, w którym archiwum są przechowywane.

Ustalam, że w przypadku aktów urodzenia dokumentacja starsza niż sto lat od wytworzenia powinna być już w archiwach państwowych. Akty małżeństwa i zgonu umieszczane są tam po osiemdziesięciu latach. Okresy te należy liczyć od końca roku kalendarzowego, w którym nastąpiło sporządzenie aktu stanu cywilnego, a nie od daty urodzenia czy zgonu. Kierownik stanu cywilnego w ciągu dwóch lat przekazuje takie akta do właściwego archiwum państwowego. Tak stanowią przepisy ustawy Prawo o aktach stanu cywilnego (Ustawa z dnia 28 listopada 2014 roku, Dz. U. 2014, poz. 1741).

Liczne wpisy na forum WTG Gniazdo pokazują, z jakimi trudnościami spotykają się zarówno początkujący, jak i doświadczeni genealogi. Częste są prośby o pomoc przy przetłumaczeniu aktu. W zależności od miejsca sporządzenia i tego, czy mamy do czynienia z aktami kościelnymi, czy z urzędowymi, dokumenty te są spisane po łacinie, po niemiecku bądź po rosyjsku. Znajomość języka może okazać się niewystarczająca, gdy nie odczytamy liter i nie złożymy danego słowa czy zdania. Stąd liczne prośby o pomoc w odszyfrowaniu pisowni, nazwy ulicy, imienia, stopnia pokrewieństwa.

Pasjonującą lekturą jest wątek na forum WTG Gniazdo pt. „Ciekawe zapisy w księgach metrykalnych”. Niektórzy księża, prowadząc księgi, dokonywali w nich licznych dodatkowych adnotacji. Dotyczyły one zjawisk pogody, chorób (na przykład panującej cholery), wojen albo informacji o dokonanych w parafii kradzieżach z wyszczególnioną listą skradzionych przedmiotów. Księża odnotowywali, że narzeczeni pomimo zapowiedzi nie wzięli ślubu, albo dopisywali spostrzeżenia na temat rodziców chrzestnych czy świadków.

Czy przy ślubie Władysława też znajduje się jakaś ciekawa adnotacja? Chcę znaleźć księgę, w której zapisano informacje o ślubie i zgonie Władysława.

Władysław wraca z Ameryki i przywozi do domu dolary. Jego podróż powrotna obrosła w legendę. Każdy jego wnuk i prawnuk powtarza ją swoim dzieciom. Otóż Władysław przez całe życie za nadto ufał ludziom. Negatywnych skutków tego zaufania doświadczył szczególnie w Ameryce. Kiedy ma już zgromadzone oszczędności, decyduje, że czas kupić bilet powrotny. Kolega straszy go, że jeśli statek utonie, wdowa i dzieci nie dostaną nic z jego pieniędzy. Władysław powierza większość dolarów koledze i zapowiada, że poinformuje go listownie, gdy szczęśliwie dotrze do kraju. Kolega ma przesłać pieniądze Władysławowi albo jego rodzinie, gdyby ten zmarł w podróży.

Władysław wraca do żony. Ma przy sobie część pieniędzy, przewozi je zaszyte w pasku do spodni. Pisze do kolegi w Ameryce, ale ten nigdy się do Władysława nie odezwie. Czy Władysław był aż tak naiwny? Jak dziś wytłumaczyć jego postępowanie i wiarę w dobre rady? Kim był człowiek, któremu zufała? Czy na pewno go oszukał i od początku chciał okraść? A może to cenzura zaborcy zatrzymała dalsze listy? Polska nadal jest przecież okupowana. Czy fałszywy doradca razem z Władysławem wypłynął z Polski i jego nazwisko znajduje się na liście pasażerów?

Pewne jest to, że los Władysława i Anny i tak odmienia się na lepsze. Przystają być komornikami, stają się właścicielami gospodarstwa rolnego. Są na swoim.

Akty notarialne zachowały się w archiwach. Próbuje sprawdzić, kiedy Władysław kupił gospodarstwo, zaile, od kogo. Szukam informacji. Każda jest bezcenna.

Marianna

Marianna i jej syn Jan zginęli śmiercią tragiczną. Tak głosi wryty w kamieniu napis na starym nagrobku znajdującym się na cmentarzu na poznańskich Jeżycach. Wcześniej umarł mąż Marianny. To właśnie w drodze na jego pogrzeb dochodzi do nieszczęścia. Wypadek komunikacyjny. Tyle wie rodzina. Dlaczego do niego doszło? W którym miejscu? Kto prowadził auto?

Córka Marianny, Stefania, dwa tygodnie wcześniej urodziła dziecko. Czy też jechała na pogrzeb ojca? Czy uczestniczyła w kolejnych dwóch? Nie będzie opowiadać o tych wydarzeniach ani dzieciom, ani wnukom.

Stefania nie lubi rozmawiać o swoim życiu przed wojną ani o samej wojnie. W PRL-u nie można było głośno mówić o tym, jak Rosjanie wyzwalali Poznań, co robili z kobietami, co się działo na Cytadeli. Mąż Stefanii też został przez Rosjan zabrany na Cytadelę. Takich wspomnień się nie spisuje, nie mówi się też o nich na lekcjach historii w powojennej Polsce.

Stefania patrzy więc w przyszłość, wychowuje dzieci, a ma ich ósemkę, chce, żeby zdobyły zawód i pracę. Nie karmi ich rodzinnymi tragediami i smutnymi opowieściami. Boi się o nie, zwłaszcza w czerwcu 1956 roku.

Na stronie WTG Gniazdo znajduję kolejną wyszukiwarkę: nekrologi. Skoro Marianna i Jan zginęli śmiercią tragiczną w drodze na pogrzeb, może jakiś poznański dziennikarz napisał o tym w przedwojennej prasie – temat smutny, ale medialny, kojarzy się sensacyjnie. Intuicja nie zawodzi. Wyszukiwarka odsyła mnie do „Kurieria Poznańskiego” z listopada 1938 roku. Znajduję artykuł poświęcony wypadkowi. Wdowa i jej syn jadą taksówką na pogrzeb. Kierowca, Marian Matuszewski, prowadzi auto z prędkością 60 kilometrów na godzinę. Przy ulicy Dąbrowskiego wpadają pod tramwaj. Samochód staje w płomieniach. Pasażerowie taksówki umierają w wyniku ciężkich poparzeń, wdowa przez parę dni walczy o życie w miejskim szpitalu. Bolesna śmierć.

Dowiaduję się z dalszej części artykułu, że w wyniku badań krwi przeprowadzonych przez Zakład Medycyny Sądowej w Poznaniu ustalono, że kierowca był nietrzeźwy – miał 1,4 promila alkoholu. Zastanawiamy się z rodziną Marianny, ile było taksówek w Poznaniu przed wojną, jakie było natężenie ruchu, jak to możliwe, że kierowca nie zauważył tramwaju, źle ocenił sytuację czy skręcił w ostatnim momencie? Informacja o alkoholu we krwi wiele tłumaczy. Dlaczego mieli takiego pecha, że właśnie kierowca ich taksówki był nietrzeźwy? Czy niczego nie zauważyli? Dziennikarz „Kurieria” podkreśla, że Matuszewski bronił się podczas śledztwa, zrzucając winę na niesprawne hamulce. Taką linię obrony wykluczy

późniejsza ekspertyza biegłych. Dzięki przedwojennej prasie wiemy, który prokurator przygotowywał akt oskarżenia przeciwko Matuszewskiemu. Czy rodzina chciałaby dziś dotrzeć do akt sądowych i poznać finał sprawy, czyli to, jaką karę otrzymał nietrzeźwy kierowca? Jak ten tragiczny wypadek zmienił jego życie i jego rodziny? Możemy to sprawdzić, są archiwa.

Szukam dalej śladów Marianny. Znajduję kolejną fantastyczną wyszukiwarke: Akta Miasta Poznania – Kartoteka Ewidencji Ludności 1871-1930. Indeks osobowy umożliwia wyszukanie w internecie mieszkańców Poznania z wyżej wymienionego okresu. Skany, w zależności od czasu powstania dokumentu, zapisane są po niemiecku lub po polsku, zawierają informacje o miejscu zamieszkania, dacie i miejscu zawarcia związku małżeńskiego, służbie wojskowej, dłuższym wyjeździe z miasta i o tym, jaki zawód wykonywała dana osoba. Przeglądam wybiórczo różne nazwiska. W przypadku kobiet w rubryce „zawód” wpisywano czasem stan cywilny: żona. Wcale nierzadko odnajduję też zapis „służąca”...

Niektóre nazwiska mają w wyszukiwarce specjalne adnotacje: samotni mężczyźni, samotne kobiety, żonaci, wdowy. Przypuszczam, że są to najpopularniejsze i najliczniejsze nazwiska z tamtego okresu – Bartkowiak, Hofman, Kowalski, Kruger, Krause, Krawczyk. Ma to ułatwić wyszukiwanie.

Znajduję w ewidencji rodzinę Marianny. Dowiaduję się, gdzie mieszkała, gdzie się urodziła. Pierwsze sukcesy zachęcają nas do dalszych poszukiwań. Archiwa czekają. Czas na metryki rodziców Marianny. Już wiemy, w której parafii szukać.

Jakub

Kiedy Władysław ciężko pracuje w Ameryce, we Lwowie rodzi się Jakub. Rodzina dba o jego wykształcenie. Jakub kończy dobre szkoły i studia wyższe. Uzyskuje tytuł i uprawnienia geodety – inżyniera mierniczego, co zapewnia jemu i rodzinie dostatnie życie przed II wojną światową. Jakub ze Lwowa dociera do Grodna, tam poznaje Konstancję, urodzoną w 1915 roku. Zakochuje się.

Konstancja nie wychodzi za Jakuba za mąż, Konstancję za Jakuba wydają. To jej matka – Stanisława – decyduje o ślubie, bo Jakub to dobra partia, jest przystojny, zarabia, no i patrzy w Konstancję jak w jakiś obraz święty.

Biorą ślub w 1936 roku w Grodnie, a w 1937 roku rodzi im się pierwsza córka, która umiera na zapalenie płuc, mając zaledwie trzy miesiące. Tragedia w rodzinie. W Grodnie Konstancja zachodzi w kolejną ciążę, przenosi się z mężem do Wilna, gdzie w sierpniu 1938 roku urodzi Wandę.

Jakub pracuje, a domem i dzieckiem zajmuje się babcia Stanisława. Chodzi z małą Wandą na spacer po Wilnie, jeżdżą na Cmentarz Na Rossie. Wanda jest opalona jak mała cyganczka, tak na nią wołają. Konstancja żyje w jeszcze większym dostatku, bywa w towarzystwie, na balach, rodzinę stać na wczasy, piękne stroje – tak ją pokazują zachowane fotografie. Jest młoda, chyba nie poznała jeszcze prawdziwej miłości, tej z wyboru serca, a nie swatów.

W 1939 roku następuje mobilizacja, Jakub zaczyna się szkolić i przygotowywać do wojny. Kiedy Rosjanie wkraczają do Wilna, zostaje aresztowany i wywieziony, prawdopodobnie do Katynia, ale ucieka z transportu. Konstancja, będąc w kolejnej ciąży, zostaje w Wilnie. Synek, który się urodzi, nigdy nie pozna ojca. O Jakubie nie ma żadnych wieści. Nie wiadomo, czy żyje, czy poległ w walkach, czy wywieźli go na Sybir, do łagru, czy siedzi w jakimś obozie jenieckim.

Niepewność. Tym słowem można podsumować najbliższe lata życia Konstancji. Tymczasem mieszka ona z dziećmi i matką w Wilnie, pracuje dla Rosjan, kopie rowy, wywozi ziemię taczkami, żeby utrzymać rodzinę. Babcia chodzi z maluszkami na rynek i sprzedaje zrobiony wcześniej kwas chlebowy – tak pomaga zarobić córce na życie.

Do Wilna wkraczają Niemcy. Litwini straszą Polaków gettem, dlatego Konstancja z matką i dziećmi uciekają do rodziny, do dworku, obok którego stoi leśniczówka. Wojna trwa, a oni siedzą schowani w lesie. Do okien zaglądają im sarny, do pokoju wskakują wiewiórki. Kresowa bajka, która niestety szybko się skończy.

Babcia Stanisława robi swetry i czapeczki dla wiejskich dzieci, nawet mała Wanda pomaga, jak tylko umie, robi kołnierzyki na drutach. Matka i córka z Wilna są wykształcone, czytają ludziom ze wsi listy z frontu i piszą dla nich odpowiedzi. Z tego żyją.

Czasami parostatkiem z Grodna przyływa siostra Konstancji – Pelagia, która w miarę możliwości też im pomaga.

Konstancja poznaje przez lata wojny, co to poniewierka, strach i ciężka praca fizyczna, jakiej za młodu nie była nauczona.

Wojna się kończy, a ona nadal nie wie, czy jej mąż żyje, czy może jest już wdową. Czeką na jakiekolwiek wieści. Przyjeżdża z rodziną na Ziemie Odzyskane, zaczyna życie od nowa w Gorzowie nad Wartą. Gorzów zostaje wówczas administracyjnie przypisany do województwa poznańskiego. Konstancja mieszka za Wartą w poniemieckim bloku. Chodzi do pracy do zakładów włókienniczych Stilon. Dzieci idą do polskiej szkoły.

Wkrótce Konstancja poznaje Jana. Jan zajmuje piękne umeblowane mieszkanie w kamienicy poniemieckiej. Para zakochuje się – mieszkają ze sobą bez ślubu przez kilka lat, z tego powodu Konstancja kłóci się z matką, która nie akceptuje związku córki. Stanisława wierzy, że Jakub żyje, mówi, że Konstancja za szybko pogrzebała go w sercu.

Wanda w 1946 roku wyjeżdża do cioci Pelagii do Gdyni, zostaje tam na trzy lata i uczy się.

Konstancja i Jan biorą ślub cywilny. Konstancja unieważnia ślub kościelny z Jakubem. W 1956 roku bierze ślub kościelny z Janem.

Kiedy przyszedł pierwszy list z Anglii? Przed ślubem cywilnym? Czy już po kościelnym? Zupełnie jak w filmie. List jest od Jakuba. Píše, że żyje, że przeszedł szlak bojowy z Andersem, jest w Anglii, szuka rodziny...

Co odpisuje Konstancja? Rodzina wiele by dziś dała, żeby odnaleźć tę korespondencję.

Jakub do Polski nie wraca. Jest pewne, że na takich jak on czekają ubeckie katownie i więzienia. Nie ma tu przyszłości i wstępu.

Konstancja zostaje z dziećmi w kraju. Jakub żeni się powtórnie w Anglii. Jakie informacje podał urzędnikowi do akt stanu cywilnego? Że jest wdowcem? Rozwiedziony?

Jakub przysyła paczki z jedzeniem i odzieżą pod obcym nazwiskiem. Nie chce narażać bliskich. Czy wie, że ma syna? Dlaczego kontakt się urywa? Kiedy i gdzie zmarł Jakub? Co robił w Anglii, jaką miał pracę, jakie życie? Czy był szczęśliwy z dala od Polski, od ukochanego Wilna, Grodna i Lwowa?

Szukamy Jakuba na witrynach Family Search, na MyHeritage, sprawdzamy bazy nekrologów w Wielkiej Brytanii.

Znajdujemy grób oraz informacje, w której alejce jest pochowany Jakub.

W Anglii żyje rodzina Jakuba. W Poznaniu mieszka rodzina Konstancji.

Czy po sprawdzeniu danych z archiwów uda im się spotkać i połączyć?

Franciszka

Franciszka także rodzi się na Kresach, w Petlikowcach Starych, powiat Buczaczy, w 1919 roku, w wolnej Polsce. Od 28 listopada 1918 roku kobiety mają pełne prawa wyborcze.

Dzieciństwo Franciszki na wsi nie jest łatwe. Szybko zostaje sierotą. Dużo pracuje, żeby się utrzymać. Nie ma możliwości ani finansów, żeby kształcić się tak jak Jakub czy Konstancja.

Ocalało jedno zdjęcie Franciszki sprzed II wojny światowej, ma na nim 16, może 18 lat, dziewczyna jest śliczna, ubrana w ludowy strój, pozuje wspólnie z siostrą, uśmiechają się do fotografa. Kolejne wspólne pozowane zdjęcie siostry wykonają w Koninie, już po wojnie, w zakładzie fotograficznym J. Sypniewskiego, przy ówczesnej ulicy Armii Czerwonej. Okazja ku temu będzie specjalna – siostra przyjedzie odwiedzić Franciszkę z bardzo daleka, bo jako żona obywatela Ukrainy zostanie po wojnie w ówczesnym ZSRR.

W dniu, kiedy fotograf robi jej zdjęcie w pięknym stroju ludowym, Franciszka jest młoda i nie wie, jaką niesprawiedliwą przyszłość szykuje jej los. Wychodzi za mąż za Michała, życie zmienia się na lepsze. Ale szczęście trwa tylko chwilę, bo wybucha wojna, mąż idzie walczyć.

Franciszce umierają dzieci, jedno w wieku czterech lat, drugie – mając zaledwie osiem miesięcy. Jest zrozpaczona.

Przez wieś idzie front, trzeba uciekać. Franciszka tuła się po obcych domach i ludziach, zdana na ich łaskę i niełaskę. Dokoła panuje głód, na polskich wsiach jest nędza, ludzie uciekają przed bandami. Rosjanie, Niemcy, banderowcy, sotnie UPA. Wichry historii nie oszczędzają Franciszki. Mąż nadal jest gdzieś na wojnie.

W marcu 1945 roku Franciszka musi opuścić Kresy. Podróż w nieznane trwa wiele tygodni. Bydlęce wagony, zimno, strach, czy aby na pewno nie wywożą ich na Wschód, w głąb ZSRR.

Dociera do Konina. Wraz z innymi repatriantami z jej transportu osiedla się we wsi pod Koninem, dawnej kolonii niemieckiej. Będzie dzielić stary, ponemiecki dom z Niemcami. Słowo „Niemiec” pisze się wówczas w Polsce małą literą. Niemców źle się traktuje, nawet jeśli są to kobiety, dzieci i starcy. Czekają, aż wywiozą ich do ówczesnego NRD. Trudne to sąsiedztwo pod jednym dachem. Dotychczasowi właściciele niby ciągle są u siebie, w swoim domu, ale już na łasce Polaków, nowych gospodarzy. A ci nowi Polacy tęsknią za swoim domem, na Wschodzie, za Bugiem. Ilu zabrało ze sobą klucze w nadziei, że może kiedyś tam wrócić? Czy Franciszka też chciałaby wrócić do miejsca, w którym pochowane są jej dzieci?

Franciszka zachowuje poprawne relacje ze swoimi Niemcami. Oni sami i ich potomkowie odwiedzają później rodzinę Franciszki, piszą listy, także już w wolnej Polsce.

Mąż, Michał, wraca z wojska w sierpniu 1945 roku, zaledwie pół roku później, w lutym 1946 roku, umiera.

Do dawnej wioski ponemieckiej przyjeżdża także Stefan z rodziną. Zostawia ojcowiznę, którą komornik Władysław kupił za dolary przywiezione z Ameryki, i zamienia ją na lepsze gospodarstwo ponemieckie z bardziej urodzajną ziemią.

Jego żona oraz synek również umierają w 1946 roku. Po śmierci żony zostaje na gospodarstwie z piątką dzieci, ze swoją matką, Anną, co na wykopki jeździła do Westfalii, oraz z teściową. We wsi jest sporo zabużaków. Inaczej żniwują, koszą, nie chcą pracować bez sierpa.

Wkrótce Stefan i Franciszka pobierają się. Franciszka szczęśliwie dożyje dziewięćdziesięciu trzech lat. Na Kresy nigdy nie wróci.

Szukamy informacji o rodzinie Franciszki na Kresach, o jej dzieciństwie, pierwszym ślubie. W bazie Archiwum Głównego Akt Dawnych, pod zakładką „genealogia”, znajduję skany – księgi metrykalne parafii wyznania rzymskokatolickiego z archidiecezji lwowskiej z lat 1604-1945. Są wśród nich księgi metrykalne prowadzone dla Petlikowiec Starych, sprawdzam wpisy z początku XX wieku. Pismo księdza jest bardzo czytelne. Nazwiska, które na przełomie XIX i XX wieku wypełniały księgę prowadzoną dla Petlikowiec Starych, od roku 1945 zaczynają zapełniać karty ksiąg parafialnych wioski ponemieckiej. Sami swoi.

Czy wiedza o przodkach, jaką odkrywają archiwa, zawsze spełnia oczekiwania szukających? Niektórych rozczarowuje, że pomimo nazwiska brzmiącego jak ze szlacheckich rodów, ich przodkowie byli bezrolnymi chłopami. Albo że praprababka była służącą, analfaberką, która wyszła za starszego od niej o trzydzieści lat wdowca, żeby polepszyć sobie byt. Smucą ich informacje o licznych zgonach dzieci w ich rodzinie.

Baz internetowych, wyszukiwarek ciągle przybywa.

Dla osób z Wielkopolski niezwykle cenne są bazy i wskazówki na stronie WTG Gniazdo, w tym baza „Powstańcy Wielkopolscy” oraz „Wielkopolscy Księża”.

Ale nasz przodek może być ujawniony także w innych rejestrach, mniej szlachetnych. Mogły być za nim wystawione listy gończe, możemy odszukać go jako dawnego więźnia zakładu karnego, osadzonego bynajmniej nie za działalność polityczną czy inne patriotyczne zasługi przeciwko okupantom, ale za pospolite kradzieże czy rozboje lub prostytutkę. Barwne historie Wielkopolan z pierwszej połowy XIX wieku opisały z humorem Dobrosława Gucia i Joanna Lubierska w książce *Jako cię widzą, tako cię piszą. Obraz Wielkopolanina w świetle listów gończych 1. połowy XIX wieku*.

Co zrobić z taką przeszłością?

Nie wszyscy krewni są zainteresowani wynikami poszukiwań – takie spostrzeżenia mają moi rozmówcy. Kiedy pytam, dlaczego zajmują się genealogią swojej rodziny, słyszę, że robią to z ciekawości, z pobudek rodzinnych, dla dzieci, dla przyszłych pokoleń, żeby lepiej zrozumieć siebie i własną rodzinę, żeby odtworzyć mechanizmy, jakie rodzina powtarza od pokoleń, żeby zapłacić lukę w historii rodziny.

Ale czasami chodzi po prostu o pieniądze. Na przykład, gdy nieruchomości ma nieuregulowany stan prawny, w księdze wieczystej jako jej właściciel nadal widnieje osoba, która od dawna nie żyje i nie wiadomo, kiedy i gdzie zmarła ani kim są jej ewentualni spadkobiercy. Znajdują się chętni, żeby odkupić prawa do spadku. Najczęściej zlecają w takiej sytuacji kancelariom prawnym poszukiwania spadkobierców, a te korzystają z pomocy wyspecjalizowanych firm prowadzących badania genealogiczne.

Szukamy też swoich korzeni z powodów zdrowotnych. Śledzimy przyczyny śmierci w aktach zgonu, sprawdzamy, czy w rodzinie

odnotowywano w przeszłości choroby psychiczne, albo jak częste były zgony przy porodach. Stare księgi metrykalne nieraz zadziwiają w kwestii terminologii.

Informacje o przodkach mogą być w aktach IPN-u, w starych kronikach szkolnych, dokumentach straży pożarnej.

Głośno zrobiło się ostatnio o przedwojennych interesach Prudential w Polsce, odkąd firma opublikowała na swojej stronie internetowej listę osób posiadających przedwojenne polisy na życie. Według danych biura w Londynie, na dzień wybuchu II wojny światowej odnotowano 4623 ważne polisy ubezpieczeniowe. Firma ogłosiła, że prosi o kontakt, jeżeli jest się jednym z ubezpieczonych lub krewnym byłego ubezpieczonego, a nadto ma się podstawy, by twierdzić, że posiada się ważne roszczenia.

Tropów i śladów jest dużo.

Przestroga od moich rozmówców – gdy zaczynasz szukać, to już nie możesz przestać.

Genealogia uzależnia.

Imiona bohaterów na prośbę rodzin zostały zmienione.

Ewa Sławska – z wykształcenia prawniczka, absolwentka UAM w Poznaniu. Dwukrotna laureatka ogólnopolskiego konkursu na opowiadanie kryminalne i uczestniczka warsztatów literackich Międzynarodowego Festiwalu Kryminału we Wrocławiu w 2015 i 2016 roku. Jej debiutanckie opowiadanie Wokanda ukazało się w Magazynie Literacko-Kulturalnym „Chimera” w 2015 roku wśród najciekawszych tekstów napisanych w ramach konkursu Otwartym Tekstem.





MUZA
- MÓJ DRUGI DOM

PATRYK RZEMYSZKIEWICZ



Światła powoli odkrywają skrytą w mroku salę. W głowie wciąż huczy świst pocisku, a przed oczami widnieje zastygła i wstrząśnięta twarz głównego bohatera. Mam wrażenie, jakbym został tu sam, choć przecież osób dookoła wcale nie jest mało. Nie spieszę się ze wstaniem z fotela, zresztą w tym momencie czuję się z nim zrośnięty. Najchętniej nie robiłbym tego wcale, ale obejrzał *Polowanie* jeszcze raz.

Nie bardzo zdaję sobie sprawę z tego, że jestem już na zewnątrz. Powietrze jest ciepłe i ma słodki posmak. Mimo kilku kilometrów drogi do domu (świadomie mijam autobusy i tramwaje). Po takim wstrząsie potrzebuję długiego spaceru. Pomyśleć, że mogłem być teraz w zupełnie innym miejscu. W końcu to Juwenalia, gorąco, muzyka i procenty. Dobra zabawa w plenerze. Wybrałem kino Muza i odkryłem jedną z jego atrakcji. Przyzwoicie tanie czwartki, czyli niedawno grane filmy bądź tematyczne klasyki w cenie części normalnego biletu. *Polowania* już od dawna nigdzie nie wyświetlają, ale tutaj miałem niepowtarzalną szansę, by nadrobić zaległości. Nie tylko zobaczyłem znakomitą produkcję, ale znalazłem miejsce, które stało się jednym z ważniejszych na mojej kulturalnej mapie Poznania.

Od tego momentu minęły ponad cztery lata. Kiedy to się stało? Gdzie przemknął ten czas? Trudno powiedzieć. Wiem jednak, że wiele godzin było związanych z miejscem, przed którym właśnie stoję, skrytym w bramie na Świętym Marcinie pomiędzy świeżo otwartą knajpką a kantorem. By dotrzeć do drzwi, należy przejść przez korytarz, gdzie za oszklonymi witrynami skrywają się informacje o mocy wydarzeń. Zapowiedzi przedpremier, plakaty grających produkcji, spotkań z twórcami, dyskusji. Zachęta, by wejść do środka i dać się porwać filmowym emocjom.

Przekraczam próg i już jestem po drugiej stronie lustra. Z kosa wystają zwinięte plakaty, wypustki na ścianach uginają się od ulotek. Na ekranie w rogu zapętlają się kolejne zwiastuny. Ruszam przed siebie i po chwili napotykam uśmiech. To Dorota, kasjerka. Druga obok Ani weteranka kina Muza. W jej oczach jestem już znajomym i zauważam w nich radość spowodowaną moją kolejną wizytą. Takie drobnostki sprawiają, że dzień staje się lepszy.

Kiedy rozmawiamy o Muzie, nie mogę się nadziwić jej pozytywnej energii. Jest jak uosobienie wiosny, wokół której wszystko rozkwita. Szczególnie gdy mowa o publiczności, której nie może się nachwalić.

– Na przestrzeni tych wszystkich lat nigdy nie miałam problemu z ludźmi – mówi moja rozmówczyni. – Ja ludzi kocham, lubię, i to tak oddziałuje, że wszyscy są tu pozytywnie nastawieni, mili. Większość widzów znamy, i to też cenię. Panuje rodzinna atmosfera, wiemy, na których miejscach siadają dani goście. Nie potrafię powiedzieć, kiedy zleciały te wszystkie lata. Miałam różne pomysły na życie, ale jednak zostałam tutaj. Może to magia tego miejsca, ludzi, których tu spotykam.

Najbardziej jednak lubię fragment, w którym opowiada o jednym z donośniejszych wydarzeń, jakim było stulecie kina. W każdym słowie czuję miłość do tego miejsca. Emocje tak świeże, jakby to wszystko wydarzyło się wczoraj: – Słuchaj, ale wiesz, jakim wspaniałym wydarzeniem było stulecie?! Ty wiesz, jaka to była impreza! 100 filmów na 100 ostatnich dni roku. Codziennie jakiś obraz, a zwieńczeniem noc sylwestrowa. Był olbrzymi tort w kształcie szachownicy. Ale jaka to była impreza, słuchaj. Wyświetlaliśmy *Brzdąca* wtedy. Bardzo dużo gości zostało zaproszonych. Wszystko stylizowane na sto lat do tyłu. Cały dzień tu byliśmy, mieliśmy stroje z teatru, ubierali nas i charakteryzowali. Ja byłam w kapeluszu, w długiej sukni, faceci we frakach. To było najlepsze wydarzenie w ciągu tych moich dziewiętnastu lat. Muzycy na żywo, czerwony dywan, zabytkowy samochód. Chętnie przeżyłabym to jeszcze raz.

Jeżeli po dziewiętnastu latach pracy wciąż widać taki niekłamanym entuzjazm, to trudno się dziwić, że już od wejścia Muza emanuje zupełnie inną atmosferą niż pozostałe kina. Takie wyjątkowe nastawienie się czuje, otula człowieka w progu, jak gruby koc w mroźny dzień.

Nie była to moja pierwsza rozmowa z osobą związaną z Muzą. Najpierw padło na Pawła, biletera. Trafił tu na praktyki i tak już został na dwa lata. Przenikliwy, bystry i pewny siebie (co tworzy pewien specyficzny dystans). Wystarczy jednak chwilę z nim pogadać, by zobaczyć gościa z pasją, który cieszy się tym, co robi,

choć daleki jest od bezkrytyczności wobec świata. Jego głos żyje własnym życiem i często zaskakuje wdzięczną onomatopcją. Lubi opowiadać, wiele widzi i słucha się go z przyjemnością.

Od ponad roku zajmuje się Dyskusyjnym Klubem Filmowym i ten temat przyciąga moją uwagę. Sam bardzo lubię uczestniczyć w prelekcjach i późniejszych dyskusjach z widzami. Nie mogę się powstrzymać i pytam o jego spojrzenie na te spotkania.

– Bardzo dobrze wspominam DKF za *Coś za mną chodzi* i *Aż do piekła* – odpowiada. – Mam takie podejście, że jak ludzie zaczynają ze sobą rozmawiać o filmie i się nie zgadzają, nie należy ingerować, dyskusja powinna płynąć sama, i przy tych filmach płynęła. Cenne jest też, gdy ludzie rzucają czasem naprawdę świetne uwagi. Przy *Aż do piekła* jeden z widzów zaczął tak: „może to jest nadinterpretacja, ale...”, po czym zinterpretował jakieś trzy sceny. Słuchając go, pomyślałem: „to jest faktycznie w filmie, ma ręce i nogi”. Wtedy się czuje, że dyskusja ma sens, bo rzuca jakieś nowe światło na film.

Na pytanie o najbardziej godne zapamiętania momenty Paweł odpowiada:

– *Kieł*. Film, który wydaje się dramatem społecznym, ale sytuacja tam przedstawiona jest tak absurda, że trudno to odnosić do społeczeństwa, choć można znaleźć pewne analogie i tropy. To nie była jakaś super dyskusja, trwała około pół godziny. Pamiętam, że podszedł do mnie koleś, który podczas dyskusji nie powiedział ani słowa. Zaczął kontynuować wątek i przegadałem z nim kolejne piętnaście minut przed kinem. Nie wiem, czy wstydził się przed szerszą publiką, czy to były zbyt osobiste historie. Pamiętam, że zupełnie się tego nie spodziewałem. Pierwszy raz ktoś podszedł do mnie i chciał rozmawiać jeszcze po spotkaniu. I to na takie tematy, które mógł pociągnąć na seansie, ale nie czułem, że to wymuszone, że odtwarzam tę dyskusję dla jednej osoby. Wręcz przeciwnie, to miało sens.

Trudno, bym w tym miejscu sam nie zastanowił się nad spotkaniem DKF-u, które najbardziej zapadło mi w pamięć. Pierwszy raz odezwałem się podczas dyskusji o *Coś za mną chodzi*. Nie mam pojęcia, dlaczego się odważyłem, ale chyba nie mogłem dłużej tłumić własnej interpretacji. Mimo wrodzonej nieśmiałości i wstydu

powiedziałem, co miałem do powiedzenia, i wyszło to chyba nie najgorzej.

Pamiętam też ostatnią wizytę na filmie *Dwa dni, jedna noc*, która idealnie ilustruje pierwszą wypowiedź mojego gościa: – Cisz. Eloquentny prowadzący zachęca do dyskusji. Współczuję mu w tym momencie, bo wiem, jak trudne to zadanie. Sprawić, żeby ten pierwszy głos przebił ścianę ciszy. Otworzył przed resztą publiczności drzwi do rozmowy. Pamiętacie *Stowarzyszenie umarłych poetów*? Ktoś musi wstać, by reszta odważyła się na ten krok i z dziesiątek gardeł wyszło szlachetne pożegnanie.

Pan w ciasno zawiązanym szaliku patrzy na nas proszącym wzrokiem. Sam stara się, jak może, naprowadza, byle zacząć. Ten pierwszy głos to klucz do udanej dyskusji. I oto jest. Mamy to, pierwsze słowa. Niepewne, niezgrabne, dość niezrozumiałe, ale są. To już coś, choć może wydawać się niewiele.

W tym momencie już wiem, że muszę zabrać głos. Brzmi to pysznie, ale chcę rozkręcić tę dyskusję. Denerwuję się, bo wolę słuchać niż mówić. W końcu się otwieram. Początkowo nie mogę złapać myśli. Wyrywa się niczym śliska ryba wyciągnięta z wody. Szamocze i nie pozwala się na niczym skupić. Jednak gdy zaczynam swój wywód, niesforna myśl znajduje ujście. Może nie jest to wywód miesiąca, ale przyzwoity początek.

Potem znów uaktywnia się pierwszy śmielek, ja coś uzupełniam. Prowadzący konfrontuje nasze wypowiedzi i tym razem dość bezpośrednio zwraca się do reszty publiczności: „Proszę państwa, póki co rozmawiam z dwoma panami. Może ktoś inny ma ochotę zabrać głos, proszę się nie krępować”.

O dziwo, to działa. Barczysty blondyn ze starannie zaczesaną fryzurą zabiera głos. Zaraz po nim matka z córką, a może siostrą? Nieistotne. W każdym razie obie szykownie ubrane i równie zachwycone seansem. Potem pileczka wraca do blondyna, a jego partnerka dodaje swoje trzy grosze.

To może niewiele, ale osobiście jestem bardzo zadowolony. Dlaczego? Bo te wypowiedzi zasiały we mnie wątpliwość, pozwoliły spojrzeć na film inaczej. Sam skupiłem się na powodzie podróży

bohaterki. Tymczasem zapomniałem o samej podróży, a wspomniani widzowie mi o tym przypomnieli.

Właśnie dla takich chwil lubię pozostać dłużej i wtopić się w dyskusję. Odkrywają one nowe światy, skrawki lądu, które normalnie znikłyby za mgłą. Spotkanie nie trwało długo, ale miało w sobie coś krzepiącego. Nieśmiałość, która przerodziła się w ciepłą i interesującą wymianę myśli.

Po czym najlepiej poznać kinomana z pasją? Po wypowiedzi, jaką serwuje na temat ostatnio zobaczonego filmu, który naprawdę do niego trafił. Podczas tej rozmowy film gdzieś się schował. Wyszedł z ukrycia w najmniej spodziewanym momencie. Zrobił to jednak w najlepszy z możliwych sposobów.

„*Głosy*. To jest film, po którym się tak wiele nie spodziewałem. Mieliśmy dwa seanse. Dostaliśmy baner, ale żadnych plakatów ani ulotek. Nie mam pojęcia, skąd się wzięły te pokazy. Puszczaliśmy zwiastun, myślę: «śmieszne, zabawne», potem dowiedziałem się, że to Satrapi i wtedy już naprawdę się zapaliłem. No i poszedłem na te *Głosy* i mnie zmiotły. Pierwsza scena z klimatycznym twistem – i już po prostu tam jesteś. Wyszedłem z tego filmu zdruzgotany i myślałem o nim jeszcze długo, długo. Potem wszystkim go polecałem. Potężne kino”.

Entuzjazm aż kipi, prawda? Przecież tu mowa o Muzie – miejscu szczególnym dla wielu, także dla mojego rozmówcy.

– Chodzi o pewien klimat, który jest rzeczą całościową, a nie zamkniętą w budynku kina. Byłem ostatnio w Rialto na *Podwójnym życiu Weroniki*, ale nie było dyskusji po seansie, a ja bardzo chciałem wtedy porozmawiać. Brakowało mi tego. A w Muzie jest coś takiego, że ludzie czasem mają problem, żeby wyjść z kina. Co bywa kłopotliwe, na przykład kiedy ucieka ci tramwaj. Na *Zjednoczonych stanach miłości* byłem na przedpremierze. Cała sala wyszła, padał deszcz, właściwie lało strasznie. Ludzie stali pod daszkiem przed kinem i rozmawiali. Słyszałem skrawki słów, które odpowiadały temu, co sam czułem. To nie jest tylko tak, że wchodzisz do kina, oglądasz seans i wychodzisz. To są kwestie nienazywalne. Musisz to poczuć, trudno to wyjaśnić. Zresztą ludzie, którzy przestali tutaj

pracować, też do nas przychodzą. Niektórzy rzadziej, niektórzy częściej, ale przychodzą.

Takie słowa miło się czyta i jeszcze milej się ich słucha. Gdy pytam o sytuacje niezwykle, dowiaduję się, że

– To się zawsze zdarza innym. Ja potem o tym słucham, że na przykład do kina przyjechała karetka. Mieliliśmy kiedyś wizytę ambasadora, była jakaś służba na miejscu. Chciałem wpaść do kina. Wkroczyłem do holu i podszedł do mnie pan. Spytał, co tu robię, ja mówię, że pracuję. On pyta, czy jestem na zmianie, czy ktoś może to potwierdzić. OK... To ja wychodzę. To był jedyny raz, gdy poczułem się w tym kinie niechciany.

Jeżeli tak przedstawiają się pierwsze rozmowy z pracownikami, nie sposób nie oczekiwać ze zniecierpliwieniem kolejnych. Zaledwie dwie osoby i już tyle interesujących historii! Nadszedł czas na spotkanie, którego trochę się obawiałem, choć wiedziałem, że wsparcie mam zapewnione i na pewno będzie ono owocne.

Małgorzata Kuzdra najpierw pojawiła się w Muzie jako widz. Dobrze pamięta seans *Oldboya*, który był pierwszą randką z jej przyszłym mężem. Wybór odważny, ale jak się okazało, zadziałał. Gdy słucham jej wypowiedzi, nie dziwię się, że kino od czasu objęcia przez nią rządów rozkwita. To osoba niezwykle otwarta i serdeczna, ale przy tym rozważna i twardo trzymająca wszystko w ryzach. Z kimś takim u steru żaden sztorm nie jest straszny.

– To jest taka moja romantyczna historia z Romanem Gutkiem. Kończyłam filozofię, zaczęłam studiować filmoznawstwo. W tym samym czasie skończyła się praca przy festiwalu Ale kino. Myślałam o tym, że może zrobiłabym normalne pół roku studiów, bez trzech prac nad głową, ale wytrzymałam tydzień. Przejrzałam stronę Gutek Film i kina Nowe Horyzonty, po czym stwierdziłam, że napiszę do samego szefa. Następnego dnia zadzwonił, że super, że był wczoraj w Poznaniu i chce kupić Muzeę. Potem była seria rozmów telefonicznych i na koniec pan Roman powiedział, że mam przyjechać na spotkanie i coś ze sobą przywieźć. Zrobiłam ankietę wśród studentów filmoznawstwa. Przygotowałam pomysły na program, cykle tematyczne, hasła reklamowe. Pan Roman to kupił,

zatrudnił mnie jako koordynatorkę ds. repertuaru i promocji. Po pół roku doszło do przetasowań i zostałam kierowniczką.

Dość szybko zrobiło się jednak gorąco. Wspaniała opowieść mogła zostać gwałtownie ucięta i krajobraz kinowego Poznania już nigdy nie byłby taki sam:

– Współpraca z Gutek Film trwała rok. Potem powstało poważne zagrożenie, że kino zostanie zamknięte. Jeszcze w styczniu 2008 roku Muza mogła iść pod młotek i, jak na ironię, w roku stulecia zakończyć działalność. Pan Roman Gutek starał się pomóc. Rozmawiał między innymi z Fundacją Malta, która z pomocą Michała Merczyńskiego skontaktowała nas z prezydentem Maciejem Frankiewiczem. Udało się sprawić, że kino zostało wzięte w administrację przez instytucję miejską, czyli Estradę Poznańską, i ocalało.

Można to też opisać innymi słowami. Ktoś, z kim jeszcze później porozmawiam, mówi:

– Gosia dokonała heroicznego czynu, wybrała się do prezydenta Frankiewicza, powiedziała, że kinu grozi zamknięcie i zapytała, czy miasto nie wzięłoby go na swoje barki. Jakimś cudem pan prezydent dał się przekonać i od tamtej pory kino jest własnością miasta i częścią Estrady Poznańskiej.

Któż by pomyślał, że sprawa zakończy się happy endem... Skoro jednak zeszlismy nieco na ziemię, może warto na chwilę znów unieść się w powietrze? Na przykład dać się ponieść porywom serca i założyć firmę dystrybucyjną... dla jednego filmu.

– Pojechałam na American Film Festiwal i obejrzałam *Blue Highway*, które bardzo mi się spodobało pod względem emocjonalnym i sentymentalnym. Fajnie wypadło spotkanie w formule Q&A (*questions and answers*) z reżyserem i ludzie mówili, że chętnie pokazaliby film znajomym. Poprosiłam reżysera o kontakt, z pociągu napisałam, że chciałabym ten film dystrybuować. Mailowaliśmy, po drodze pojawiła się producentka. Reżyser zahaczył potem o Poznań, dał mi blu-ray z materiałami i powiedział: „No, to róbmy”. Potem było dużo pracy, oczywiście. Robiłam to wszystko z Anką Przygodzką po godzinach. Zawsze myślałam, że my, kiniarze, jesteśmy uciśnieni przez dystrybutorów. Nagle zobaczyłam drugą

stronę medalu – że ich profesja to także bardzo ciężka praca, duże ryzyko i niepewność.

Czy Małgorzata Kuzdra będzie dystrybuować inne filmy?

– Jeśli znów wydarzy się coś kosmicznego i poszczęści się, to może jeszcze kiedyś się uda. Z jednej strony wiem, że to ciężka praca, ale z drugiej – to bardzo ciekawe doświadczenie. Może kiedyś... Nie chciałabym znowu ryzykować utraty swojego kredytu mieszkaniowego.

Nie sądzę, by po ostatnich słowach sprawa wymagała jakiegokolwiek komentarza. Jeśli jednak komuś wydaje się, że na tym skończyło się twórcze szaleństwo, to musi zrewidować swój pogląd. Pozornie nic się tu nie dzieje, ale...

– Pierwsza tabelka do festiwalu „Nic się tu nie dzieje” powstała w kwietniu. Transatlantyk odpłynął, było poruszenie środowiska, parę frakcji krążyło, ale z czasem napięcie spadło i sprawa rozeszła się po kościach. Ten pierwszy excel powstał z irytacji. Nie podobało mi się myślenie, że musimy mieć ileś milionów, żeby coś zrobić. Projekt był mały, ale urósł, stworzony trochę w szaleńczym stylu. Ponieważ mieliśmy już doświadczenie przy podejmowaniu podobnych inicjatyw, połączyliśmy siły z Rialto i z Kinem Pałacowym. Urząd Miasta nam zaufał, pojawił się budżet i sponsor. Dzięki kontaktom udało się dotrzeć do twórców, ściągnąć fajne filmy. Było wokół tego dużo dobrej energii na mieście, duże wsparcie promocyjne. I błyskawicznie, w niesamowitym tempie dwóch miesięcy udało się to zrobić.

Bardzo dobrze pamiętam ten festiwal. Towarzyszyło mu wiele wydarzeń okołofilmowych. Przykład? Filmowe szybkie randki. Pomysł tak mnie zaskoczył, że pomimo pewnych oporów zdecydowałem się wziąć w nich udział. Początkowe skrępowanie szybko uleciało i miałem okazję porozmawiać z naprawdę fantastycznymi dziewczynami. Znakomita sprawa, nie żałuję, że się na to zdecydowałem!

Filmowych wydarzeń odbywa się tu zresztą mnóstwo. Które z nich jest szczególnie bliskie sercu kierowniczkii kina Muza?

– Bardzo ważne dla mnie wydarzenie to Sylwester. Przy naszych nocach sylwestrowych jest zawsze dużo pracy, ale mają one w sobie

taką magię, że ponad 50% ich uczestników później do nas wraca. Dlatego bardzo lubię spędzać ten dzień w pracy. To jest dla mnie takie apogeum tego, na co pracujemy cały rok. Tworzymy miejsce, w którym szczególnie, bardzo fajny typ osób chce spędzać czas sylwestrowy. Gdy nadchodzi północ, gdy polewamy widzom szampa na i składamy sobie życzenia, ma to w sobie duży urok, magię – to jest coś, co bardzo lubię.

Po przywołaniu takiego wspomnienia sam nie mogę się powstrzymać przed przewróceniem kartek z kalendarza pamięci i wracam do przedpremiery *Wszystkich nieprzespanych nocy*, która była ujmująca pod wieloma względami.

Spotkania z twórcami to niezwykła sprawa. Po przeczytaniu dobrej książki zwykle mamy ochotę na rozmowę z autorem. Po obejrzeniu filmu to pragnienie wcale nie bywa mniejsze. Co ważne, w Muzie bardzo często dochodzi do jego spełnienia.

Zaraz po przyjeździe czuję, że to będzie wyjątkowe spotkanie. Dobrze wiem, że bilety już dawno wyprzedano. Są jednak śmiałkowie, którzy przyszli do kina mimo braku wejściówek. Stoją różnie w grupach i wierzą, że dopisze im szczęście i znajdzie się dla nich upragnione miejsce na sali. Radośni, pozytywnie nastawieni, choć może nie zobaczą produkcji. Niesamowite.

Oczekiwanie na seans się przeciąga. Wybiła godzina 19:00, ale do rozpoczęcia oglądania daleko. Sala wciąż się zapełnia. Wreszcie na scenę wchodzi twórcy. Niestety reżyser nie mógł dotrzeć, ale zastępują go czterej muskietierowie – dwaj główni aktorzy oraz ludzie od muzyki i od zdjęć. Trochę szkoda, lecz mimo wszystko myśli płyną gdzie indziej. „Dalej, dawać mi ten film”!

Uwielbiam moment, gdy wraz z zaciemnianiem sali głosy cichną, by oddać pole dźwiękom filmowym.

Trudno opisać uczucia, które targają mną po napisach końcowych, a przed potokiem pytań do twórców. *Wszystkie nieprzespane noce* mnie dotknęły, zauroczyły, rozluźniły i zachwyciły. „Sesję Q&A uważam za otwartą” – pomyślałem.

Pan od muzyki góruje nad całą czwórką i stoi bez ruchu. Operator stara się trzymać postawę i, choć najniższy wzrostem, czuje się najpewniej. Drugoplanowy aktor Michał robi magiczne rzeczy

z rękoma, a w międzyczasie szuka wzrokiem odstawionego piwa. Odtwórca głównej roli – Krzysiek – nie potrafi ustać w miejscu, porusza ciałem w różnych kierunkach. Jest najbardziej gadatliwy i aktywny. Jego mimika wydaje się wychodzić poza granice rysów twarzy. Tę aktywną czwórkę spina klamrą odnaleziony z czasem trunek, który panowie podają sobie, imitując dziwne ćwiczenia rodem z jogi. Za sobą, pod krzesłem, na krześle, dalej, bliżej, by z czasem opanować zasadę fajki pokoju.

Wydaje się, że publiczność złapała rytm. Widząc wyczyny gości, nie sposób było nie zarazić się ich energią. Uczestnicy spotkania coraz chętniej zadawali pytania, a ekipa miała szansę, by trochę popowiadać. Staralem się słuchać, a przy tym nie spuszczać z głównych bohaterów wzroku. To było jak dwa przedstawienia w cenie jednego. Oba pyszne, dostarczające smakowitych wrażeń.

Trudno po takim doświadczeniu wrócić do rzeczywistości, zwłaszcza że na tego typu wydarzenia trzeba porządnie zapracować. Laikowi kino wydaje się instytucją, w której wszystko dzieje się samo. Widz nawet nie zastanawia się nad tym, przez co trzeba przejść, by doprowadzić na przykład do spotkań takich jak z twórcami *Wszystkich nieprzespanych nocy*. Spróbujmy więc trochę tę sytuację rozjaśnić.

Kasjerki przygotowują całą sprzedaż od A do Z. We wtorek pojawia się informacja o nowym repertuarze, który grany jest od piątku. Do systemu trafia baza tytułów – czas trwania, producent, dystrybutor i opis. Potem wprowadza się plan na dane dni i cennik z uwzględnieniem księgowej strony sprzedaży. Wszystko napędza tryb repertuarowy. Program, plan premier na przyszłe tygodnie i kolejny miesiąc. Sprawdzane są zobowiązania wobec dystrybutorów poszczególnych filmów. Trzeba poukładać premierowe seanse, rozsądnie połączyć je z wydarzeniami specjalnymi. Należy sprawdzić, czy dostępne są kopie, klucze do otwarcia plików. Opanować wszystkie kwestie związane z prelegentami, umowami. Zadbąć o promocję, informacje na Facebooku, zamówienie filmów. Następnie: sprawdzić dane z raportu liczby ludzi na seansie, odczytać niesamowitą liczbę maili, kontaktować się z nauczycielami czy przedstawicielami różnych instytucji. Ustalić grafik pracy, wszelkie

kwestie dotyczące aktualnych napraw czy awarii. Wydrukować plakaty, wysłać newsletter. Gasić pożary, bo ciągle zdarza się coś niespodziewanego. W czwartki rano dzwoni na przykład starsza pani, która pyta, co gramy, a po streszczeniu mówi, że interesuje ją tylko godzina 15:00, bo wszystkie inne filmy są za późno. Słowem, jest co robić.

Żeby zadziałała magia kina, trzeba poruszyć całą maszynę. Trudno sobie wyobrazić, że większość tych prac przebiega w niewielkim biurze, które ledwo mieści trzy osoby. Kwadrat o wymiarach 2×2 metry, w którym uwagę zwracają ogromne szafy wypełnione dokumentami. Otuchy dodaje zerkający z jednej z nich Bill Murray, który przypomina każdemu z osobna, że jest niesamowity. Poza tym komputery, krzesła, masa przyklejonych do tablicy korkowej notatek, a pośród nich wyróżniająca się: „Bądźmy fajni i zmywajmy po sobie naczynia”. W kącie stos plakatów, wszędzie segregatory i ujmujące rysunki od fanów Muzy. Nie jest łatwo, ale pracownicy dają radę.

To jednak nie koniec. Trochę z boku kina znajduje się jeszcze jedno pomieszczenie, a w nim sprzęt za grube tysiące, którym włada trzech operatorów. Jednym z nich jest Seweryn – pan tego królestwa. Człowiek, który swój fach zna od podszewki. Projekторы, specyfikacje, parametry – wszystko ma w małym palcu i, co ważne, opowiada o tym z pasją. Wystarczy posłuchać, jak przedstawia swoją rolę w pracy nad Nocą Muzeów.

– Na początku wszyscy wchodzi i stają na baczność jak na zbiórce. Nie wiedzą, co jest grane. Ja mówię: „Proszę się rozgościć, podotykać, pooglądać, to nie gryzie”. Podczas pierwszej edycji nic nie było wyświetlane na widowni. Podczas drugiej część, która nie dostała się na zwiedzanie, miała okazję zobaczyć 35 milimetrów w akcji, oglądając *Kawę i papierosa*. Reakcje ludzi? Wielkie oczy – że to tyle taśmy, że klei się ją zwykłą taśmą klejącą. Patrząc na 70 milimetrów, ludzie nie wierzą, że istniał taki format. Wyciągam różne rzeczy z szafy. Duże zdziwienie, fascynacja, każdy dostaje kawałek taśmy na pamiątkę. To zawsze się cieszy dużym powodzeniem.

Wpadki zdarzają mu się rzadko, a wszystkie przyjmuje ze spokojem i wspomina z uśmiechem:

– Kiedyś przyszedłem tu na weekend, koledzy mieli wszystko przygotować. Miałem dwa filmy o podobnym tytule. Polski i amerykański. *Wszystko będzie dobrze* i *Wszystko jest w porządku*. Jeden na płycie, drugi na taśmie 35 milimetrów. Patrzę na ekran, coś mi tam nie gra. Miało być *Wszystko jest w porządku*, a wyszło, że *Wszystko będzie dobrze*. Przerwałem, dostałem brawa na widowni. Bileter stwierdził, że operator jest dziś trochę roztargniony i przeprosił widzów. Tu z tyłu latały pudełka, bo film był gdzieś zakopany, w ogóle nieprzygotowany do projekcji. Bileter powiedział, że wszystko będzie dobrze, w tym momencie tytuł pojawił się na ekranie, światła zgasły i pojechaliśmy z filmem.

Jeśli komuś wydaje się, że praca operatora to kwestia wciśnięcia jednego guzika, jest w błędzie.

– Kiedy nadchodzi wtorek i zmiana repertuaru, to mamy tu z tyłu mały pożar. Trzeba rozesłać maile po klucze, zamówić dyski. Zdarza się, że dystrybutor przyśle klucz na minutę przed seansem. A później okazuje się, że klucz nie działa, bo jest wystawiony pod inny certyfikat. Bywa więc nerwowo. W czwartki usuwamy stare filmy, dogrywamy nowe i modlimy się, żeby miejsca na serwerze starczyło, bo starcza na jakieś 26 filmów. Niektórych rzeczy nie idzie przeskoczyć. Czasami dzwoni do mnie serwis: „Wiesz co, w jakimś kinie mam to, to i tamto, ale nie bardzo wiem, jak się za to zabrać”. No i mówię: „Musisz zrobić to, to i to”. To jest skutek podnoszenia kwalifikacji w swoim zakresie. Jakieś zagraniczne fora, trochę projektor sam mnie nauczył przez swoje awarie. Trochę z informacjami dzielił się serwis. Ja im coś powiem, oni coś mi powiedzą, coś za coś. Operatorzy są teraz informatykami, to zabawa z plikami o pojemności 160 gigabajtów. Wszystko wymaga czasu i skupienia.

Czeka mnie jeszcze rozmowa z Joanną Piotrowiak, prawą ręką kierowniczką. Trafiła tu już w czasie studiów. Zawsze była gdzieś w pobliżu i gdy pojawiła się okazja, by zostać na dłużej, z radością z niej skorzystała. Aksamitnym głosem opowiada mi o kolejnym milowym kroku kina:

– To bardzo fajna historia, na której powodzenie mam nadzieję. Złożyło się na nią wiele elementów. Zmieniali się najemcy, z jednym

żyliśmy dobrze, z innymi gorzej. Zdarzyło się tak, że w jednej chwili wyprowadziły się dwie firmy, które były nad nami. No i zostałyśmy postawione pod ścianą, bo albo teraz to robimy, albo nigdy. I stwierdziłyśmy, że teraz. Poszłyśmy do dyrektora, który musiał wyrazić zgodę. Wtedy zaczęłyśmy starać się o pieniądze, przedstawiać swoją wizję. To się szczęśliwie zbiegło z festiwałem „Nic się tu nie dzieje”, który bardzo podobał się miastu i podniósł nasze notowania. Nasz budżet wzrósł trzykrotnie od momentu zaplanowania inwestycji, ale to bardzo stary budynek i wymaga dużych nakładów finansowych. Będziemy się starali o inne niż miasta środki finansowania, europejskie czy ministerialne.

O co chodzi? O letni taras z krzeselkami i oglądanie filmów wyświetlanych na ścianie sąsiedniej kamienicy. O mobilną salę krzeselkową ze stolikami, kawiarnianą. I o drugą, stałą, z kanapami, która – miejmy nadzieję – będzie bardzo wygodna.

Muzę moja rozmówczyni charakteryzuje następująco:

– Mamy swoją wizję tego kina, nie działamy z tygodnia na tydzień, z filmu na film. Wiemy, jakie wybierać filmy. Goście, których zapraszamy, nie są przypadkowi. Dużo produkcji oglądamy wcześniej na festiwalach, przeglądach. Jesteśmy takim kinem, które oferuje coś jeszcze, jak choćby podczas festiwalu „Nic się tu nie dzieje”, staramy się umożliwić kontakt widzów z twórcami w niewymuszony, naturalny sposób.

Wielość obowiązków sprawia, że jest to praca pochłaniająca:

– Tak, tak, praca jest uzależniająca, nawet bardzo. Do tego stopnia, że jak mam wolny weekend, to idę czasami z dziećmi na *Pora-nek*. Czasem wysyłam męża, śmieję się, że to by było chore, gdybym jeszcze była tam w sobotę. Jest też tak, że poznaje się mnóstwo ludzi i stąd wynika wiele przyjaźni. Bileterzy przychodzą na kawę, gdy mają wolne, czasem wpadają do nas, bo akurat przechodzili obok, i potem mamy trzech bileterów na zmianie.

Podczas opowieści widzę nie Joannę, ale Asię, która z wypiekami na twarzy ogląda jedną ze swoich ukochanych animacji.

– Nie zapomnę, jak dwa lata temu przyleciał Eric Goldberg, reżyser *Pocahontas*. To było fantastyczne wydarzenie. Bardzo wiele osób, których nie było wcześniej na Animatorze, wzięło w nim

udział. Ludzie śpiewali piosenkę z Edytą Górniak podczas pokazu filmu, wszyscy fajnie się w to wkręcili. Goldberg był zachwycony. Powiedział nawet, że to wykonanie jest chyba lepsze niż angielskie. To było bardzo wzruszające, szczególnie że Eric to człowiek z pasją, który naprawdę kocha to, co robi.

Wyjątkowość Muzy polega także na tym, że nie zapomina ona o nikim. Pamięta o młodszych widzach, którzy w przyszłości mogą stać się głównymi kinomanami odwiedzającymi to miejsce. Nie chodzi wyłącznie o poranki z dziećmi, z których korzystać mogą najmłodszy. Bardzo ważna jest edukacja dokonująca się w ramach Nowych Horyzontów Edukacji Filmowej, realizowanych od 2007 roku. Szkoły zapisują się na cykle tematyczne realizowane od października do kwietnia. Spotkania odbywają się raz w miesiącu. Schemat to prelekcja multimedialna, projekcja filmu i dyskusja.

Jednym z prelegentów i najdłuższych stażem pracowników jest Piotr. Mówi szybko, z zacięciem, i wydaje się, że nie boi się żadnego zadania. Już od siedmiu lat jest ważnym członkiem zespołu. Nieraz został rzucony na głęboką wodę, ale zawsze sobie z tym radził. To człowiek czynu, który umie szybko reagować, a to podstawa podczas pracy z dziećmi, o czym sam wie najlepiej.

– Każda grupa wiekowa to inna historia. Uwielbiam uczniów podstawówki za ich szczerość, wypowiedzi, które mnie zaskakują. Czasem są dziecinne, a innym razem niesamowicie dojrzałe. Chyba przedwcześniej zadałem pytanie o kompromis. Jedna dziewczynka podniosła rękę i powiedziała: „To jest pakt między dwoma osobami, mający na celu znalezienie złotego środka w dyskusji lub kłótni”. OK, dziękuję za definicję słownikową. To jest fajne, że takie rzeczy się dzieją. Dzieciaki są aktywne i chcą dużo powiedzieć. Mam wrażenie, że najmniej zainteresowani są gimnazjaliści. Chociaż nie ma reguły, dużo zależy od tego, z jakiej szkoły przyjadą uczniowie. A przy tym ilość nie zawsze znaczy jakość. Miałem ostatnio taką historię. Dwie klasy z jednego liceum i dyskusja była po prostu świetna. Dwadzieścia aktywnych osób, dyskusja krzepiąca, bardzo merytoryczna. Wszystko zależy od sytuacji, trzeba umieć się dostosować”.

Przepis Muzy na sukces Piotr charakteryzuje następująco:

– Przede wszystkim mnogość oferty, dużo przeglądów, wydażeń. Sentyment ludzi do tego kina. Klimat, który trudno wyjaśnić. Myślę, że to jest wypracowane przez lata. Duża w tym zasługa Gosi – gdy się tym zajęła, to ruszyło z kopyta, że tak powiem, i z roku na rok jest lepiej, a jak już się rozbudujemy, to będzie szaleństwo. Mam wrażenie, że jeśli ludzie sami z siebie chcą podejmować inicjatywy, to przychodzą z pomysłami właśnie do Muzy. Staramy się wspierać fajne rzeczy. Jest u nas przytulnie i kameralnie. Gdyby nie ta podłoga, to już w ogóle byłoby super. Muza to miejsce, które otworzyło mi wiele perspektyw, nie tylko związanych z filmem, ale i z kulturą. Wszyscy działamy tak, żeby coraz więcej dawać naszym widzom, proponować im zróżnicowane historie i wartościowe rzeczy. Żeby zostawały w nich jakieś emocje, pewne problemy się rozwiązywały, a pewne narzucały. Takie dobre problemy, które skłonią nas do zastanowienia. Albo żeby, jak w przypadku DKF-u, wyrzucili z siebie pewne rzeczy, które w nich siedzą. Żeby oprócz pokazywania filmów poruszać synapsy.

Z Marysią, bileterką, spotykam się na dzień przed rocznicą podjęcia przez nią pracy. Wydaje się to całkiem niezłym czasem na podsumowanie. Lubiła przychodzić do Muzy wcześniej, a gdy pojawiła się szansa zatrudnienia, nie zawahała się spróbować. Udało się, i dzięki temu możemy teraz wymieniać się spostrzeżeniami i odkopywać kolejne wspomnienia. Marysia widzi silną więź między pracownikami a widzami.

– Mamy to, że z niektórymi widzami już się znamy i wiemy, kto przychodzi na jakie filmy – mówi. – Widzimy tych ludzi i tak sobie myślimy: „Oho, wiedziałam, że ta pani przyjdzie na przedpremierę. O, ten pan przychodzi zawsze na DKF”. Długo pracowałam we wtorki, kiedy są DKF-y, i z czasem już wiedziałam, kto na pewno przyjdzie, gdzie mniej więcej usiądzie. Po widzach też to widać, gdy się do nas uśmiechają. Mamy takie dziurkacze z wzrokami. Jak mnie widzą, to pytają, czy mam serduszka, czy jednorożce. Jak nie ma ani tego, ani tego, są zawiedzeni. Relacja między nami a widzami jest na takim fajnym poziomie. Czasem przychodzą starsi goście i wspominają, że uciekali z liceum i chodzili do Muzy. Opowiadają,

jak to dawniej wyglądało. Jakby przychodzili do swoich wspomnień z dzieciństwa czy młodości.

Jest jeszcze jedna atrakcja, o której zapomniałbym wspomnieć. Na szczęście przypomniała mi o niej Marysia.

– Kino w ciemno. Ludzie przychodzą na film, nie mając pojęcia, co obejrzą. Dzięki ankietom wiemy, w jakim są wieku, czy pojawili się u nas po raz pierwszy, czy kolejny. Nigdy nie widziałam tego w innym kinie. Zawsze lubię patrzeć sobie zza kotary na te oczekiwania. Jak mówią, że może będzie strasznie, albo mają jakieś pomysły dotyczące filmu. Te emocje się czuje, i ludzie chyba też to lubią, biorąc pod uwagę frekwencję, która stale się zwiększa.

Pamiętam swoje spotkanie z Kinem w ciemno. Ekscytację, zaniepokojenie, świadomość, że kompletnie nie wiem, czego się spodziewać. Jestem fanem niespodzianek. Sam film to nie koniec. Po seansie spośród osób, które wypełniły ankietę, losuje się zwycięzców, którzy mogą wybrać się do Dark Restaurant czy escape roomu. Na deser można też wypić lampkę wina – usiąść, porozmawiać o wrażeniach. To atrakcyjna oferta na niedzielny wieczór.

Pytam o szczególne spotkania z twórcami. Dostaję wiele odpowiedzi. Chciałbym zamieścić wszystkie, ale czasem trzeba wybierać.

– Spotkanie z reżyserem Pawłem Łozińskim. Po seansie ludzie dziękowali reżyserowi, że ten film powstał. Płakali i cieszyli się. To jest niesamowite, że ludzie widzą w filmach siebie i potrafią się tym podzielić. Było też dużo psychoterapeutów, zainteresowanych tematem zawodowo. Rozmawiali żywo nawet po spotkaniu. Często jest już późna godzina, muszę zamknąć drzwi, a oni wychodzą, stoją za drzwiami i dyskutują jeszcze bardzo długo. To niesamowite, że takie dyskusje się rozkręcają, trwają godzinę, a nawet dłużej.

Nasza wymiana myśli działa w dwie strony i generuje moje kolejne wspomnienie. Żywe i wyraźne.

Wstaje i mówi o chorobie, przez którą nie mogła towarzyszyć swoim bliskim, gdy umierali, i o tym, że to, co zobaczyła na ekranie, pozwoliło jej choć w części do nich wrócić. Odzyskać odrobinę tego, co bezpowrotnie straciła. Siedzi dwa miejsca ode mnie. Nie mam odwagi na nią spojrzeć. Nie mogę uwierzyć w to, co słyszę.

Film osobiście mnie nie ujął. Jeszcze chwilę temu siedziałem z wyrazem rozczarowania na twarzy. Słuchałem rozmowy z reżyserem z zainteresowaniem, ale nie zmieniło to moich odczuć. I wtedy pojawił się ten głos z publiczności. Skamieniałem. Tylu ludzi na sali, reżyser, to wszystko razem. Tymczasem ona powiedziała o swojej stracie. Z przejściem, łamiącym głosem. Tu, w kinie, przy wszystkich.

Nie zdążyłem się z tego dobrze otrząsnąć, gdy pojawiła się kolejna ręka w górze. Dziewczyna, dwadzieścia parę lat. Trochę zdenerwowana, ale gdy przechodzi do sedna, także otwiera się na oczach wszystkich. Opowiada o tym, że w przeciągu krótkiego czasu straciła oboje rodziców. Kolejna osoba daje wyraz swojej stracie. Jestem trochę zdezorientowany, ale zarazem bardzo podziwiam obie kobiety, odsłaniające najintymniejsze obszary swoich doświadczeń.

Może to dzięki reżyserowi, który sam zachęcił do takich rozważań historią o swoim ojcu, który dwa razy umarł i przez parę niezdolnie długich chwil był po drugiej stronie. Wydawało się, że skończy jako warzywo. Zdarzył się jednak cud. Nie dość, że żyje, to jeszcze całkiem nieźle sobie radzi. Wcześniej wojskowy z uczuciami skrytymi za mundurem, teraz potrafi zadzwonić do syna i zapytać: „Piotrusiu, co tam u ciebie?”.

To jedno z wydarzeń, które nazwałbym „doświadczeniem”. Takim, którego nie spodziewałbym się doznać w kinie. A przecież usłyszałem tu głosy osobiste, szczere i odważne. Czy właśnie w tym tkwi sekret Muzy – w umożliwianiu opowiedzenia swojej historii, czasem nawet bolesnej?

Reżyser Piotr J. Lewandowski to niezwykle sympatyczny i ciepły człowiek. Podziękował osobom, które go zaprosiły i walczyły, by możliwa była projekcja jego filmu. Myślę, że to jedna z wielu istotnych zalet Muzy – chęć pokazania widzom tego, co najlepsze, czego nie można zobaczyć nigdzie indziej, ale czym warto się podzielić. Podobne zmagania prowadzą do takich spotkań jak dziś. Wyznań i kontaktów z publicznością, które wynagradzają każdy trud. Dają świadomość, że nigdy nie wiadomo, kiedy można spotkać się z czymś wyjątkowym.

Rozmawiałem jeszcze z Anią, która właśnie przestaje być bileterką i przejmuję część papierkowej i administracyjnej roboty. Jako swoje ulubione wydarzenie wskazuje Noc Muzeów, choć opisuje ją z innej niż Seweryn perspektywy.

– Noc Muzeów obsługiwałam dwa razy, ale pomimo że to były 2 najbardziej męczące dni podczas mojego pobytu tutaj, chciałabym to robić dalej. Najpierw trzeba było ustalić, co możemy i chcemy pokazać, żeby było interesująco. Dla mnie wszystko, co znajduje się w kabinie, jest interesujące, choć nie wiem, do czego służy połowa rzeczy. Potem trzeba to było wyciągnąć, poopisywać i rozłożyć. Największa zabawa zaczynała się po 12:00, gdy ruszała rejestracja widzów. Po godzinie nie było już miejsc. Odkładałam słuchawkę i od razu dzwoniła kolejna osoba. Za drugim razem przeznaczaliśmy na to więcej czasu. Miejsca szybko się rozeszły, ale działało to sprawniej. Moim zadaniem było zbieranie widzów na konkretną godzinę, zaprowadzenie do kabiny i pilnowanie, żeby nic się nie wydarzyło, a operator pamiętał o czasie. To było dziewięć godzin, które minęły nie wiadomo kiedy. Widzowie byli bardzo zadowoleni i zaintrygowani, miło pracuje się z kimś, kogo interesuje, co faktycznie dzieje się w kinie.

Kocham momenty, w których moi rozmówcy się otwierają. Ania bez przerwy się uśmiecha, jest bardzo pozytywna, radosna. W pewnym momencie odpływa gdzieś daleko, mówi z głębi siebie. Ja staram się nie uronić ani słowa, bo takie wyznania są najcenniejsze:

– Muza to w tej chwili mój drugi dom. Było tak już po pół roku, może po roku. Mogę tu przyjść o każdej porze i zawsze będzie tu ktoś, z kim chętnie pogadam. Jak mam gorszy dzień, to zawsze mogę wpaść na kawę, wypić ją z dziewczynami z biura, z kawiarenki, z kimkolwiek, kto jest na zmianie. Wiem, że dadzą mi dobre słowo, dobre spojrzenie, jakieś wsparcie. Jak nie mam co robić w domu, to przychodzę tutaj. Zdarzają się dni, że na sali są wszyscy bileterzy i nie wiadomo, kto jest na zmianie. Traktuję moich współpracowników jak rodzeństwo. Nie mówię im tego, ale myślę, że to wiedzą. To dla mnie taka bezpieczna przystań. Grono przyjaciół, które zawsze mi pomoże. Wzruszyłam się. Nie wiem, czy inni tak się czują względem mnie, ale ja tak się czuję. Szczególnie względem

innych bileterów – Pawła i Marysi. Zdarza nam się spać i pokłócić, ale potem wszystko się układa i jest OK. Także zdecydowanie nie są to stosunki pracownicze. W tym momencie myślę sobie, że wygrałam życie.

Gdy już wydaje mi się, że zebrałem wystarczająco dużo materiałów opisujących niezwykłą atmosferę Muzy, otrzymuję wiadomość: „Panie Patryku, opowiem moją historię związaną z kinem Muza. Pierwszy raz byłam w nim stosunkowo niedawno, bo w 2010 roku. Kino gościło festiwal Wyścig Jaszczurów. Tak się złożyło, że mój znajomy zaprezentował swój film i zajął II miejsce w konkursie oraz otrzymał nagrodę publiczności. Towarzyszyły temu wielkie emocje! Przy okazji Jaszczurów bywałam w Muzie codziennie i tak mi się to spodobało, że zaczęłam zjawiać się po kilka razy w tygodniu i w pewnym roku należałam do 20 najczęściej przychodzących widzów. Miałam nawet swoje miejsce, które panie kasjerki bez kłopotu dla mnie rezerwowały. Zaczęłam nadrabiać filmowe zaległości, poznałam wiele miłych osób spośród obsługi i widzów, na przykład słynnych kinomanów, państwa Kalinowskich. Wraz ze znajomymi odkryliśmy Sylwestra w kinie i dwukrotnie w ten nietypowy sposób witaliśmy kolejny rok. Każdy gość otrzymał prezent i dzięki temu mam certyfikat kursu sushi, który był tym właśnie upominkiem. Gdzie kino, gdzie sushi... a jednak! Od tamtego czasu jeśli interesujący mnie film grany jest w kilku kinach, to zawsze, *zawsze* wybieram Muzę. Dlaczego? Z pewnością jest tu niepowtarzalna atmosfera. Czuję się tu niemal jak w prywatnym, bliskim miejscu. Ważną rolę odgrywa kawiarenka z pysznymi ciastkami i kawami. Proszę mi powiedzieć, gdzie jest takie drugie kino, w którym można z filiżanką wejść na salę? Zaczęłam zabierać do kina wnuczkę i również ona woli dziecięcy seans od innych atrakcji. W Muzie widziałam wiele ciekawych filmów, było wzruszenie, nawet łzy. Dziś trudno mi wymienić tytuł filmu, który najbardziej mnie porwał, bo było ich niemało. Mimo wszystko powrócę do Jaszczurów. Podczas kolejnej edycji zdjęcia mojego autorstwa zdobyły uznanie jury i otrzymałam wyróżnienie. A konkurencja była duża. Oglądać swoje zdjęcia na ekranie kina – to było ogromne przeżycie, zwłaszcza że jestem amatorką w dziedzinie fotografii! Choć dziś w Muzie bywam rzadziej,

nadal przeglądam repertuar, który otrzymuję w postaci newslettera. To bardzo ułatwia wybór seansu. Mam nadzieję, że kino zaprezentuje film, na który czekam, *Mr. Gaga*. Gdyby miał pan więcej pytań, chętnie na nie odpowiem. Świetnie, że pisze pan o Muzie!”

Świetnie, że piszę o Muzie. Czytając takie rzeczy i słuchając moich rozmówców, wiem, że nie mogłem wybrać lepszego tematu. Wszystkich łączy uśmiech, pasja i serdeczność. Widać, że doskonale czują się w swoim towarzystwie i chcą dać widzom to, co najlepsze. Pamiętam, jak szukałem swojego miejsca w Poznaniu. Byłem zagubiony i niepewny. Wtedy zaczęła kielkować moja pasja filmowa i jedną z naturalnych jej konsekwencji było trafienie do kina Muza, w którym poczułem, że zawsze jestem mile widziany. Nie ma znaczenia, czy wpadam pięć minut przed seansem, czy zasiadam godzinę wcześniej z książką w ręku. To tutaj mogę spotkać twórców, zadać im pytanie czy obejrzeć przed premierą oczekiwany film. Porozmawiać o nim z innymi pasjonatami, dzielić się wrażeniami i interpretacjami, a często zmieniać spojrzenie i odkrywać dobrze mi znane rejony na nowo. Klaskać, śmiać się, wzruszać. Gdy czuję się świetnie lub gdy odczuwam za czymś tęsknotę, Muza tu jest i zawsze mnie przyjmie. Potrafi zaskoczyć czymś nowym, ale też urzec dobrze znaną atmosferą. Ciepłem, swojskością, miłością do kina i drugiego człowieka. Dziękuję.

Patryk Rzemyszkiewicz – (ur. 1992) – urodził się w Koninie. Obecnie studiuje historię, specjalizację nauczycielską, na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Prowadzi fanpage „Zza kadru” na Facebooku. Okazjonalnie pisuje recenzje na stronie lubimyczytac.pl. Nieuleczalny kinoman i nałogowy czytelnik. Marzy o napisaniu własnej książki i związaniu nieodległej przyszłości z filmem. Czas wolny najchętniej spędza z rodziną.





MIASTO
KRYMINALISTÓW

MARZENA KOŹMIŃSKA



Na miejscu zdarzenia kryminalnego prokurator musi odpowiedzieć na siedem pytań. Co się zdarzyło? Gdzie do tego doszło? Kiedy? W jaki sposób? Czym dokonano czynu? Jaki był motyw? I najważniejsze: kto był sprawcą?

Zaczęło się latem 2012 roku. Jeden z wykładowców pilskiej Szkoły Policji wybrał się do Darłowa. To nie był urlop na plaży. Chciał spotkać i poznać ludzi piszących kryminały. Małgorzata Krajewska, prywatnie żona pisarza Marka Krajewskiego, zorganizowała w swoim rodzinnym mieście Darłowskie Dni z Dobrą Książką. Przyjechały gwiazdy polskiego kryminału: Katarzyna Bonda, Mariusz Czubaj, Marcin Wroński i Zygmunt Miłoszewski. Dla wykładowcy policyjnej szkoły, który kiedyś studiował filologię, stanowiło to świetną okazję, aby połączyć pracę z pasją.

Motywy były zazdrość. W Pile, dawnym mieście wojewódzkim, niewiele się działo. A już z pewnością rzadko gościli w nim pisarze. Stąd pomysł, by zorganizować podobne spotkanie. Ale był i drugi powód. Policjanci też czytają kryminały. I często śmieją się z tego, co opisują autorzy. Rzeczywistość różni się od powieściowej fikcji. To zrodziło ideę, by przybliżyć literatom tajniki policyjnego rzemiosła.

Propozycja okazała się kusząca. Wiosną 2013 roku kilku autorów przyjęło zaproszenie na pierwszy festiwal Kryminalna Piła, zorganizowany przez Regionalne Centrum Kultury i Szkołę Policji. Budżet był bardzo skromny. Dyrektor RCK, Stanisław Dąbek, dwoił się i troił. Na szczęście gości przyciągnęła możliwość zdobycia wiedzy. W Szkole zorganizowano dla nich zajęcia. Mogli nauczyć się zbierania i zabezpieczania śladów na miejscu zbrodni, poznać najnowsze techniki kryminalistyczne i skonsultować swoje pomysły z praktykami. Dowiedzieli się, że policja nie zdejmuje odcisków palców, ale odfitki linii papilarnych. Za odciski młodzi funkcjonariusze wylatują z zajęć. Pisarzy potraktowano łagodniej.

Festiwal tworzą niezwykli ludzie. Część z nich związana jest zawodowo ze Szkołą Policji w Pile, dlatego mogą zorganizować profesjonalne warsztaty kryminalistyczne. To właśnie między innymi

one czynią festiwal wyjątkowym. Wyobraźnia pisarzy spotyka się na nich z realiami pracy operacyjnej policjantów, którzy zdradzają tyle, ile mogą powiedzieć. Jak w serialu z cyklu *CSI*. Z tą różnicą, że tam mamy do czynienia z bohaterami ekranowymi, a w mieście nad Gwdą – z kryminalistykami z krwi i kości. Literaci korzystają z ich doświadczenia i pomocy. Konsultują się z nimi, by to, co rodzi się w wyobraźni, nabrało realnych kształtów. Marek Krajewski, najbardziej chyba ceniony pisarz retrokryminałów, określił Kryminalną Piłę jako imprezę pozwalającą takim autorom jak on zetknąć się z prawdziwym policyjnym życiem.

Na festiwalu autorzy nie tylko zdobywają fachową wiedzę na temat ujawniania i zabezpieczania typowych śladów na miejscach zbrodni. Dzięki Pawłowi Leśniewskiemu zgłębiają tajniki entomologii kryminalistycznej. W dużym skrócie: to nic innego niż dział kryminalistyki zajmujący się owadami. Przy martwym ciele jest ich mnóstwo. Mogą na przykład „powiedzieć”, czy ofiarę zamordowano w tym miejscu, czy została przemieszczona, ale przede wszystkim – wskazać czas zgonu. I choć brzmi to jak fantazja, jest to ścisła nauka.

Warsztaty przeszły do historii. Katarzyna Bonda, nazywana królową polskiego kryminału, ogromnie przywiązała się do polarowej kurtki z logo festiwalu, którą otrzymała podczas zajęć. Wystąpiła w niej w programie telewizyjnym „Siła kobiet”. Traktuje ją jak mundur. Zawsze zabiera znoszony polar, gdy jedzie zbierać dokumentację do kolejnej powieści. Kiedy go zakłada, jest gotowa do pracy. Zamyka się w świecie fabuły.

Ale festiwal Kryminalna Piła to nie tylko przygoda dla autorów powieści. Pisarze spotykają się z publicznością, która może posłuchać o kulisach pracy literackiej, zadać pytania, zdobyć autograf. Przyjeżdżają też lekarze, profilerzy, dziennikarze śledczy i prokuratorzy. Ludzie lubią spotkania ze specjalistami z danej dziedziny. Najwięcej widzów przyszło, by posłuchać Małgorzaty Ronc, która prowadziła sprawę Mariusza Trynkiewicza. Sala pękała w szwach, gdy o swojej pracy opowiadał patolog, dr Krzysztof Korder, albo entomolog – dr Szymon Konwerski.

Jeszcze przed pierwszą edycją festiwalu ogłoszono ogólnopolski konkurs na najlepszą miejską powieść kryminalną. Nagrodę Kryminalnej Piły 2013 roku przyznano Marcinowi Wrońskiemu za książkę *Pogrom w przyszły wtorek*. Czek wręczył prezydent miasta, Piotr Głowski, a pamiątkową statuetkę – jej fundator, radny miasta, Jacek Bogusławski.

Rok później, podczas drugiej edycji, Kryminalna Piła uderzyła obrazem i słowem. Zorganizowano konkurs fotograficzny i literacki. Piła stała się miejscem kilkudziesięciu zbrodni, zamkniętych w formie opowiadań. Ocenili je Jola Świetlikowska z gdańskiego wydawnictwa Oficynka, lubelski mistrz retrokryminału, Marcin Wroński, i wykładowcy Szkoły Policji. Opowiadania ukazały się w zbiorze zatytułowanym *Błąd w sztuce*. Dzisiaj to wydanie jest już białym krukiem, poszukiwanym przez wielbicieli gatunku. A autorzy tekstów mają na koncie pierwsze powieści. Nagroda główna Kryminalnej Piły w 2014 roku trafiła w ręce Ryszarda Cwirleja za powieść *Błyskawiczna wypłata*. Dodatkową nagrodę w postaci wyróżnienia i okolicznościowej statuetki otrzymał autor powieści *Martwe popołudnie*, Mariusz Czubaj. Nagrodę Komendanta Szkoły Policji w Pile za najciekawszy artystycznie i etycznie rozważny literacki obraz postaci policjanta otrzymał autor powieści *Farma lalek*, Wojciech Chmielarz.

Kolejny rok przyniósł nowe pomysły. Ewa Kamińska z Regionalnego Centrum Kultury Fabryka Emocji do współpracy zaprosiła miejscowy teatr młodzieżowy, wspólnie z którym przygotowała miejską grę kryminalną. Realizacji podjęło się Stowarzyszenie Historyczno-Fortyfikacyjne Przedmoście Piła. Pomysł spotkał się z ogromnym zainteresowaniem uczniów pilskich szkół gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych. Uczestnicy przenieśli się w trudne powojenne czasy i zderzyli z wydarzeniami zainspirowanymi prawdziwą historią. Musieli być otwarci, szukać szczegółów i analizować, nie zapominając o syntezie tego wszystkiego, czego się dowiedzieli w trakcie własnego śledztwa. W każdym miejscu czekały na nich nowe informacje, zmieniające całkowicie bieg wydarzeń. Trzeba było oddzielić prawdę od kłamstw. Nie bać się

zadawać odważnych pytań i czytać znaki pozawerbalne. Zwyciężyła drużyna, która była najbliżej prawdy i odnalazła historię ukrytą w intrydze kryminalnej. Rok później scenariusz gry został oparty na opowiadaniu Ryszarda Ćwirleja.

W 2015 roku uczestnicy wcielili się w rolę dziennikarzy śledczych. Pomagali policji zdemaskować mordercę młodych mężczyzn. Akcja oparta została na książce Joanny Opiat-Bojarskiej, *Zaufaj mi, Anno*. Chodziło o to, by młodzież przeżyła przygodę. Gra niosła ze sobą wyraźny przekaz dydaktyczny o szkodliwości stosowania wszelkiego rodzaju używek. Przy okazji uczestnicy dowiedzieli się o siedmiu pytaniach kryminalistyki. Biegali po mieście, by znaleźć odpowiedź na pytanie: czy jest możliwe, aby w biały dzień ktoś zniknął bez śladu? Oczywiście także w tym roku przyznano nagrodę. Otrzymał ją debiutujący w świecie powieści kryminalnej Maurycy Nowakowski za powieść *Plagiat*.

Kryminalna Piła od pierwszej edycji wywołała sporo zamieszania, dostarczyła zabawy i twórczych emocji. Jeszcze niedawno literatura tego gatunku była traktowana z przymrużeniem oka, wręcz wstydliwie, jak tania rozrywka w stylu telewizyjnych reality shows. Jej twórców zaliczano do gorszej kategorii pisarzy. Wszystko zmieniło się, gdy Marek Krajewski zdobył popularność dzięki postaci komisarza Eberharda Mocka, policjanta prowadzącego dochodzenie w przedwojennym Breslau. Postać i fabuła mocno osadzone w realiach historycznych zachwyciły czytelników. Dzisiaj przewodnicy oprowadzają turystów po Wrocławiu szlakiem zbrodni i spraw rozwiązanych przez komisarza Mocka. To zainteresowanie sprawiło, że Wrocław stał się gospodarzem pierwszego festiwalu kryminalnego. Po nim przyszły kolejne – w Poznaniu, Gdańsku, Włocławku i Bydgoszczy.

Kryminalna Piła odbywa się wiosną. Ta pora także ma związek z kryminalistyką. Wiosną budzi się do życia przyroda. Topnieją lody na rzekach i jeziorach. Wtedy na jaw wychodzi – lub, mówiąc ściślej, wypływa – wiele zbrodni. Ci, którzy dokonują makabrycznych odkryć, podkreślają, że topielcy mają zawsze otwarte oczy.

To zastanawiające, że często unoszą się na powierzchni, jakby wcześniej kucali nad dnem koryta rzeki.

Mariusz Czubaj mówi, że Kryminalna Piła to festiwal wyjątkowy.

– Prawdą jest, że tego typu imprezy wyrastają w ostatnich czasach jak grzyby po deszczu – mówi autor *Martwego popołudnia* – jednak Piła szybko zyskała uznanie i rozgłos. Mówiąc językiem krytyka literackiego: jest osadzona w realiach miasta i kraju. Podobnie myśli Ryszard Ćwirlej, autor kryminałów z gatunku retro. Część fabuły jednej z jego powieści, *Tam ci będzie lepiej*, toczy się w Pile w okresie międzywojnia. W kryminale osadzonym w czasach PRL-u Ćwirlej związał losy swojego bohatera, Teofila Olkiewicza, z ówczesną Szkołą Milicji Obywatelskiej. Akcja *Piątego Beattlesa* Mariusza Czubaja rozpoczyna się w Barze Miś, w którym całe wieczory spędzają słuchacze Szkoły Policji. Hangar na dawnym lotnisku wojskowym jest sceną zbrodni w *Okularniku* Katarzyny Bondy. Na kartach tej powieści komendant policji z Hajnówki częstuje swoich gości kawą w filiżankach z jubileuszowym logo sześćdziesięciolecia istnienia Szkoły Policji w Pile. Mówi się, że najlepsi śledczy kończyli właśnie pilską Alma Mater. Dzięki temu miasto zyskało niebywały rozgłos. Piła jest tłem powieści trafiających do tysięcy czytelników. To znacznie skuteczniejsza forma promocji miasta niż rozdawane przy różnych okazjach kolorowe foldery.

Wiemy już prawie wszystko. Pozostaje odpowiedzieć na ostatnie pytanie. Kto jest sprawcą festiwalu Kryminalna Piła? Sam już nie pamięta, czy w klasie o profilu humanistycznym znalazł się przypadkowo, czy z wyboru. Dopiero studiowanie filologii polskiej, na Wydziale Humanistycznym Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego otworzyło mu okno na świat literatury. Studia w Lublinie oznaczały rozłąkę z domem i ukochaną osobą. Pisał wtedy listy, setki listów w niebieskich kopertach – nie było przecież jeszcze maili ani telefonów komórkowych. Te pięć lat spisane w listach zasiało ziarno, które po jakimś czasie zmieniło jego życie. To z pismem związał się zawodowo. Przypadkiem w pociągu spotkał wykładowcę pilskiej Szkoły Policji. Dowiedział się, że jako

polonista może pracować w Laboratorium Kryminalistycznym Komendy Wojewódzkiej w Pile. Decyzja nie była łatwa. Miał już pracę, żonę, syna. Wszystko musiał zaczynać od nowa. Kurs podstawowy w Toruniu, nocne służby, wyjazdy na interwencje. Leszek Koźmiński w 1999 roku został oficerem policji, a cztery lata później biegłym sądowym z zakresu badań pisma i dokumentów. W pilskiej szkole policji uczy przyszłych techników kryminalistycznych. A jego prywatna pasja doprowadziła do tego, że Pila stała się miastem kryminalistów – tak sami siebie nazywają autorzy powieści kryminalnych.

Marzena Koźmińska – rocznik najlepszy, bo '70. Z wykształcenia i zamiłowania nauczycielka języka polskiego. Prowadzi klasę o profilu dziennikarsko-informatycznym. Mieszka i pracuje w Pile. Lubi tańczyć i czytać książki. Ma męża Leszka i syna Tomka.





A photograph of a dilapidated building with exposed brick and peeling paint, with wildflowers in the foreground.

WAPNO TYLKO DLA
WAPNIAKÓW

PRZEMYSŁAW SEMCZUK



W takiej wsi jak Wapno trudno o rozrywkę. Dlatego każdy mecz jest atrakcją. Przychodzą na nie nawet ci, których piłka nie interesuje. A ci, którzy dawniej sami grali, nie przepuszczą żadnej okazji, by zasiąść na trybunach. Wójt Zbigniew Grabowski był kiedyś środkowym rozgrywającym. Dawno temu, gdy Unia Wapno grała w klasie A i starała się o wejście do IV ligi. Teraz drużyna jest w klasie okręgowej. W tym sezonie nie ma powodów do radości. Na sześć rozegranych spotkań jeden remis, pięć przegranych. Ostatnie, ze Stróżewem, aż 7:1. Dzisiaj mecz z Damasławkiem. Grabowski ma nadzieję, że zła passa piłkarzy wreszcie się skończy. Tak samo jak zła passa, która od lat prześladowa Wapno.

Dobre czasy zaczęły się w Wapnie pod koniec XIX wieku, gdy na poważnie rozpoczęto wydobywać gips. Wyrobiska były płytkie, sięgały 30 metrów. Aż któregoś dnia odkryto, że głębiej znajduje coś cenniejszego. Sól. I to tak czysta, że ta z Wieliczki czy Bochni nie mogła się z nią równać. Budowę kopalni rozpoczęli jeszcze przed I wojną światową Niemcy. Okres prawdziwej prosperity zaczął się w dwudziestoleciu międzywojennym. Z kopalni żyły całe rodziny. Ludzie kupowali ziemię, budowali domy. Potem wybuchła kolejna wojna. A po niej Wapno stało się ważnym miejscem na mapie odrodzonej Polski, dla której sól była istotna tak samo jak węgiel. Szczególnie pochodząca właśnie stąd, wyjątkowo czysta – dało się ją sprzedać za dolary, więc jechała w świat, choć propaganda głosiła, że Wapno i Kłodawa są solniczkami Polski.

Prawdziwe wydobywanie zaczęło się w latach 60. Wtedy zainwestowano sporo pieniędzy i kopalnia w krótkim czasie mocno się rozrosła. Praca szła na trzy zmiany. Szyby sięgały coraz głębiej. Wprowadzono maszyny i materiały wybuchowe. Każdego dnia z Wapna wyjeżdżało 40 wagonów soli. We wsi mieszkało wtedy ponad 3000 ludzi, z czego blisko 1000 pracowało pod ziemią. Wybudowano dwa bloki mieszkalne. Miejscowi nadali im nazwy: Mercury i Polonez. Od nazw luksusowych hoteli, które w tym samym czasie budowano w Poznaniu. Były też osiedla – Wietnam, powstałe w czasie wojny wietnamskiej, i Korea, zbudowane w czasie wojny koreańskiej.

To była wyjątkowa wieś. cztery szkoły, dwa amatorskie teatry, sala widowiskowa na 450 miejsc, nowoczesne kino, klub sportowy, ośrodek zdrowia oraz kilka doskonale zaopatrzonych sklepów.

Ludzie przyjeżdżali tu na zakupy z Wągrowca, który był miastem powiatowym. Organizowano spotkania z literatami, artystami i sportowcami. A w Barbórkę mieszkańców budziła orkiestra górnicza. Potem były akademie, kwiaty, gratulacje. Nie mogło się obejść bez piwa i kielbasy.

Nadciągającej tragedii nikt nie zauważył. Pewnie dlatego, że nie tylko w Wapnie życie toczyło się beztrząsowo. Wtedy cała Polska rosła w siłę, a ludziom żyło się dostatniej. Ale w 1972 roku na poziomie III, 384 metry pod ziemią, w komorze 36. zauważono wyciek. Początkowo ledwie kapło, tylko pół litra na minutę. Mimo to sprawę potraktowano poważnie. Badania wykazały, że woda pochodziła z powierzchni. Była słodka i łatwo rozpuszczała sól. O tym, że taka woda jest groźna, wiedzieli już Niemcy, którzy budowali kopalnię w 1911 roku. Dlatego na wszelki wypadek pozostawili 200-metrowy pokład solny, zabezpieczający przed wodami powierzchniowymi. Tyle że tuż nad nim znajdowała się opuszczona XIX-wieczna kopalnia gipsu. W 1933 roku puste podziemne chodniki celowo zatopiono, by zapobiec osiadaniu gruntu. Były też zalane wodą wyrobiska odkrywkowe. Cała okolica przypominała dobry szwajcarski ser. Po latach woda znalazła drogę na poziom III. Prawdopodobnie pomogli jej w tym sami górnicy – sól wydobywano metodą strzałową. Trzy razy na dobę detonowano prawie tonę dynamitu. Podziemne eksplozje dało się wyczuć w całej okolicy. Przy okazji powstawały małe pęknięcia. A co gorsza, w latach 60. na wyeksploatowanym poziomie III wznowiono wydobywanie. Sól pozyskiwano z filarów ochronnych, które gwarantowały bezpieczeństwo niższych poziomów.

W tamowanie wycieku włączyli się naukowcy. Na Politechnice Wrocławskiej opracowano Solakryl – żywicę, którą próbowano uszczelnić pęknięcia. Niestety, na próżno. Z Wojskowej Akademii Technicznej sprowadzono najnowocześniejszy sprzęt – kamery termowizyjne, zupełną nowość w tamtych czasach. Badano nimi kierunki przepływu wód gruntowych. Przyjechali też specjaliści z Przedsiębiorstwa Badań Geofizycznych z Warszawy, Akademii Górniczo-Hutniczej z Krakowa oraz Geofizyki z Piły i Torunia. W całej okolicy stanęły wieże wiertnicze. Wtedy okazało się, że solny pokład ochronny w najcieńszym miejscu ma zaledwie 40 metrów.

Stało się jasne, że walka z wodą zostanie przegrana. Póki co jednak nikt się nie martwił, bo zakładano, że nastąpi to najwcześniej w połowie lat 80.

Mimo to ratownicy wciąż walczyli. Chwilami wyglądało nawet, że im się uda. Ale w czerwcu 1976 roku wyciek zwiększył się do pięć litrów na minutę. Zdecydowano, że jedyną szansą na jego wyeliminowanie jest dotarcie do miejsca wycieku w pokładzie ochronnym nad komorą 36. Stamtąd wodę można było bezpiecznie odpompować. Zadanie powierzono Przedsiębiorstwu Robót Górniczych z Mysłowic. O drążeniu chodnika materiałami wybuchowymi nie było mowy. Dlatego ze Śląska sprowadzono austriacki kombajn marki Alpina przeznaczony do pracy w kopalniach węgla. Do Wapna przyjechali nawet jego konstruktorzy, bo ciekawiło ich, jak maszyna poradzi sobie w pokładach soli. Radziła sobie doskonale. Z powodzeniem mogła zastąpić materiał wybuchowy i zamiast węgla pozyskiwać sól.

Zbigniew Grabowski akurat skończył liceum. Nie znalazł się na górnictwie, ale dobrze kopał w piłkę. Dlatego dyrektor kopalni chciał go zatrzymać w Wapnie. Grabowski trafił do grupy geodetów. Zjeżdżał pod ziemię i robił pomiary wycieku. A po pracy trenował na boisku. 3 sierpnia 1977 roku ostatni raz zjechał pod ziemię. Do komory 36. nie dało się już wejść. To wyglądało jak oberwanie chmury. Woda lała się z całego stropu i zaczynała się wdzierać do chodników. Kopalnię przed zatopieniem broniły pompy, ale takiej ilości wody nie mogły już odprowadzić na powierzchnię.

Tego dnia trzecia zmiana została już na powierzchni. Pod ziemię zjechał tylko sztygar Józef Chojnowski wraz z kilkoma ludźmi. Chwilę później dołączył do nich dyrektor techniczny Marian Wojakiewicz. Z dwoma doświadczonymi sztygarami kontrolował, czy woda pojawiła się na niższych pokładach. Na razie było tam sucho, ale w chodnikach i komorach dało się słyszeć niepokojące trzaski i czuć było drgania. Jakby ktoś zgrzytał zębami. Dźwięki te wydawały pękające pokłady soli, stropy i filary. Nie było już wątpliwości – kopalnia umierała.

Po północy Chojnowski zatelefonował na powierzchnię do sztabu akcji ratowniczej. Zawiadomił, że stracili zasilanie. Nie było światła, pompy stanęły. Woda dotarła do tamy przy komorze 24.

Górnicy wciąż obserwowali, mieli nadzieję, że przestanie przybierać. Nie przestała. Godzinę później pokonała tamę. Musieli uciekać za ostatnią przegrodę tuż przy szybie. O 1:10 Chojnowski ponownie zadzwonił do sztabu. Nie wiedział, co robić, bo w ciągu piętnastu sekund woda przybrała o pół metra. Dyrektor Wojakiewicz kazał im natychmiast wracać. Gdy winda ruszyła, z chodnika buchnął siarkowodór, trujący gaz wypchnięty ze skał przez napierające masy wody. Godzinę później górnicy zebrani przy windzie usłyszeli szum. Woda wdarła się do szybu i zalewała kopalnię.

– Koło 4:00 obudził mnie wstrząs, tąpnięcie – opowiada Antoni Wierzbicki, sztygar z Wapna. – Od razu pobiegłem zobaczyć, co z gipsiakiem. Dotąd pełne wody wyrobisko odkrywkowe było puste, a ziemia wokół spękana. Syczała, zasysając powietrze do podziemnych komór. Z nich także uciekła woda. Natychmiast zaczęły się zapadać. Wszędzie śmierdziało siarkowodorem. Tuż przy gipsiaku stały garaże. O 5:00 wpadły do zapadliska. Zapadł się też zasypany szyb kopalni gipsu. Na okolicznych domach pojawiły się pęknięcia. Płoty, latarnie i drzewa wyraźnie się przechyliły. Prerażeni ludzie zaczęli uciekać z pękających budynków.

Poranek był inny niż zwykle. Nie zawyla syrena wzywająca górników do pracy. Cicho było na stacji kolejowej i na torach. O świcie zwykle słychać było hałas wagonów wywożących z kopalni urobek. Tego dnia nie wyjechały, bo torowiska były poskręcane jak serpenty. O 9:00 w sztabie akcji ratowniczej, w którym dotychczas zajmowano się wyłącznie kopalnią, zdecydowano o ewakuacji mieszkańców z ulic Świerczewskiego, Górniczej i Pocztovej. W strefie zagrożenia znalazły się nie tylko domy mieszkalne. Ewakuowano biurowiec kopalni, aptekę, ośrodek zdrowia, przedszkole, pocztę i zamknięto kościół. Pierwszego dnia domy opuściło ponad 300 osób. Naczelnik gminy, Tadeusz Kramer, zorganizował transport. Z sąsiednich gmin przyjechały autobusy. Ludzi rozwożono do szkolnych internatów i ośrodków wczasowych. Ci, których domy były bezpieczne, pomagali wynosić i zabezpieczać dobytek sąsiadów. Wieś przypominała pole bitwy.

W sztabie ratunkowym wiedziano, że to dopiero początek kłopotów. Woda z gipsiaka zalała tylko dolne pokłady, zatrzymując się na głębokości 536 metrów. Jej poziom podnosił się bardzo wolno.

Przypuszczano, że spływając w dół, naruszyła filary podtrzymujące stropy na pozostałych poziomach. Teraz puste komory solne, wysokie nawet na 15 metrów, mogły runąć jak domek z kart. Gdyby do tego doszło, zapadliska na powierzchni mogły mieć nawet po kilkadziesiąt metrów. Jedynym wyjściem było zatopienie kopalni do końca. Jak na ironię woda, która do tej chwili była zagrożeniem, nagle stała się potrzebna. Ale skąd jej tyle wziąć? Na szczęście znajdowała się 6 kilometrów dalej, w Jeziorze Czeszewskim. Budowę rurociągu, który miał ją doprowadzić do kopalni, rozpoczęto natychmiast. Ale na jej ukończenie potrzebowano kilku tygodni.

A ziemia nie czekała. W nocy z 15 na 16 sierpnia doszło do kolejnego tąpnięcia.

– W środku nocy wybiegliśmy zobaczyć, co się dzieje – wspomina Anna Michalak, była mieszkanka Wapna. – Niedaleko naszego domu, na ulicy Ogrodowej, był basen przeciwpożarowy. Na naszych oczach zapadł się jego narożnik. Chwilę później ziemia syknęła i kilka metrów przed nami pękła tak, jakby ją ktoś obciął żyletką. Mój tato powiedział, że trzeba uciekać. Nad ranem rozpoczęto ewakuację następnych budynków przy ulicy Ogrodowej. Ale ciężarówki podstawiono na sąsiednią ulicę, bo kierowcy bali się podejść bliżej. Jadąc po zagrożonym terenie, zawsze mieli otwarte drzwi szoferki, tak by w każdej chwili można było wyskoczyć z auta. Jeden z kierowców ledwie uszedł z życiem. Gdy zatrzymał się na chwilę, zarwał się asfalt pod tylnymi kołami wozu. Po chwili ciężarówka runęła w otchłań.

– Trzy tygodnie później, po kolejnym tąpnięciu, stałam na ulicy i patrzyłam, jak cały budynek, kawałek po kawałku, zniknął w ogromnym leju. Wystawał tylko dach. Jakiś mężczyzna podszedł do drzewa na brzegu zapadliska. Chciał zajrzeć, jak jest głęboko. Milicjanci kazali mu wrócić. Kilka sekund później drzewo wraz z fragmentem jezdni oberwało się do leja – opowiada Anna Michalak. Tego dnia strefa zagrożenia powiększyła się o kolejne ulice, a swoje domy opuściło kolejne 900 osób.

W październiku 1977 roku rozpoczęto zalewanie kopalni. Wpompowano do niej ponad 3 miliony metrów sześciennych wody. Dwa miesiące później szyb główny został zasypany i przykryty betonowymi płytami. Dach nad głową straciły 1402 osoby. Niemal

połowa mieszkańców. Ludzie gadali, że skoro umarła kopalnia, umrze i Wapno. Nie wierzył w to naczelnik gminy, Tadeusz Kramer. Robił wszystko, by do tego nie dopuścić. W działaniach wspierał go Zygmunt Kubasik, sekretarz gminnego komitetu PZPR. Ale chęci nie wystarczyły. Zabrakło kopalni, zabrakło pracy. Pierwsi górnicy wyjechali już we wrześniu. Spora grupa została przeniesiona do kopalni soli w Kłodawie. Wiele rodzin przeniosło się do Piły lub do Wągrowca. Pojawili się także werbownicy ze Śląska. Kadrowcy z kopalń węgla oferowali pracę, dobre zarobki, mieszkania i inne przywileje. Ale z tej oferty skorzystało niewielu.

Zbigniew Grabowski od ręki dostał pracę w Pile, w „żarówkach”, czyli w Polamie. Ale nie o pracę chodziło, a o piłkę nożną. Piła, jako świeżo upieczone miasto wojewódzkie, miała ogromne ambicje. Planowano, że III-ligowa drużyna Polonii wkrótce awansuje do II ligi. Ściągnięto sporo zawodników. Dwóch z Lecha i dwóch z Grunwaldu Poznań, po jednym ze Sparty Szamotuły i Wełny Rogoźno. Grabowski był jedynym zawodnikiem z małego wiejskiego klubu. A jednak zagrał na pozycji napastnika. Niestety awans ligowy okazał się mrzonką, bo wszystkie rozgrywki były ustawione. Nie liczyło się, kto jak gra, tylko kto ma więcej pieniędzy. Piłkarski poker.

Po niecałych dwóch latach Grabowski wrócił. Ale zastał już tylko cień dawnego Wapna. Z soli, która została w kopalnianych magazynach, uruchomiono produkcję tabletek do zmywarek. Na eksport. Ale przy produkcji pracowało ledwie kilkanaście osób. Resztę hał wykorzystano do remontu cystern kolejowych do przewozu siarki. Zleceniodawcą był Siarkopol, który podlegał pod Ministerstwo Górnictwa. Dzięki temu garstka dawnych górników utrzymała przywileje i dotrwała do emerytury. Z czterech szkół została tylko jedna. Klub sportowy właściwie przestał istnieć. Nie było ani zawodników, ani trenerów, ani sprzętu. Zniknęły oba teatry. Sala widowiskowa świeciła pustkami. Podobnie sklepy. Jediną rozrywką było kino wciąż zwące się Górnik. Ale zamiast trzech seansów dziennie grano tylko trzy w tygodniu.

Grabowski chciał z tym coś zrobić. Próbował reaktywować drużynę piłkarską, ale bez pieniędzy się nie dało. Lokalne władze ledwo radziły sobie z usuwaniem skutków katastrofy. Mimo to znalazł

sposób. W dawnym Domu Górnika zaczął organizować dyskoteki. Zjeżdżała się młodzież z całej okolicy. Przyjeżdżali młodzi ludzie z Wągrowca, a nawet z Piły. Po dyskotecie czekali cztery godziny na pociąg, aby wrócić do domu. Pieniądzy z biletów było w sam raz, aby reaktywować Unię. Bez rozmachu i wielkich ambicji. Za to z sukcesami. Grabowski jako trener wprowadził drużynę do klasy okręgowej. Z krótkimi przerwami klub jest w niej od 1981 roku.

Był to jednak jedyny sukces Wapna. W 1986 roku zamknięto kino. Nikt już do niego nie chodził, bo ludzie mieli magnetowidy i woleli oglądać filmy w domach.

Po 1989 roku wieś całkiem się zapadła. Młodzi wyjechali za pracę i, jak mawiają mieszkańcy, Wapno zostało tylko dla wapniaków.

W listopadzie 2014 roku Grabowski wygrał wybory i został wójtem gminy. Obejmując urząd, miał wielkie plany. Chciał na nowo ożywić Wapno. Ale nadzieje okazały się złudne. Budżet wystarcza ledwie na utrzymanie szkoły i przedszkola oraz na najpilniejsze wydatki. Nawet opłacenie dawnego Domu Górnika jest zbyt dużym ciężarem. Dlatego część budynku sprzedano prywatnym inwestorom. Otwarto w nim ogromną dyskotekę, działającą wyłącznie w piątki. Ale więcej z niej kłopotu niż pożytku. Policja ma pełne ręce roboty. A kopalnia wciąż upomina się o swoje. Ziemia co rusz pęka tu i tam, wywołując strach. Nikt nie jest pewny, czy któregoś dnia nie pozre następnych domów.

Wójt Grabowski chętnie pokazuje wieś. Tam, gdzie ziemia pochłonęła całe osiedle, jest dzisiaj gęsty las. Lej zasypano i zasadzono drzewa. W wsi jest czysto i schludnie. Klomby, kwiaty, kosze na śmieci. Warsztaty terapii zajęciowej, kilka sklepów, apteka. Piękna szkoła z okazałą halą sportową wybudowaną na kredyt. Główna ulica nosi jeszcze imię generała Świerczewskiego. Niedługo zmieni nazwę, choć ludzie i tak będą ją nazywać po staremu, tak jak osiedla Wietnam, Korea czy bloki Mercury i Polonez. Gdy zbliżamy się do remizy strażackiej, mój samochód dostrzega stojący na poboczu policjant. Wyraźnie cieszy się na widok obcych tablic rejestracyjnych. W ostatniej chwili zauważa siedzącego obok mnie wójta. Zamiast podnieść lizak, unosi rękę w pozdrowieniu. Tu nawet nie ma kogo kontrolować.

16 października 2016 roku Unia Wapno pokonała Sokola Damasławek 1:0. Wapniacy w końcu przełamali złą passę. Oby Wapno poszło za ich przykładem.

Przemysław Semczuk – dziennikarz i publicysta specjalizujący się w tematyce historii Polski okresu PRL. Pracę w zawodzie dziennikarskim rozpoczął w 1991 roku jako reporter lokalnej telewizji Test nadającej na terenie Jeleniej Góry, jednocześnie pracował jako autor tekstów w dzienniku „Gazeta Robotnicza”. Następnie przez kilka lat pracował jako menadżer. Do zawodu dziennikarza powrócił w 2006 roku jako publicysta tygodnika „Newsweek Polska”. Był jednym z współtwórców programu telewizyjnego „Cienie PRL-u”, realizowanego przez TVP. Publicysta tygodnika „Wprost” oraz magazynu „Focus Historia”. Autor książek: Magiczne dwudziestolecie; Wampir z Zagłębia; Zatajone katastrofy PRL; Czarna Wołga. Kryminalna historia PRL; Maluch. Biografia.







DLACZEGO
JA TU JESTEM?

KLAUDIA SIEKAŃSKA



Lato. Słońce przyjemnie grzeje. Reklamówka to cały dobytek czterdziestoczeroletniego Grzegorza. Przerazenie. Co teraz będzie? Męczyzna niepewnie wspina się na pierwsze piętro byłego wojskowego bloku. On sam zresztą służył. Krótco, w niebieskich beretach. Miał dwadzieścia pięć lat, gdy wróg zaatakował. Ani jeden, ani drugi nie wygrał. Żyją teraz razem, Grzegorz i schizofrenia paranoidalna. Wojsko nadal jest mu bliskie. Zaledwie kilkadziesiąt metrów od jego nowego domu znajduje się 21. Centralny Polygon Lotniczy.

Grzegorz to jeden z pierwszych lokatorów Zespołu Mieszkań Chronionych w Nadarzycach. Życie w nowym miejscu rozpoczął ponad trzy lata temu. Trafił tu, bo po prostu przestał się dogadywać z bratem. Nie chce do niego wracać. Tutaj ma swój kąt i spokój. Może wychodzić, choć nie wszyscy mają taki przywilej. Grzybów i ryb w okolicy jest pod dostatkiem. Czarnego bzu też nie brakuje. Zbierając, można dorobić do zasiłku. Niewiele, ale na drobne przyjemności wystarczy, bo teraz każdy w ośrodku je ma. Nie to co kiedyś. Kiedyś to i nawet na chleb brakowało. A dziś: kawa, ciasto i trzy posiłki dziennie. Żyć nie umierać. A jeśli nawet umierać, to przynajmniej godnie.

– Tu jest naprawdę bardzo dobrze, lepiej niż w domu – Jadzia patrzy na panią kierowniczkę.

– Ale nie patrz tak na mnie, Jadziu. Pani pomyśli, że kazałam ci tak mówić – Marzena strofuje podopieczną, udając oficjalny ton. Niepotrzebnie, bo pani wcale tak nie pomyślała. Widać, że Jadzia jest zadowolona, szczerza i szczęśliwa. W jej duszy nadal skrywa się dziecko. Ją akurat życie oszczędziło. Dwie siostry są dla Jadzi dobre. Zajmowały się nią, chciały zabrać z powrotem do domu. Ona jednak nie chciała wracać. Powiedziała: „Zostaję!”. Teraz mówi zawstydzona:

– Tutaj jest mój dom.

Jest już po 12:00. Zbliża się pora obiadu. Dziś w menu zupa szczawiowa i karkówka w sosie własnym. Jedzenie doskonałe, ale wydaje się, że nie robi na nikim wrażenia. Pani Marzena wspomina dawne czasy.

– Na początku było inaczej. Byłyśmy przerażone tym, co się działo. Trudno w to uwierzyć, ja nie mogłam się doliczyć, ile bochenków chleba trzeba kupić. Wszystko ze stołu znikало. Zapełniały

się kieszenie i reklamówki, te, co to za walizki im służyły. Strach i przerażenie brały górę. Nasi podopieczni nie wiedzieli, jak długo będzie dobrze. I na wszelki wypadek robili zapasy. Trochę to trwało.

Ażyl znaleźli tutaj ci, o których ktoś zapomniał, albo którzy sami zapomnieli o sobie. Starzy albo chorzy. Tacy, których najlepiej gdzieś schować. Takich jak oni, dotąd niezauważanych, dostrzegli lokalni urzędnicy. Mieli kłopot, bo znalezienie dla nich dachu nad głową nie należało do tanich przedsięwzięć. I choć szukali przede wszystkim oszczędności, to stworzyli coś, co przeszło najśmielsze oczekiwania: prawdziwy dom.

Dziewięćdziesięcioletnia pani Kazia niewiele już potrzebuje. Wystarczą słone ciastka i cappuccino. A że pieniędzy zostaje, to staruszka chce się dzielić. Chętnie robiłaby wszystkim zakupy. Jej hojność poskramiają opiekunki. „Na wypominki tylko muszę jeszcze dać. Niech wiedzą, że ja, stara, pamiętam, i niech się wstydzą”. Kazię odwiedza kuzynka i wnuczka z mężem. Syna nie chce widzieć, jest na niego zła. „Nie po mojej myśli zrobił” – spuszcza głowę ze smutkiem. Poszła do ośrodka. Ludzie gadali. Synowi zamiast matki został wstyd. „Ja go nie chcę widzieć, jak przyjdzie, to się schowam. Tu mi dobrze”.

Jest ich osiemnaścioro. Znalazłoby się jeszcze miejsce dla czwórki. Żyją jak jedna wielka rodzina. Teraz jeden drugiego szturchnie, zaczepi, uśmiechnie się, czasem przytuli albo pomoże. Młodszy starszego pilnuje. Kiedyś było inaczej. Na początku darli ze sobą koty. Opiekunkom też się dostawało. Na nich skupiała się złość i żal. „Dlaczego ja tu jestem, pani Marzeno?” – pani Zofia codziennie rano krzyczała do kierowniczk. Była kobietą z charakterem i – co ważne – damą. Czerwona pomadka na ustach – obowiązkowa. „Na zębach też” – śmieje się Magda, opiekunka. Zofia była niewidoma. Mimo to wciąż chciała uciec z ośrodka. Tak przynajmniej mówiła. Pani Marzena każdego dnia cierpliwie jej odpowiadała: „Ależ proszę bardzo, nikt tu pani nie trzyma!”. Na co Zofia się reflektowała: „No co pani? A gdzie ja pójde? Niewidoma jestem!”. W końcu jednak odeszła, na zawsze. Zostało tylko puste łóżko i wspomnienia.

– Przywiązujemy się do nich – kierowniczka markotnieje. – Ach! Co ona nam nerwów napsuła, to tyle samo dawała radości. Teraz mi jej bardzo brakuje.

Pensjonariuszom Zespołu Mieszkań Chronionych w Nadarzycach trudno wyrażać pozytywne emocje. Jedni nie chcą ich okazywać, bo w ich życiu zdarzyło się coś, co głęboko je ukryło. Inni po prostu nie potrafią, bo nikt ich tego nigdy nie nauczył. Ale im dłużej są razem, tym więcej przekazują sobie wdzięcznych spojrzeń i uśmiechów. Wiedzą, że mają siebie, często tylko siebie. Są też tacy, którzy trwają w nieświadomości. Może to i dobrze, bo o pewnych przeżyciach lepiej zapomnieć. Malutka staruszka zajmująca skrawek kanapy za trzy lata skończy sto lat. Jest uśmiechnięta. Syn – kat, oprawca – jest już od niej daleko. Zresztą, czy ona miała syna? Teraz to nieważne, nie pamięta.

Rozchodzący się po korytarzach zapach przypomina, że czas na obiad. Mimo wszystko rozmowa toczy się dalej. Dzisiaj, mimo ponurej pogody, większość ma dobry nastrój. Opowiadają o Wigili. To dla nich ważne wspomnienia. Wtedy najbardziej czują się rodziną. Pani Marzena pamięta dobrze pierwsze bożonarodzeniowe spotkanie.

– A to nie potrafili sztućcami się obchodzić, a to coś rozlali, za dużo wlałi. No i jedzenie ze stołu znikało. Upychali do tych reklamówek. A goście z urzędu patrzyli i oceniali. I ich, i nas. Ale jakoś sobie razem poradziliśmy – pani Marzena uśmiecha się, gdy ożywają wspomnienia sprzed kilku lat. – Dziś już sami nakrywają do stołu. Nauczyli się. Albo sobie przypomnieli. Człowieczeństwa nie da się zapomnieć, to siedzi w każdym. To, czy człowiek pozostanie człowiekiem, w dużej mierze zależy jednak od innych. Tu, w ośrodku, ci inni o tym wiedzą i pamiętają o tym na każdym kroku. Tutaj są pewni siebie i swojej wartości. Odzyskali ją, gdy znaleźli się blisko życzliwych ludzi. A często przez poczucie, że coś posiadają. Bo kiedyś to nawet renty ani zasiłku nie mieli. A jak mieli jakiś grosz, to wszystko gdzieś znikało. Dopiero urzędnicy ustalili, co się komu należy. Teraz gdy pod drzwiami byłego wojskowego bloku przyjeżdża obwoźny sklepik, to stać ich na ciasteczka, czekoladę czy kawę. Kupują i są dumni, że coś mają.

O to właśnie chodzi: aby każdy mógł odzyskać człowieczeństwo i pozostać człowiekiem do końca swoich dni. Lokatorzy Zespołu Mieszkań Chronionych to ludzie żyjący wcześniej w trudnych warunkach, niepełnosprawni, po różnych przejściach. Tak jak

pani Danusia. Niegdyś nie stroniła od alkoholu. Nie raz, nie dwa, przewróciła się, uderzając głową o krawężnik. Mimo to za każdym razem wstawała o własnych siłach. Za piątym jej się nie udało. Diagnoza była wyrokiem. Siedmiu krwiaków na mózgu, zanik mózdzku. Tych słów nie była już świadoma. Dzieci nie dawały sobie rady z opieką. Ale nie porzuciły matki. Pamiętają o niej i na Wigilię chętnie biorą ją do siebie.

Ośrodek w Nadarzewicach nie jest jednak miejscem dla obłożnie chorych. To nie Dom Pomocy Społecznej. Tu w miarę możliwości każdy radzi sobie sam. Jednak całodobowa pomoc jest na wyciągnięcie ręki.

– Zajmujemy się naszymi podopiecznymi tak, jakby to byli członkowie rodziny. Nie mamy przeszkolenia medycznego. Od tego są lekarze i pielęgniarki z okolic – pani Marzena pokazuje spis z nazwiskami i numerami telefonów. – Gdy sytuacja robi się już naprawdę trudna, lokatorzy trafiają do szpitala albo do hospicjum.

Boguś często wyjeżdża do szpitala. Na szczęście za każdym razem wraca. Gdy schizofrenia bierze nad nim górę i zaczyna dużo kłąć, pani Marzena wie, że już czas na wizytę u psychiatry. Kiedy wraca, znów jest miły i spokojny. Schodząc z góry, ze swojego pokoju, zawsze przynosi coś słodkiego dla pani kierowniczk. Ale są i tacy, którzy pojechali do szpitala i nie wrócili. Wyjeżdżając, byli jednak pewni siebie i na swój sposób szczęśliwi. Chociaż te kilka ostatnich lat, miesięcy przeżyli godnie.

Dobiega 13:00. Lokatorzy jedzą obiad. Oglądam ich pokoje. Piękne, kolorowe, w większości wymalowane i przystrojone przez same opiekunki.

– Nie mamy konserwatora. Nas jest łącznie dziewięć, a że zależy nam na tym, aby stworzyć prawdziwe ognisko domowe, same robimy to, co damy radę – mówi skromnie pani Marzena. W każdym jest inaczej, inne meble, inny sprzęt. Widać gołym okiem, kto ma rentę, a kto tylko zasiłek. U Bogusia jest telewizor, zestaw wypoczynkowy, a nawet radio. Stać go. Jest sierotą, ale zostały mu pieniądze po rodzicach. U Grzegorza podobnie jak u kolegi z naprzeciwka. Też ma radio. Na szafce stoi lampka nocna w kształcie latarni morskiej. Prezent od pani kierowniczk, która zaczęła ją robić jeszcze w poprzedniej pracy, w Polskich Kolejach Państwowych. Pani

Kazia ma tylko łóżko, a na nocnej szafce zdjęcie ukochanej wnuczki w sukni ślubnej. Każdy ma coś swojego. W mieszkaniach na piętrze jest wspólna łazienka i kuchnia. Na dole nie potrzebują kuchni, bo ci lokatorzy sami już niewiele ugotują.

Ze świetlicy dobiegają odgłosy uderzających w talerze sztuców. A z góry melodia grana na harmonijce ustnej. To pan Stanisław, który za każdym razem podkreśla, że ma dopiero osiemdziesiąt osiem lat. Ciągłe szuka swojej drugiej połówki. Próbował zalecać się do pani Kazi. Jej jednak amory nie były już w głowie. Ona już nie potrzebuje tylu emocji. Przepędziła go, krzycząc: „Gdzie mi z tymi łapami, gagatku!”. Muzyka nie milknie.

– Gra na pani powitanie. Udaje, że nas nie widzi” – wyjaśnia pani Marzena.

My go jednak dostrzegamy. Widzimy, i to bardzo wyraźnie.

Klaudia Siekańska (ur. 1987) – pochodzi z małej miejscowości Dolnik w gminie Krajenka. Urodziła się w Złotowie. Z zawodu jest politologiem i animatorem kultury. Zaczęła pisać dla zabawy, będąc jeszcze dzieckiem. Potem długo tego nie robiła, aż do szczęśliwego splotu okoliczności, gdy zupełnie przez przypadek zaczęła przygodę z dziennikarstwem w telewizji regionalnej TV Asta w Pile. Po kilku latach zamieniła mikrofon na pióro i znalazła się w tygodniku „Aktualności Lokalne”. Tu, z krótką przerwą na oddech, pracuje od ponad roku. Powoli rozwija warsztat. Ma świadomość, że przed nią jeszcze długa droga, która na pewno będzie ciężka. Ma nadzieję, że ciężka praca z niewielką domieszką szczęścia pokierują ją w stronę porywającego celu.



A group of people in historical costumes are lying on a large, ornate red and gold rug spread on a paved road. They are dressed in 16th-century style clothing, including tunics, hose, and hats. Some are holding long wooden staffs. In the background, a band of people in red and white uniforms stands on a grassy area. A silver van and a dark car are parked nearby. The scene is set outdoors on a cloudy day.

ZA MUNDUREM
PANNY SZNUREM

BARTOSZ OLENDER



Jest ich dziewięciu. Są uzbrojeni w drewniane miecze, halabardy lub włócznie. Noszą zbroje z łuskami z prasowanej tektury oraz hełmy z pióropuszem. Nie są błędnymi rycerzami ani przebierańcami, lecz „Turkami” z Iwanowic – strażnikami grobu Chrystusa.

Jesienne niedzielne popołudnie. Aby poznać fenomen iwanowickich Turków, spotykam się z nimi w domu w centrum wsi. Po wejściu do środka siadam w pokoju gościnnym i zaczynamy „audiencję”. Oglądam czarno-białe zdjęcia sprzed pół wieku. Popijając herbatę z cytryną, słucham pasjonującej opowieści moich gospodarzy. Oto krótka, lecz bogata historia Turków z Iwanowic, którzy – jeśli chodzi o genealogię – nie mają wprawdzie wiele wspólnego z Osmanami. Co innego, jeśli chodzi o tradycję.

Marek z zawodu jest piekarzem, ale obecnie pracuje jako magazynier w jednej z kaliskich firm z branży spożywczej. Od 2010 roku pełni obowiązki dowódcy dziewięcio-osobowego oddziału straży grobowej z Iwanowic, czyli tzw. Turków. Jest przed pięćdziesiątką. Ma żonę i czwórkę dzieci. Drużyna to jego oczko w głowie i robi wszystko, aby było o niej głośno w Polsce. Od paru lat bierze ona udział w ogólnopolskich paradach tego typu straży na Podkarpaciu. Pierwszy raz zaprezentowała się w 2013 roku w Nowej Dębie. Za rok pojedzie na kolejny przegląd, bo jej członkom bardzo się to spodobało.

– Jak nas widzą na Podkarpaciu, to witają słowami: „O, Pyrki z Poznania przyjechały”. Ale my nie z Poznania, tylko z Iwanowic. Ja na kolanach klękę, a nasze Turki będą błyszczeć – zapewnia z pasją w głosie Marek.

Dowódca przyznaje, że wielkanocnego grobu w Iwanowicach w gminie Szczytniki strzeże z małymi przerwami od 1982 roku.

– Pierwszy raz stałem na poświęceniu pomnika ojca Augustyna Kordeckiego, który urodził się w Iwanowicach w 1603 roku – wspomina z dumą. – Przez tyle lat stać w tym stroju – to był dla mnie zaszczyt i ogromna chluba. Za kawalera było fajnie, bo panienki się oglądały. Jak wiadomo, za mundurem panny sznurem. W ogóle był to prestiż, ale i stres. Jako młody chłopak nie wiedziałem, czy uda mi się wystać te sześć godzin. Oprócz tego musiałem starszym

żołnierzom malować łuski na zbroi. Było jak w wojsku, młodzi mieli przechlapane na początku.

Ale nie do Marka należy rekord najdłuższego stażu. Rekordzistą jest jego nieżyjący już od czternastu lat wuj Józef, który wciągnął go do drużyny. Sam w szeregach Turków spędził ponad czterdzieści lat, przez trzydzieści z nich był dowódcą oddziału. W obecnej ekipie najdłuższy staż ma Maciek, z zawodu budowlaniec. Jego specjalność to wykończeniówka. Maciek ma żonę, dwójkę dzieci i tyle samo wnuków. Przy wielkanocnym grobie Chrystusa stróżuje od 1987 roku.

– Fajne jest to, że nawzajem się pilnujemy, dbamy o to, żeby się nie upić – zero alkoholu na służbie, no a po rezurekcji, po staniu całą sobotę, jesteśmy tak zmęczeni, że śpimy do południa i mamy po świętach. Zostaje tylko wielkanocny poniedziałek – „żali się” Maciek. – Najgorzej jest, jak ludzie zaczną robić miny, ale trzeba być odpornym na takie rzeczy. Najważniejsze, żeby wytrzymać do końca swojej zmiany i stać jak posąg, można najwyżej mrugać oczami – dodaje. – Nas, Turków, w Iwanowicach jest dziewięciu: jeden dowódca i ośmiu żołnierzy, którzy tworzą cztery zmiany. Jesteśmy ubrani w tekturowe zbroje z łusek, hełm, bluzy i spodnie. Wszyscy uzbrojeni jesteśmy w drewniane miecze. Czterech żołnierzy ma włócznie, a czterech halabardy. Każda z czterech zmian różni się od siebie kolorem ubrania oraz kolorem pióropusza na hełmach. Pierwsza i trzecia zmiana mają łuski koloru złotego, tak jak dowódca, natomiast druga i czwarta – srebrnego. Ponadto obszycia rękawów są w różnych kolorach, w zależności od zmiany” – tłumaczy Maciek. – W Wielki Piątek warta trwa dwie zmiany, po czym zamyka się kościół. W Wielką Sobotę rozpoczynamy służbę o godzinie 9:00 i pełnimy ją przez cały dzień i noc, aż do godziny szóstej rano w niedzielę, czyli do mszy rezurekcyjnej. Zmiany następują co godzinę. Co ciekawe, w niedzielę wielkanocną w czasie symbolicznego zmartwychwstania przewracamy się na pamiętkę omdlenia straży rzymskiej. Za punkt honoru uważamy, aby upaść tak, by kapłan z monstrancją nie mógł przejść obok nas. Często zdarza się, że służba kościelna musi odciągać leżących żołnierzy, aby umożliwić przejście.

Przed sześciu laty, kiedy Marek obejmował dowództwo, nie było tak kolorowo. Stroje sprzed renowacji pamiętają czasy II wojny światowej. Podczas wojennej zawieruchy tureckie ubrania sześć lat spędziły na strychu kościoła, a po wojnie odmalowywano jedynie czasami łuski i hełmy.

– Dużo wysiłku kosztowało nas, żeby to wszystko doprowadzić do dzisiejszego stanu – zapewnia Marek. – Łuski wycinaliśmy z kumplami w garażach. Matrycę mieliśmy wyrobioną. Kilku je wycinało, dwóch obrabiało, a dwóch dziurkowało. Nieźle się narobiliśmy, bo na strój wchodzi 300 łusek. W sumie trzeba było ich wyciąć prawie 3000. Później znaleźliśmy jednego człowieka w Pleszewie, który nam to poprzyszywał. Za komplet kasował 600 złotych, za samo przyszyć łusek – dodaje rozżalonym głosem Marek. Po chwili wstaje i pokazuje mi swój strój. – Widzisz, teraz wygląda to inaczej. Wszystko jest już prawie odnowione: lśniący hełm, nowe łuski, spodnie i tuniki – zachwyca się. – A przed renowacją strojów to się z nas nawet proboszcz śmiał, że w rajtuzach chodzimy – dodaje z uśmiechem. – A pamiętasz, jak musieliśmy do Mielca po hełmy jechać 400 kilometrów w jedną stronę? – wtóruje mu Krzysiek, inżynier. Pracuje w polskim oddziale amerykańskiej korporacji. Po godzinach dorabia jako instruktor nauki jazdy.

Chłopak ma trzydzieści siedem lat na karku i dwadzieścia lat stażu w Turkach. W drużynie jest „menadżerem”. Zajmuje się zgłaszaniem oddziału na różne przeglądy i parady.

– W tym roku zorganizowaliśmy pierwszą na terenie Wielkopolski paradę Turków. Naszym celem jest utworzyć w Iwanowicach centralę Turków w naszym województwie – dodaje Krzysiek.

Tradycja iwanowickich Turków istnieje około dwieście lat.

– Nie posiadamy żadnych dokumentów potwierdzających tę datę. Wiemy to od ludzi, którzy mają po dziewięćdziesiąt sześć lat... Turkiem mógł zostać każdy. Zainteresowanie zawsze było bardzo duże, ale nie każdy mógł się znaleźć w drużynie. Zawsze musiał być ten krąg dziewięciu osób. Wielu chłopaków w moim wieku w 1996 roku chciało zostać strażnikiem grobu Chrystusa, mnie się akurat udało. Wtedy Turkami dowodził wuj Marka, Józef. Trudno było się dostać. Nie było tak, że idziesz, zapisujesz się, i jesteś Turkiem. Na-leżało wyczekać swoje w kolejce. To był i jest elitarny krąg. Można

się pokazać i zaprezentować z dobrej strony, chociaż wymaga to poświęceń i w czasie świąt jestem w domu tylko gościem – tłumaczy Krzysiek.

– Wielkanoc to dla nich prawdziwe poświęcenie, czasami naprawdę ich podziwiam – dodaje Iwona, żona Krzyska, mama dwójki dzieci. – Z drugiej strony całe święta nie ma go w domu i wszystko muszę robić sama. Dobrze, że mieszkamy z teściową. Turków można zobaczyć w Iwanowicach w ciągu roku w okresie wielkanocnym, podczas procesji w dzień Bożego Ciała oraz przy okazji Drogi Krzyżowej, która odbywa się na ulicach Iwanowic. Strażników można podziwiać również podczas innych ważnych uroczystości, takich jak wizyta biskupa kaliskiego. Ostatnią taką okazją była pierwsza w województwie wielkopolskim Parada Straży Wielkanocnych, która miała miejsce 6 sierpnia, w dzień odpustu Przemienienia Pańskiego w Iwanowicach.

– Budujące jest to, że ludzie przyjeżdżają z różnych miejsc, żeby nas zobaczyć. Mieliśmy gości nawet z Ukrainy i ze Stanów Zjednoczonych – chwali się trzydziestosześcioletni Adam. Z zawodu jest rzeźnikiem. W ubiegłym roku po raz pierwszy pełnił wartę przy grobie Pańskim.

– Szczególnie dużo odwiedzin mieliśmy po święconkach. Ludzie przynosili nam ciasto i pytali, czy damy radę wystać tyle godzin. Aż się zdziwiłem, że spotykamy się z tak dużą życzliwością. Taki sam staż w Turkach ma Marcin. Chłopak jest właścicielem blisko stuhektarowego gospodarstwa. Hoduje też gęsi.

Do tradycji iwanowickich Turków należy również uczestnictwo strażników w ślubach swoich kompanów. Ostatnio udali się na taką uroczystość 12 listopada do oddalonego o około 25 kilometrów Koźminka. Ślub brał dwudziestoparoletni Dawid, który stał w Turkach przez ponad pięć lat.

– Fajnie było uczestniczyć w ślubie byłego kompana – mówi dwudziestoletni Przemek, właściciel lokalnego sklepu mięsnego. – Naszym zwyczajem jest asysta podczas ślubu. Oczywiście mieliśmy na sobie nasze paradne stroje. Dawida wprowadzaliśmy do kościoła w Koźminku. Przy wyjściu z kościoła młoda para przeszła pod szpalerem, który zrobiliśmy ze skrzyżowanych włóczni i habard – opowiada z entuzjazmem Przemek. – Nie zawsze jednak

bierzemy udział w tak radosnych uroczystościach – dodaje. Czasami iwanowickie Turki doświadczają mniej przyjemnych wydarzeń. W ostatnim czasie drużyna straciła dwóch dowódców: pana Józefa w 2004 roku oraz pana Stanisława w 2010 roku.

– W iwanowickiej drużynie Turków jest jeszcze taki jeden Przemek. Ma trzydzieści jeden lat. Pracuje w firmie meblarskiej pod Ostrowem. Jest żonaty i ma 1 dziecko. Jest również trzydziestojedno-letni Mateusz, który pracuje w podkaliskiej firmie produkującej napoje i słodycze, oraz czterdziesto-letni Sylwek, magister inżynier. Też żonaty, też ma jedno dziecko – podsumowuje dowódca Marek.

Początki Turków w Polsce sięgają końca XVII wieku, czyli czasów odsieczy wiedeńskiej. Nawiązują one do tradycji rzymskiej straży, która pełniła wartę przy grobie Jezusa Chrystusa od czasu złożenia ciała w grocie do momentu zmartwychwstania. W wyniku zwycięstwa Jana III Sobieskiego pod Wiedniem w 1683 roku wojsko Rzeczypospolitej zdobyło liczne łupy, w tym oręż i mundury tureckie. Według podań ludowych żołnierze wrócili do Radomyśla nad Sanem dopiero wiosną 1684 roku, w Wielki Piątek. Ubrani w zdobyczne mundury i wyposażeni w turecką broń, postanowili zaciągnąć straż przed grobem Chrystusa, składając w ten sposób podziękowanie za szczęśliwy powrót do domu, co dało początek tradycji. Turki wielkanocne to też najbardziej polski z obrządków świąt wielkanocnych. Oprócz terenów ziemi kaliskiej Turków można spotkać na Podkarpaciu.

Bartosz Olender (ur. 1984) – urodzony humanista. Od 2007 roku nauczyciel języka angielskiego. Również tłumacz, tutor, a chwilami dziennikarz-amator. W 2006 roku pracował w lokalnym radiu Centrum, a od 2008 roku w dwóch kaliskich tygodnikach: „Naszym Rynku” i „Expressie Kaliskim”. Pasjonują go ciekawi świata ludzie, którzy lubią działać. Stara się patrzeć na życie przez różowe okulary. Jego dewiza to „dostajesz tyle, ile dajesz od siebie”.



GROBY

JERZY SZUKALSKI





Pogoda typowo jesienna. Jak to pod koniec października. Ludzie spieszą na cmentarz zadbać o groby bliskich. Taka tradycja. Ale są groby, a nawet cmentarze, na których trudno spotkać kogokolwiek. Co jakiś czas jednak i one znajdują się w centrum uwagi.

Do dewastacji grobów na kaliskim cmentarzu żołnierzy radzieckich dochodzi regularnie. Dwa lub trzy razy w roku wandy rozbijają nagrobki albo oblewają je czerwoną farbą. Policja zazwyczaj znajduje sprawców, którzy za każdym razem tłumaczą się tak samo: że nie wiedzą, dlaczego to zrobili. Że coś ich naszło. Ostatni był sześćdziesięciosiedmio-latek. W lutym, po pijanemu, uszkodził 18 tablic. Sprawa zyskała rozgłos międzynarodowy. O kaliskiej nekropolii mówiono w moskiewskiej telewizji. A rosyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych wystosowało notę do polskich władz. W dokumencie napisano: „Szydzenie z pamięci o ludziach, którzy oddali życie za wolność i niepodległość polskiego narodu, jest niezgodne z zasadami, na których opiera się cywilizowane społeczeństwo. W związku z tym chcielibyśmy przypomnieć, iż w walkach o wyzwolenie Polski spod okupacji hitlerowskiej poległo ponad 600 tysięcy żołnierzy radzieckich. Ponadto w nazistowskich obozach zginęło i zostało pochowanych w polskiej ziemi jeszcze około 800 tysięcy jeńców wojennych z byłego ZSRR”.

W przeddzień Wszystkich Świętych wybrałem się na groby. Trochę z obowiązku, a trochę, by przyjrzeć się ludziom. Co robią? Jak przeżywają wspomnienie bliskich? Długo chodziłem, przy okazji odwiedzając znajomych, którzy już odeszli. W pewnym momencie dostrzegłem mężczyznę wchodzącego na cmentarz żołnierzy radzieckich. Pierwsza myśl, która przebiegła mi przez głowę: „kolejny wandal”. Ale nie wyglądał na łobuza. Był za dobrze ubrany. Podeszedłem do bramy i obserwowałem, co robi. Zapalił zniczy przy pomniku na środku cmentarza. Trochę postał, a potem odwrócił się i zobaczył, że mu się przyglądam. Przechodząc obok, skinął głową. Wtedy wygrała ciekawość.

– Przepraszam, ma pan tu bliskich?

– Nie. Pewnie pana dziwi, że tu przychodzę?

Kiwnąłem głową, bo rzeczywiście przeczuwałem ciekawą historię.

To wydarzyło się kilka lat temu. Przed kilkunastu laty Jerzy śpiewał w chórze Towarzystwa Śpiewaczego Echo w Kaliszu. Dopisało mu szczęście i załapał się do składu jadącego na międzynarodowy festiwal chórалny rozgrywany w Mohylewie na Białorusi. Miał nadzieję, że jak już będzie na Białorusi, uda mu się dostać kawałek dalej, do Katynia. Chciał poszukać grobu dalekiego krewnego. Tadeusz zginął, jak 4400 innych polskich oficerów, od strzału w tył głowy zadanego przez radzieckie NKWD.

Niestety okazało się, że jako obywatel Rzeczypospolitej Polskiej powinien mieć wizę uprawniającą do przekroczenia granicy białorusko-rosyjskiej. O niespełnionych zamiarach wspomniał kolegom z chóru. Następnego dnia jeden z nich, Grzegorz, przyniósł dobrą wiadomość. Syn gospodarzy, u których został zakwaterowany, zaproponował, że za drobną opłatą chętnie zawiezie trzy osoby do Katynia. Brak wizy nie stanowił problemu. Za kilka dolarów pogranicznicy przymykali oko na większe niezgodności w dokumentach. Jerzy podszedł do pomysłu dość sceptycznie, ale Grzegorz już zamówił ekskursję.

Z mapy wynikało, że do Katynia jest 400 kilometrów. 200 do granicy i drugie tyle po stronie rosyjskiej. W Polsce taka droga mogła zająć kilka godzin, ale tam nie było wiadomo, czego się spodziewać.

W grudniu 2015 roku portal Naszemiasto.pl pisał o kolejnym akcie wandalizmu: „Cmentarz żołnierzy radzieckich w Kaliszu został ponownie zdewastowany. Wandal przewrócił jedenaście tablic nagrobnych. Kilka z nich zostało potłuczonych. Sprawa jest już w policyjnym areszcie”.

W piątek rano chórzyści zjedli śniadanie i przygotowali się do drogi. Igor, młody Białorusin, był punktualny. Tylko jego maszyna, granatowa łada, nie wzbudzała zaufania. Igor jednak zapewniał, że wóz przeszedł już niejedno, ale i ta droga dla niego niestraszna. W końcu to niedaleko. Był pełen optymizmu, mając już w kieszeni dolarową zaliczkę i słysząc w wyobraźni szelest kolejnych banknotów, które

otrzyma po powrocie. Chórzyści uwierzyli. Ruszyli w drogę. Podróż ułatwiał fakt, że ludzie w ich wieku *wsie niemnoszka gawarili pa ruski*. Szybko okazało się, że Igor mówiąc o bliskości miejsca docelowego, nie rzucił słów na wiatr. Droga była tak prosta, że uciekającego nią psa widzieli przez dwa dni z okładem. A co najważniejsze, była w doskonałym stanie, choć pamiętała jeszcze Igrzyska Olimpijskie w Moskwie w 1980 roku. Nawet zatrzymanie przez tamtejszą drogówkę i wlepienie maksymalnego mandatu za przekroczenie prędkości, który w przeliczeniu wyniósł niecałe 3 dolary, nie osłabiły tempa. Zwolnili dopiero przed granicą, by zadbać o kamuflaż. Chórzyści wypili po kilka kieliszków, trochę rozlali na siebie, aby wyglądać na lekko wstawionych miejscowych. Tak jak zapewniał Igor, nawet nie wyjęli dokumentów.

Do Katynia dotarli około godziny 10:00. Piątkowe przedpołudnie, wokół żywego ducha. Nagle ucichły samochodowe rozmowy. Muzeum Memoriału Katyń było zamknięte. Poszli dalej, w stronę placu, z którego drogi wiodły na cmentarz polski i rosyjski. Wybrali tę w kierunku polskiego. Minęli bramę i weszli na ziemię uświęconą krwią bohaterów. W całkowitym milczeniu obeszlą nekropolię, idąc wzdłuż pasa alfabetycznie umieszczonych tabliczek. Na każdej z nich w sześciu rzędach dane personalne: imię, nazwisko, stopień bądź funkcja, data i miejsce urodzenia, przynależność wojskowa i wspólna data śmierci – 1940 rok. Wśród tysięcy nazwisk, pokrywających rdzą imitującą zakrzepłą krew, Jerzemu udało się odnaleźć dalekiego krewnego.

Gdy chórzyści wychodzili z cmentarza, ich oczom ukazał się niecodzienny widok. Młoda para, ona w białej sukni, on w garniturze, z kwiatami, a wokół nich weselni goście. Zapytani, co tu robią, wyjaśnili, że u nich taki zwyczaj. W dzień ślubu składać kwiaty na grobach tych, dzięki którym mogą żyć spokojnie. A że w ich wsi, oddalonej o 80 kilometrów, nie ma grobów żołnierzy, to przyjechali do Katynia. Bo tu leżą oficerowie, którzy polegli w czasie wojny. Bo przecież rodziny tych, którzy tu polegli, nie mogą na co dzień się tu zjawić. Jerzy był wzruszony, ale grzecznie zwrócił uwagę, że ci oficerowie nie polegli w boju z rąk Niemców. Rosjanie pokiwali głowami na znak, że doskonale o tym wiedzą. Wyjaśnili, że im polityki *nie nużna*. Że są zwykłymi ludźmi i dbają o groby niezależnie od

tego, kto w nich leży. Bo po śmierci każdemu należy się szacunek. A potem zaprosili, by z nimi świętować ich radość. Wyjęli *szampanskoje* i bombonierkę. Wartą tyle, co ich miesięczna pensja. Jerzy i jego koledzy byli zakłopotani, gdy ich poczęstowano.

Cmentarz żołnierzy radzieckich w ostatnim czasie dwukrotnie padał ofiarą wandalii. Za każdym razem uszkodzonych zostało kilkanaście tablic nagrobnych. Tadeusz Skarżyński, kaliski radny PiS, proponuje, by przenieść prochy czerwonoarmistów z cmentarza przy ulicy Częstochowskiej na Majków.

– Rozumie pan, dlaczego od tej pory rok w rok przychodzę tutaj, na cmentarz żołnierzy radzieckich w Kaliszu?

Mężczyzna spojrział na poprzewracane dla rozrywki tablice. Wypisane na nich daty urodzenia i śmierci wskazują jasno, że ci młodzi chłopcy nie mieli pojęcia o polityce. Szli na Berlin gnani tylko w jednym kierunku. Przed nimi Wehrmacht, a za nimi gwardyjskie oddziały zaporowe. Za krok do tyłu groziła im kula w łeb. Na pewno nie znaleźli się tutaj z porywu serca czy dla własnej satysfakcji. Ale tu, w Kaliszu, na obcej ziemi dopadła ich śmierć. Czy w ogóle możliwa jest dobra wojna, wojna toczona ze szlachetnych pobudek i z poszanowaniem człowieczeństwa? Przecież te pojęcia w oczywisty sposób przeczą same sobie. Czy więc wypada teraz walczyć z ich grobami? Choć przecież nikt ich tu nie zapraszał?

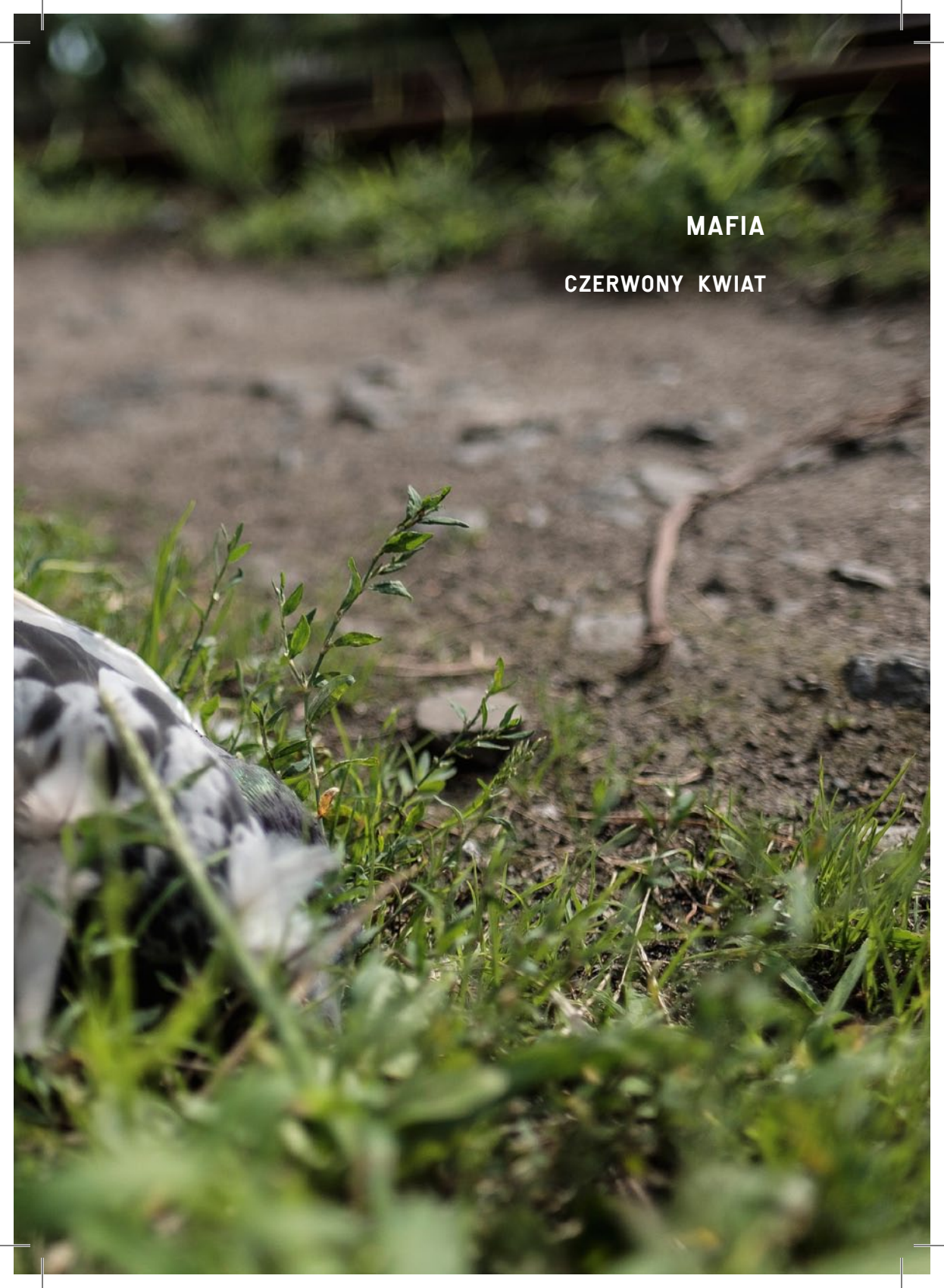
Dewastacje grobów czerwonoarmistów co jakiś czas zdarzają się w całej Polsce. Ale w Kaliszu należą już do niechlubnej tradycji. Co jest tego przyczyną?

– Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Ale póki w Katyniu na grób z nazwiskiem mojego krewniaka przyjdzie pokłonić się choć jeden Rosjanin, ja tutaj przyjdę zapalać kolejny znicz.

Gdy mężczyzna odszedł, zaczął się drobny deszcz. Stałem jeszcze długą chwilę i obserwowałem, jak zmienił się w szaroburą mgiełkę. Wtedy uprzytomniłem sobie, że nie zapytałem go nawet o imię czy nazwisko jednego z poległych polskich oficerów. Nieważne, pewnie spotkam go za rok.

Jerzy Szukalski (ur. 1956) – mąż, ojciec, dziadek. Cały czas czynny zawodowo, w wieku sześćdziesięciu lat zdał egzamin kończący staż na urzędnika samorządowego. Jest to kolejne z jego dziesięciu już wcieleń zawodowych. Formalne wykształcenie zakończone tytułem magistra pedagogiki pracy kulturalno-oświatowej. Aktywny animator kultury. Ociera się o sceny amatorskie, udzielając się jako aktor-amator lub recytator i działając w Stowarzyszeniu Promocji Sztuki Łyżka Mleka. W zakresie pisarskim: profan, dziki-niepiśmienny.





MAFIA

CZERWONY KWIAT



Nazywają go Mafia. Kiedyś się go bali, tak samo jak Jeziornego. Nie żeby był groźny. Jeziorny też zresztą nie był. Byli inni. Po latach mieszkańcy Ostrowa Wielkopolskiego przywykli. Już nie uciekają na widok Mafii. Patrzą na niego z litością. Ot, jeszcze jeden nie-szczęśliwy wariat.

Ryszard jeździ po okolicy rowerem i zbiera, co się da. A to piórko znajdzie. A to wytłoczkę z jajek. Starą reklamówkę. W tym, w czym inni widzą tylko niepotrzebny śmieć, on dostrzega skarb. Sam zresztą wygląda jak skarb. Znoszone buty, stopy zmęczone przez wielokilometrowe marsze w towarzystwie Roksany – psa, wiernego przyjaciela, bez którego umarłby z samotności. Pióra, kapelusze, na szyi niedbale zawieszona fajka, którą sam wydłubał z kawałka niepotrzebnego drewna. Ćwieki, skórzane paski. Bywa, że i pomalowane paznokcie. Ludzie myślą, że to transwestyta. Nazywają dziwołagiem albo wariatem. Nie jest ani jednym, ani drugim. To akurat stwierdzono urzędowo. Po prostu jest sobą.

Krysię poznał na dyskotecie. Przyjeżdżał do niej na motorze, z trwałą na głowie, w czarnych lakierkach, białych skarpetkach i w skórze z peweksu. Ona elegancka, skromna, bardzo ładna. Często dawała mu kosza. Ale on się nie poddawał. Ona z dobrej rodziny, jak to się mówiło, na poziomie. On z domu prostych rolników. Jej rodzice mieli pod miastem hodowlę nutrii i handlowali skórami. Jego mieli szklarnie w Gorzycach, hodowali kwiaty. Jej posiadali piękny samochód. Jego – trochę gorszy. Jej rodzice byli przeciwni. Próbowali córkę zniechęcić, zabraniali, a czasem ostrzegali. Ale ona nie chciała słuchać. Jego rodzice także ostrzegali. Mówili, że to nie jest dziewczyna dla niego. On też nie słuchał. Przyjeżdżał po nią swoim *piździkiem*, gdy wymykała się tylnymi drzwiami. Uciekali, by móc być ze sobą.

Rysiek bardzo chciał, by za niego wyszła. Ona też go kochała, ale jeszcze nie myślała o ślubie. Znalazł na to sposób. Wiedział, co robi, i wiedział, że dzięki temu pokona wszystkie przeszkody. Że zostaną mężem i żoną, na dobre i złe. Gdy okazało się, że zaszła w ciążę, rodzice nie mogli już nic począć. „Trzeba wziąć ślub, bo co ludzie powiedzą?”. Oboje byli szczęśliwi. Obiecywali sobie miłość do grobowej deski.

Po pierwszym dziecku, dziewczynce, przyszło drugie. Też dziewczynka. Rysiek nie posiadał się ze szczęścia. Na rękach nosił, rozpieszczał, na spacerach chodził. Wszystko jakoś się poukładało. Miał dobrą pracę. Był spawaczem, nieźle zarabiał. Ona zajmowała się dziećmi. Kupili samochód. Jego marzenie, czarną renówkę 5 GTI, z przyciemnionymi szybami. Jak założył kurtkę ze skóry, to wyglądał w niej jak żołnierz mafii. I taką dostał ksywę. Kole-dzy zaczęli na niego wołać Mafia. Ale co z niego za mafiozo? Po pracy prosto do domu. Obiad, dzieci, obowiązki domowe. Czasem tylko gdzieś z kolegami wyskoczył. Nie za często, bo ona się złościła. Zresztą czasu brakowało. Krysia miała zawsze wszystko zaplanowane. W sobotę od rana sprzątanie, potem obiad. Po obiedzie zabierała się za pieczenie ciasta. On chciał odsapnąć, wychodził do pokoju i puszczał muzykę. Lubił rocka. Ona zaczynała krzyczeć, że za głośno, że to szarpidruty. Nie miał siły się przeciwstawić. Ściszał i wyciągał z barku butelkę. Potem przychodzili goście albo oni szli do kogoś. W towarzystwie Rysiek zawsze grał pierwsze skrzypce. Krysia była w jego cieniu. To on zaczynał zabawę. Choćby przebie-ranki. Tak dla draki. Jak trochę wypił, to przebierał się za kobietę. Dzieci się cieszyły. Z ojcem zawsze miały sporo radości. Ale jej się to nie podobało. Potem narzekala, że robi z siebie wariata.

Któregoś dnia na spacerze z córkami w parku Miejskim spotkali Jeziornego. Tajemnicza postać na zardzewiałym rowerze. Stary, brodaty, ubrany na zielono mężczyzna. Widać, że zmęczony życiem. Tak samo jak jego rower, upstrzony wędkami, sznurkami, kawałkiem rybackiej sieci. Jeziorny chodził po 70-tysięcznym Ostrowie i zaczepiał ludzi. Ale nienachalnie. Przysiadł się na ławce. Trochę pofilozofował. Głupi nie był, sporo wiedział. Ot, lokalny oryginał. Ale można się go było przestraszyć. I dziewczynki się przestraszyły. Mafia zresztą też. A może nie miał ochoty na rozmowy z dziwkami. Bo w jego poukładanym świecie Jeziorny był po prostu dziwakiem.

Minęło dziesięć lat. Idealnych. Rysiek każdego dnia cieszył się z małych rzeczy, na przykład ze złotych rybek w akwarium, bardzo o nie dbał. Z dużych też się cieszył. Co roku wakacje, z czasem nawet za granicą. Wtedy pojawiło się kolejne dziecko. Tym razem syn. Zostało mu jeszcze zbudowanie domu, a potem posadzenie drzewa.

Zaczął od domu. Kopał fundamenty, nosił cegły. A do tego pracował na akord. Wracął zmęczony, a w mieszkaniu znowu wszystko od linijki. W sobotę sprzątanie, gotowanie, obiad, a potem pieczenie ciasta. Ona pragnęła, by wszystko było na poziomie. On też miał być na poziomie, choć w sercu miał rock'n'rolla. W końcu zmęczyło go zaplanowane drobiazgowo życie i wymagająca żona. Zaczął ją nazywać kurą domową. Sam chciał być kogutem. Ale to nie on rządził, tylko ona. Gdy to sobie uświadomił, zaczął pić. Na początku w domu. Potem wychodził z butelką w rękę i znikał na dwa lub trzy dni. Dzieciom zaczęło brakować metalicznego zapachu, który przynosił z pracy. I jego wielkich, spracowanych dłoni. Wracał zmęczony i brudny. Znikał coraz częściej na coraz dłużej. Stawał się coraz bardziej dziki, nieoswojony.

Najpierw złapali go po pijaku za kółkiem. Renówka wylądowała na wsi, koło domu rodziców. To go mocno zabolalo, bo lubił to auto, tak samo jak lubił szybką jazdę. Któregoś dnia zbyt wcześnie wrócił z pracy. Po drodze wywrócił się na rowerze. Wpadł w szlakę, która wbiła mu się w twarz i ręce. Płakał. Tulił do siebie młodszą z córek, obiecując, że wszystko będzie dobrze. Nie rozumiała, dlaczego ojciec płacze, dlaczego brzydko pachnie, dlaczego ma podarte spodnie i czarną, pokaleczoną twarz. Pękało jej serce. Gdy tata trafił do szpitala, pękło jeszcze mocniej. Trepanacja czaszki, jedenaśto-centymetrowy guz. Wynik pijackiej bójki. Sam zaczął. Poszło o ślubną obrączkę. Zasnął, a jeden z kompanów zdjął mu ją z palca. Chciał ją odzyskać i mocno dostał. Bo z Hiszpanem nie było żartów. Obrączka już się nie znalazła. Przepadła na zawsze. Wkrótce okazała się niepotrzebna. Rozwód przypieczętował jej zaginięcie.

Wtedy zupełnie zgubił sens życia. Nieraz spał w lesie – w renówce, pod namiotem albo pod gołym niebem. Zamierzał się ukatrupić. Czasem dzwonił i uprzedzał, że chce to zrobić. Pomysłów mu nie brakowało. Połknąć garść tabletek albo wypić płyn do mycia szyb, a może się powiesić albo utopić. Parę razy otarł się o śmierć. Na przykład leżąc twarzą w kałuży. Picie, odwyki, szpitale dla fizycznie i psychicznie chorych. Lekarze też myśleli, że zwariował. Trzymali na oddziale, badali. Ale nic nie znaleźli – był normalny, tylko się pogubił. Nie podolał życiu. Przez dwadzieścia pięć lat żył w sztucznym, zaprojektowanym przez kurę domową świecie. I stał

się więźniem własnych wyborów. Więźniem namiętności. To dlatego zaczął pić. Krzywdę sobie zrobił. I wielu innych skrzywdził, choć nie chciał tego. Po prostu chciał być sobą. Ale nie miał na to siły ani odwagi. Zdławiony w zarodku, potem przepędzony i wygnany, został sam.

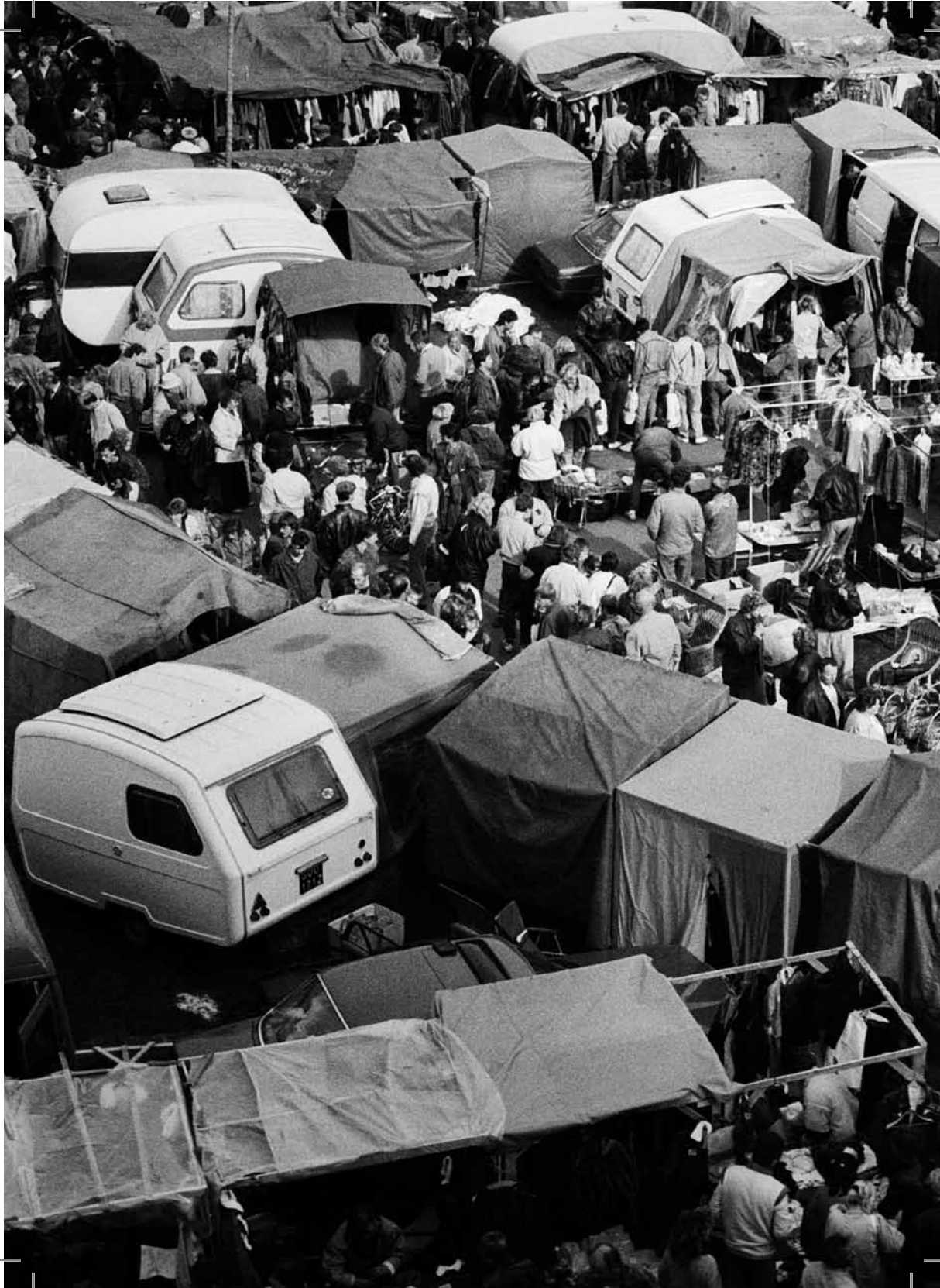
Teraz jest inaczej. Chce żyć. Pokornie przyjmuje wszystko, co przynosi mu los. To dzięki religii. Niektórzy mówią, że fanatyczna wiara go uwstecznia. Ale ta wiara go uratowała. Dała powód do życia i do dalszej walki. Walki o siebie, o swoje ideały, poznanie, doświadczenie, świadomość, prawdę. Walki z własną głupotą. Zrobił wiele głupstw, za które teraz pokutuje. Stracił dwa domy. Ten, w którym mieszkał, i ten, który budował. Dom wspólnych marzeń. Na działce pozostały gołe, zarośnięte krzakami fundamenty. Dzieci wyjechały, układają sobie życie gdzieś daleko. Czarna renówka niszczy na podwórzu rodziców, gdzie Mafia ma swój pokój z balkonem, kuchnię i łazienkę. Nie mieszka tam, jedynie przebywa, bo nic nie jest jego. Nic poza tym, co sam przynosi. Kręci się po okolicy i zbiera pióra, krzyże, bransoletki, torby, ciuchy, perełki.

Mafia nie może spać. Tuła się ciemną nocą. Zostawia po sobie ślady. W powietrzu ciężki zapach tytoniu. Na kartkach listy pisane drżącą dłonią, które kładzie na ławce w parku i odchodzi. Bardzo schudł. Wygląda na starszego od własnego ojca. Na twarzy i w oczach ma wypisaną historię życia. Wszystko musi zdobywać. Kupić cokolwiek trudno, bo żyje z zasiłku, a na syna płaci jeszcze alimenty. Wszystko zaczyna na nowo. Wszystko na nowo buduje. Zupełnie sam.

Krysi nie przestał kochać. Kiedyś byli przykładnym małżeństwem. Razem bawili się, cieszyli, płakali, kochali, kłócili i goździli. Teraz tego nie robią. Jak tylko Mafia zbliża się do jej domu, ona dzwoni po policję. Ale on się nie poddaje. Wciąż płata jej figle. A to bramę z zawiasów zdejmie, a to wielki kamień położy na stole w ogrodzie, a to kwiaty polne na wycieraczkę zostawi. Wszystko z miłości. Uczucie pali go od środka. Jeszcze się nie pogodził ze stratą. Wciąż wspomina, wypytuje, wydzwania, zostawia liściki. Ona nie chce mieć z nim nic wspólnego. No, gdyby się normalnie ubrał, to może by z nim pogadała. Ale on już nie wie, jak to jest normalnie. Wciąż się przemieszcza, zwłaszcza latem. Od festiwalu

do festiwalu. Od jednej pielgrzymki do drugiej. Od morza do Tatr. Wciąż czegoś szuka. Obserwuje, rejestruje wszystko i wszystkich. Kamera, telefonem, czym się da. Chce zrobić film. Zmontować to wszystko i pokazać, co przeżył i czego doświadczył. A obserwatorem jest niezłym. Ma w sobie coś z filozofa. Lubi dyskutować. Zanim się zorientował, stał się taki sam jak Jeziorny. Jak ten, którego się bał.

Czerwony Kwiat – *Twórca obrazu i tekstu. Fotograf. Podróżnik. Obserwator. Kreator.*



607 KILOMETRÓW
DO WOLNOŚCI

MARCIN KARPIŃSKI



Rok 1991. Kilka miesięcy wcześniej Lech Wałęsa wygrał wybory prezydenckie, miażdżąc w drugiej turze swego przeciwnika. Mur berliński już nie dzielił na lepszych i gorszych. W Polsce codzienność nadal jeszcze wyglądała szaro i smutno. Po ulicach jeździły maluchy, duże fiaty, tarpany i żuki, a syrenki czy trabanty nie robiły takiego wrażenia jak dzisiaj. W telewizji były dwa programy, z których jeden ciągle śnieżył. Rubin 714p stał na honorowym miejscu w reprezentacyjnym salonie rodzinnego „M” i spełniał swoją funkcję wyśmienicie. Był duży, rozgrzewał się szybko i nie dość, że odbierał wszystkie dostępne programy, to dodatkowo tryskał kółkiem – często tylko jednym. Raz przekazywał na czerwono, raz na niebiesko, raz na zielono. Babci niepotrzebne takie luksusy, więc oglądając codziennie wiadomości o 19:30, pozostała przy szarościach – przy swoim lazurycie. Wtedy kciuki nie były tak sprawne jak teraz. Wtedy, żeby przełączyć program, trzeba było najpierw użyć nóg, a dopiero później rąk. W tej jednak ciągle szarej, aczkolwiek przebudzonej gdzieś gdzieś kolorami, codzienności grupka młodych ludzi miała zrobić coś, czego jeszcze nie robiła.

Paczka w drodze

Tworzyli zgraną paczkę i mieli wtedy po osiemnaście lat. Mózgiem całej operacji była starsza od nich Agnieszka. Razem przygotowywali się do pierwszego odważnego kroku w swojej dorosłości, i to jeszcze w nieznane. Wypełniały ich obawy, że nie staną na wysokości zadania, że sobie nie poradzą. Mimo że wiedzieli co i jak, to jednak bali się, że może ich coś zaskoczyć. Tak po prostu, coś nieoczekiwanego, tak z partyzanta. Byli obciążeni przeszłością. Niektórzy z nich pamiętali o tym, jak ich dziadkowie czy babcie musiały jechać w tą samą stronę, co oni teraz, i nie było to wcale przyjemne. Ciekawość świata niedostępnego wcześniej i młodzieńcza pokusa przygody okazały się jednak silniejsze niż wszystkie lęki razem wzięte. Chcieli się od nich uwolnić. I nadszedł ten dzień. Wszystko zapięte na ostatni guzik. Plecaki spakowane, wałówka zabrana. Wystarczyło tylko uściskać się z rodziną, wsiąść do autobusu i jechać. Był 19 października. Przed nimi – jakieś cztery, może pięć godzin drogi do granicy. A potem wielki świat. Dla każdego z nich przekroczenie granicy stanowiło niesamowite przeżycie, lecz każdy

na swój sposób radził sobie z tą sytuacją. Jedni zasępieni, inni znów zbyt radośni. Jednym z uczestników tamtej dziewiczej wyprawy był Grzegorz. Był to chłopak wysoki, miał dobry, ciepły uśmiech i bujną czuprynę – można powiedzieć, że nawet szopę. Wspomina tamto wydarzenie tak:

– Przejazd przez granicę był czymś, co powodowało zaciśnięcie żołądka. Jak tylko wjechaliśmy na teren Niemiec Zachodnich, przykleiliśmy się z kolegami do szyb i obserwowaliśmy samochody, i w ogóle cały czas jechaliśmy autostradą setki kilometrów, co było dla nas zupełnym zaskoczeniem, bo takich rzeczy praktycznie w Polsce nie mieliśmy.

Agnieszka jechała z nimi. Była absolwentką filologii germańskiej. W czasie wakacji w Dolnej Saksonii poznała Astrid i Eckhardta Petersów – rodziców dwojga uczniów tamtejszego gimnazjum. Mieszkali w Celle. Złapała z nimi dobry kontakt i razem zorganizowali tę eskapadę dla dzieciaków z Konina. Oni chodzili do najstarszego liceum w mieście, a ona była ich nauczycielką. Uczyla ich otwierać usta po niemiecku, ale i otwierała im umysł.

– Po wakacjach do szkoły przyszła nasza germanistka – pani Agnieszka. To był nauczyciel zupełnie inny od pozostałych. My się uczyliśmy w sumie dla niej. Każdy był zafascynowany przedmiotem i ona dawała nam po prostu powiew innego świata, którego jeszcze nie znaliśmy. Powiedziała nam, że będzie program wymiany ze szkołą w zachodnich Niemczech, że w wakacje była w pewnej szkole w Celle, i złożyła nam ofertę wyjazdu – wspomina Grzegorz, który był wtedy w czwartej klasie.

Nic nie zapowiadało tak głębokiej przyjaźni Grzegorza z językiem niemieckim, gdy rozpoczynał naukę w liceum:

– Przychodząc do szkoły, myślałem, że będę się uczył języka angielskiego, jak wszyscy, i francuskiego ze względów rodzinnych. Jak zobaczyłem swój pierwszy plan lekcji, dostrzegłem język niemiecki i rosyjski. Trochę mnie to zdenerwowało. Pomyślałem sobie, że to dość dziwna kombinacja. Z językiem niemieckim problemu nie miałem żadnego, bo dziadkowie nie nauczyli mnie niczego złego, chociaż byli i w niewoli niemieckiej, i w niewoli rosyjskiej.

Bomba

Gdy przysiani do szyb zmierzali na Zachód, myśleli z obawą o wielkim świecie, który na nich czekał. Wiedzieli, skąd i dokąd jadą. Nie spodziewali się, że podróż będzie tak krótka. Dotarli na miejsce o wiele za wcześnie. W Niemczech były już przecież autostrady. Miasto skrywało swoje tajemnice z przeszłości, które dopiero w świetle wschodzącego słońca byli w stanie dostrzec gołym okiem. Stwierdzili wspólnie, że nie wolno budzić ich gospodarzy o takiej godzinie, więc Agnieszka postanowiła, że wszyscy pojadą do rodziny państwa Petersów. Było to między 6:00 a 7:00 rano.

– Cała grupa liczyła chyba 20 osób. Weszliśmy do domu, który wyglądał tak jak w kolorowych magazynach, których nigdy dotąd nie widzieliśmy. To było pierwsze zderzenie z cywilizacją Zachodu i wszyscy byliśmy pod wielkim wrażeniem – wspomina Grzegorz.

Nie bardzo wiedzieli, czy to wszystko istnieje naprawdę. Nigdy jeszcze nie widzieli takich budynków, uliczek, pałaców i zamków. Nie opuszczało ich wrażenie, że poruszają się w bajkowej rzeczywistości. Położone niedaleko Hanoweru 70-tysięczne Celle to perła wśród niemieckich miast. Wprawne oko dostrzeże w jego architekturze nawiązania do stylu angielskiego. To nie przypadek.

Wszystko za sprawą księcia Hanoweru, Jerzego I z dynastii Welfów, po którym imię nosi syn brytyjskiej pary książęcej, Kate i Williama – George. Jerzy I objął tron Królestwa Wielkiej Brytanii w 1714 roku na mocy zawartej wówczas unii personalnej. Przez sto dwadzieścia trzy lata oba państwa były rządzone przez wspólnego króla, a w Celle mieściła się letnia rezydencja królewska. Można ją podziwiać do dziś. Unia się rozpadła, a niemiecki ród von Sachsen-Coburg-Gotha pozostał na tronie brytyjskim, choć król Jerzy V, który był dziadkiem Królowej Brytyjskiej, Elżbiety II, zmienił nazwisko na Windsor.

Starówka Celle zachowała się w nietkniętym stanie od czasów królewskich. Działania II wojny światowej praktycznie nie przyniosły tu zniszczeń, na miasto nie spadła ani jedna bomba.

– Nagle pojawiłam się w miasteczku, które wyglądało troszeczkę jak z bajki *Jaś i Małgosia*. Domy co prawda nie były z piernika, ale były urokliwe i klimatyczne – mówi Marzena, opisując swój pierwszy kontakt z miejscowością.

Poligon doświadczalny

Świadomość dwutygodniowego pobytu w niemieckiej rodzinie i szkole rodziła w ich umysłach zrozumiałe obawy. Wspólne dni i noce, wieczory i ranki... Ze względu na bardzo duże koszty podróży nie opłacało się jednak jechać na krócej. Poza tym mieli tyle rzeczy do zobaczenia i przeżycia, że w tydzień nie daliby rady. Trafili do kraju dobrobytu. To ich niemal zważyło z nóg. Wszystko, co wtedy zobaczyli, było inne od tego, co znali do tej pory. Zwiedzali między innymi fabrykę Volkswagena, fabrykę fletów, instytut pszczelarstwa, sąd czy ptasi park.

– Zawieziono nas do takiego parku ptasiego, w którym były ptaki z całego globu. Przy wyjściu zauważyliśmy plac zabaw z siatkami do wspinania. Nikt z nas nie widział wcześniej niczego podobnego i jako młodzi dorośli bawiliśmy się tam chyba przez godzinę. Na oglądanie ptaków zostało nam już niewiele czasu – opowiada Grzegorz. Doświadczali innej jakości życia.

Niemiecki dom rodzinny był również miejscem nowych doświadczeń. Zaskoczyło ich to, że gdy Niemiec pyta kogoś, czy jest głodny, i w odpowiedzi usłyszy „nie”, kończy temat i niczym nie częstuje, basta. Inne nawyki wynieśli z domu. Kiedy mamie lub babci na takie samo pytanie odpowiadali przecząco, to po chwili słyszeli kolejną, jakby niedowierzającą pierwszej odmowie, propozycję: „A może jednak coś byś zjadł?”. Prosta, zwykła polska troska o człowieka. A tam – nie ma! Nie jesteś głodny, to nie jesz. Trzeba więc uważać na to, co się w takich sytuacjach odpowiada. Trafili w cywilizacyjną przyszłość przemysłu spożywczego. Poznawanie jej uroków było dla nich zaskakujące. Grzegorz pamięta krótką „chlebową” scenkę z pobytu u niemieckiej rodziny. Wyglądało to mniej więcej tak:

– Co będziesz jadł na kolację? – zapytał grzecznie niemiecki tata.

– Chleb – spokojnie i jeszcze grzeczniej odpowiedział polski synuś.

Tata tymczasem spodziewał się konkretnej odpowiedzi, jaki to rodzaj chleba synuś by zjadł. Czy ma ochotę na pszenny, pełnoziarnisty, z pestkami dyni, czy jeszcze inny. A tu cisza. W Polsce nie mieliśmy różnych rodzajów chleba. „Chleb to chleb” – chciałoby się

powiedzieć. Zmiany cywilizacyjne i do nas w kilka lat później miały dotrzeć, poczynawszy od pumpernika, żytniego i razowca.

Podobnie, a może nawet jeszcze śmieszniej, było z herbatą, którą dla Niemców jest nie tylko – jak u nas wówczas – „tradycyjna” czarna, ale także mięta, rumianek, lipa i tym podobne. Stąd pytaniu „czy napijesz się herbaty?” zawsze towarzyszyło drugie: „jakiej?”. Zwykle „tak” w odpowiedzi nie wystarczało. Młodemu koninianom nastręczało to wtedy problemów, zwłaszcza że nie mogli przecież znać odpowiedzi na pytania, które samym niemieckim gospodarzom niełatwo było wymyślić. Obie strony w pewnych sprawach poruszały się trochę po omacku.

Sporo czasu spędzali w szkole, czyli w Kaiserin-Auguste-Victoria-Gymnasium.

– Zaskakiwało nas to, że otwierało się drzwi do klasy i wszyscy uczniowie niemieccy siadali w pierwszych ławkach. W Polsce siadaliśmy zawsze w ostatnich. Byliśmy zszokowani aktywnością na lekcji: wszyscy mają podniesione ręce, wszyscy mówią jeden przez drugiego. Każdy chce się wypowiadać. Kłócą się i dyskutują. Potem zrozumieliśmy, że uczniowie nie otrzymują ocen z poszczególnych odpowiedzi, ale raz na miesiąc są oceniani za jakość ustnych odpowiedzi w danym okresie. To zupełnie zmienia dynamikę pracy. Chodziliśmy na zajęcia WF-u wiosłować albo na basen. To było dla nas zadziwiające – wspomina Grzegorz.

Przez dwa tygodnie zaaklimatyzowali się w tej kolorowej rzeczywistości. Kiedy zbliżał się termin wyjazdu do kraju, byli smutni, że wracają do szarości, smutku i biedniejszego życia.

Czysty i piękny

Gdy tylko Marzena usłyszała język niemiecki, jakiego używa się w Celle, od razu się nim zachwyciła. Pierwszy raz pojechała do Dolnej Saksonii w roku 1995. Była młodą, początkującą nauczycielką i od razu została organizatorką wymiany. Grzegorz nie chodził już wtedy do szkoły. Studiował. Magia wymiany była jednak tak duża, że w trakcie studiów co roku uczestniczył w programie polsko-niemieckim jako opiekun młodzieży ze swojej starej, poczciwej budy. Po studiach wrócił do szkoły jako belfer. Po swojej pierwszej wymianie wiedział już, kim chce zostać.

– Zawsze wiedziałem, że chcę być nauczycielem, ale nie za bardzo miałem pojęcie, jakiego przedmiotu. Radość komunikacji w języku obcym ustawiła mnie na przyszłość. Postanowiłem, że będę nauczycielem języka niemieckiego – wyjaśnia Grzegorz.

Dołączył do Marzeny i odtąd są już razem: siedzą po tej samej stronie biurka i wspólnie organizują wymianę. Oboje czują się w Celle prawie jak w domu. Marzena wspomina moment, w którym zachwyciła się miastem po raz pierwszy:

– Język niemiecki, jaki tam usłyszałam, przypominał nagrania z najlepszych płyt do podręczników, ponieważ był czysty i piękny. Jest wolny od regionalizmów, dialektów.

Walory estetyczne języka niemieckiego używanego w Dolnej Saksonii są dla nich obojga niezwykle cenne. „Celle jest regionem, w którym mówi się najładniejszym niemieckim, jaki tylko istnieje. To jest język literacki. To, co słyszymy w szkole na kasetach, to jest właśnie wymowa z tamtego regionu” – mówi z zachwytem młodzińca Grzegorz.

Oboje, myśląc o swojej pracy i powołaniu, podkreślają, że uczenie języka niemieckiego to nie tylko przekazywanie umiejętności posługiwania się nim. To także uczenie pewnego sposobu patrzenia na Europę, współodpowiedzialności za Europę. Grzegorz, spoglądając na swój album z pierwszej wymiany, bierze go do ręki i wertuje strony. Znajduje wycinek z gazety. Wywiady, których udzielałi. Zaczyna czytać słowa komentarza redaktora niemieckiej gazety z 1991 roku: „Spotkanie służy pielęgnacji europejskiej myśli, wzajemnego zrozumienia i wspierania akceptacji młodych Europejczyków”. Grzegorz dodaje potem od siebie, że właśnie takie wartości zabrał ze sobą z Celle do swojego życia zawodowego.

Fajni ludzie

Jest 2016 rok. W nowej paczce młodych eksploratorów niemieckiej kultury są między innymi Weronika, Daniel, Dawid, Damian i Szymon. Od pierwszej wymiany minęło ćwierć wieku. Jeśli chodzi o historię stosunków polsko-niemieckich, to niewiele, ale jeśli weźmie się pod uwagę historię rodzinną, to dość sporo – całe pokolenie. Pewne lęki jednak pozostały.

W szkole młodzi radzą sobie z nauką niemieckiego lepiej lub gorzej, a głównym powodem ich wyjazdu na wymianę jest pragnienie zmierzenia się z językiem i kulturą niemiecką w praktyce.

– Do wyjazdu na wymianę skłoniła mnie chęć poprawy mówienia w języku obcym. Dzięki temu mogłem porozmawiać po niemiecku z rodziną niemiecką, a czasem posiłkować się angielskim. Chciałem też poznać kulturę tak inną od naszej, często przedstawianą w jakiś mityczny sposób – wyjaśnia Daniel.

Podobnie jak dawniej, uczniowie boją się tego, czy poradzą sobie językowo. To była też największa obawa Damiana.

– Bałem się bariery językowej. Nigdy nie byłem w tym względzie wybitnym uczniem, ale mimo to potrafiłem się dogadać – mówi Damian, który dzieli się również innym źródłem swego niepokoju, dotyczącym przyjęcia i pobytu w niemieckim domu. – Miałem obawę, że trafię na niemiłą rodzinę. Mógł tylko przypuszczać, jacy będą jego gospodarze, marzyć, że okażą się sympatyczni i... być gotowym na wszystko.

Kiedy nowa paczka dojechała na miejsce, nastawał ranek. Byli bardzo zmęczeni. Wszyscy myśleli tylko o śniadaniu, tymczasem Niemcy już na nich czekali.

Weronika opisuje swoje pierwsze spotkanie z Niemcami jako zaskakujące. Stała na dworcu, kiedy nagle wielkim białym busiem przyjechał jakiś pan. Wysiadł z samochodu całkiem normalnie i spokojnym krokiem podążył w jej kierunku. Wziął jej torbę bez słowa. Ciszę złamała krótka wymiana uprzejmości:

– Guten Morgen.

– Guten Morgen.

Nie wiedziała, o co chodzi. Była w szoku. Dopiero później zobaczyła swoją Niemkę. Wstydziła się odezwać. Martwiła się, gdzie jest jej torba. Później okazało się, że pan z białego busa był tatą jej rówieśniczki – jej niemieckim tatą na najbliższy tydzień.

– Ciężko było... – mówi Weronika i robi krótką pauzę, ale zaraz dodaje: – Potem w domu przywitali mnie kolacją, później pojechaliśmy na konie i spędziliśmy cały dzień razem. Czułam się, jakbym już długo była w tej rodzinie.

O pierwszym dniu w Niemczech mówi także Szymon:

– Czekaliśmy na dworcu. Okazało się, że mamą mojego partnera jest Polka, więc szybko znaleźliśmy wspólny język. Dobrze się dogadywaliśmy. Rodzina była bardzo miła, ciepła, mieszkali razem z dziadkami. Czułem się naprawdę jak u siebie w domu. Niczego mi nie brakowało.

Również Damian przekonał się, że strach ma wielkie oczy.

– Było nas tam prawie dwudziestu i nikt nie narzekał. Wszyscy trafili na bardzo fajnych ludzi.

Moje obrazy

Wymiana dostarczyła każdemu uczestnikowi wielu wrażeń. Jedne znikają bardzo szybko, a inne pozostają na długie lata. Są to doświadczenia wywołujące przeróżne emocje i przemyślenia, które mogą przerodzić się w trwałe postawy i poglądy. Co zaskoczyło uczniów, co będą najbardziej pamiętać?

– Przyjęli mnie, jakbym była nie wiadomo jakim gościem, jakbym była nie wiadomo kim – Weronika z podziwem wspomina gościnność rodziny niemieckiej. Tak samo jak pierwszy dzień będzie pamiętać ten ostatni, gdy polscy uczniowie wyjeżdżali z Celle:

– Pamiętam te wszystkie łyzy wylane, że będziemy tęsknić.

Chłopcy natomiast najlepiej pamiętają świetną atmosferę i integrację z innymi.

– Nie było ważne, jakiej byliśmy narodowości. Znaleźliśmy się na przestrzeni człowiek-człowiek, i to mi się bardzo podobało. Obcujemy z tymi ludźmi na co dzień, możemy poznać ich nawyki, ich zwyczaje, co lubią, czego nie, i jakie jest ich myślenie – podkreśla Damian.

Zaskoczyły ich cechy charakteru Niemców, których w życiu by się po nich nie spodziewali. Mówi o tym Grzegorz:

– Z Niemcem można się bardzo dobrze pośmiać i powyglupiać, a gościnność niemiecka nie musi być inna od polskiej.

Szymonowi również zapadła w pamięci wspaniała atmosfera.

– My, grupa polska i niemiecka, tak się do siebie dopasowaliśmy, mieliśmy wspólne tematy. Rozmowa zawsze się kleiła, nieważne w jakim języku. Ale nie zapomni też o Muzeum Audi:

– Widziałem pełno pięknych aut. Mogłem do nich wsiąść, zrobić sobie zdjęcie, poczuć się w luksusowym aucie jak w swoim, poznać historię.

Dawid najmilej wspomina wspólne kręgle.

– Mogliśmy wtedy luźno pogadać. Nie tylko nasi maturzyści skonfrontowali swoje często mylne wyobrażenia ze zwykłą niemiecką rzeczywistością. My także zaskoczyliśmy naszych sąsiadów.

– Niemcy przyjeżdżający do Polski zupełnie inaczej wyobrażali sobie nasz kraj i naszą kulturę. Dla nich to jest takie „Wow! Ja sobie to zupełnie inaczej wyobrażałem”. U nich ogólnie się myśli, że w Polsce będzie jakoś inaczej, biedniej, i że niekoniecznie się tutaj odnajdą, a okazuje się, że wszyscy wokół potrafią komunikować się w języku obcym, że Warszawa i jej dynamika tak podoba się niektórym uczniom, że mówią: „Kurczę! Myślałem, że na studiach pojedę na Erasmusa do Bolonii czy do Madrytu, a chyba Warszawa nie będzie gorszym pomysłem” – o swoich obserwacjach w tym temacie mówi Grzegorz.

Warszawa pozostała też w pamięci Daniela, który najbardziej przeżył wspólną lekcję historii. Stali wtedy w ciszy na warszawskiej Starówce przy pomniku Małego Powstańca i słuchali słów pana Ernesta – opiekuna niemieckiej grupy.

– Kiedy nasi niemieccy przyjaciele przyjechali do nas i byliśmy w Warszawie, bardzo poruszyło mnie, gdy my, Niemcy i Polacy, słuchaliśmy o naszej wspólnej historii. Historii II wojny światowej. Słuchaliśmy o powstaniu warszawskim, o powstaniu w getcie – mówi w wielkim skupieniu i lekko drżącym głosem Daniel. – Byliśmy w miejscach znaczących dla tych wydarzeń i byliśmy tam razem. Po prostu. Wszyscy mówią o historii II wojny światowej, że Niemcy tacy źli, tacy niedobrzy. A kiedy byliśmy tam razem, nie czuliśmy wobec siebie żadnej winy. Po prostu tam byliśmy.

Grzegorz, który co roku uczestniczy w tej niezwyklej lekcji historii i czuje wspólne skupienie, widzi łączy młodszych i starszych, Polaków i Niemców, ma na ten temat następujące przemyślenia:

– Zobaczyłem historię z drugiej strony. Poznałem odczucia Niemców związane z wojną, przesiedleniami i bólem, który – pomimo tego, że to oni spowodowali wojnę – był taki sam jak innych ofiar. Zrozumiałem, że nastolatki, którzy byli w moim wieku, nie muszą do końca życia obarczać się odpowiedzialnością za to, co zrobili ich dziadkowie. Trzeba o tym pamiętać, rozmawiać i budować właściwy obraz przyszłości.

Naprzód!

Projekt wymiany polsko-niemieckiej w I Liceum Ogólnokształcącym w Koninie jest kontynuowany nieprzerwanie od 1991 roku, czyli od dwudziestu pięciu lat. Zmieniają się rządy, a on trwa i ma się dobrze.

– Do tej pory w wymianie wzięło udział 1600 osób z obu szkół. To bardzo pokaźna liczba i dawanie tej możliwości obu grupom młodzieży jest dobre – informuje Grzegorz, który razem z Marzeną prowadził wymianę z KAV-Gymnasium w Celle aż do roku 2004. Wtedy rozpoczęła się współpraca z drugą niemiecką szkołą – bawarską Katharinen-Gymnasium w Ingolstadt. Grzegorz – weteran pamiętający pierwsze wyjazdy do Niemiec – zabiera już kolejną grupę do Bawarii, a Marzena do Dolnej Saksonii. Wyjazdy są tygodniowe, bo z biegiem czasu tempo życia wzrastało i projekty wymiany musiały zostać dopasowane do warunków i możliwości gospodarzy. Grzegorz nie ma już tak bujnej czupryny, ale uśmiech i zapał pozostał. Dzieli je z Marzeną, i to ich łączy. Razem tworzą niezwykle skuteczny duet, a w zasadzie połowę kwartetu praktycznego nauczania języka niemieckiego, do którego należą też Lila i Tomasz. Są niczym bohaterowie kultowego serialu o przygodach załogi polskiego czołgu, ale w znacznie nowszej odsłonie. 'Toczą bój o wolność, nie strzelają z karabinów. Grzegorz niczym kierowca i mechanik „Rudego 102” Grigorij Saakaszwili prowadzi z powodzeniem tę polsko-niemiecką maszynę na azymut wyznaczony przez major Agnieszkę, dokonując koniecznych wymian w Ingolstadt. Marzena – jak sanitariuszka Marusia – opatruje okaleczenia języka i serca oraz na co dzień stosuje balsam otwartości. Ona też organizuje transport i turnusy podopiecznych w zaprzyjaźnionym Celle. Dobra i troskliwa Lila – niczym radiotelegrafistka Lidka – przekazuje wiadomości i umiejętności oraz dba o to, aby kontakt polsko-niemiecki się nie urwał. Tomek – najmłodszy z nich – jak ładowniczy czołgu Tomek Czereśniak ładuje najpiękniejsze myśli i słowa oraz trafia celnie do głów swoich wychowanków. Ten nieustrudzony kwartet wyzwała kolejne roczniki młodych Polaków i Niemców z lęków i stereotypów. Jednocześnie wprowadza je na europejską scenę porozumienia i porozumiewania się.

Grzegorz kilka dni temu wyliczył, że gdy nastąpi pięćdziesięciolecie wymiany, on sam będzie rok przed emeryturą. W przyszłość patrzy z nadzieją.

– Gdy ma się fajnego partnera po drugiej stronie, który jest zaangażowany i potrafi zaciekawić młodzież krajem za Odrą, to program z pewnością może doczekać pięćdziesięciolecia – mówi z radością w głosie.

Coś więcej

– Wymiana to nie kurs językowy, to coś więcej – podsumowuje Marzena. To spotkanie ludzi, rówieśników, których więcej łączy, niż dzieli. Wymiana pokazuje, że otwartość i chęć komunikowania przełamuje nawet braki językowe.

Wymiana niesie ze sobą wiele dobrodziejstw. Młodzi koninianie wyjeżdżają z niedużego miasta w Polsce do podobnego w Niemczech, i na odwrót. Obie grupy doznają szoku, ale pozytywnego. Ich oczy zaczynają nieco inaczej patrzeć na pewne sprawy, pozbywają się lęków i uprzedzeń: językowych, kulturowych, obyczajowych, historycznych. O pokonywaniu barier mówi Damian:

– Wymiany bardzo rozwinęły mnie językowo, zwłaszcza jeśli chodzi o mówienie. Będąc w Niemczech, przełamalem też wiele stereotypów, takich blokad psychicznych, że to jest wielki świat i że jadę za granicę. Okazuje się, że to nie jest wielka przeszkoda. Jesteśmy w Unii Europejskiej i wystarczy sam dowód osobisty, by przekroczyć granicę. A świat jest o wiele mniejszy, niż mi się wydawało, i bardziej przyjazny.

Dawid o efektach wymiany mówi wprost:

– Znika bariera językowa. Stajemy się bardziej otwarci. Młody człowiek jest odważny i chce poznać świat. Młodzi często wyjeżdżają jako zalekniieni, niepewni swojej wartości Polacy, a wracają jako odważni i otwarci na drugiego człowieka Europejczycy. Uświadamiają sobie własne kompetencje językowe, ale też kruszą mury stereotypów o podłożu historycznym.

– Wyjazdy pokazały mi, że nie warto bać się obcej kultury, często przedstawianej w jakiś niesamowicie wyolbrzymiony sposób, ponieważ to są tacy sami ludzie jak my. Mówią innym językiem i to powinno nas skłonić do tego, żebyśmy się próbowali porozumiewać.

Jeśli chodzi o przeszłość, która nas dzieli, obecnie jest to w głowach dorosłych, którzy nasiąknęli tamtą historią. My, młodzi, chyba nie postrzegamy już Niemców przez pryzmat tamtych czasów – wyjaśnia Daniel.

Poznawali siebie nawzajem. Poznawali i nierzadko doświadczali czegoś wprost odwrotnego od tego, jaki obraz drugiej strony nosili w swoich głowach. Weronika opisuje to w ten sposób:

– Z inną myślą jechałam, a z inną wracałam. W Polsce ludziom się wydaje, że Niemcy są tacy i tacy, a jest zupełnie inaczej.

Marzena o zmianach, jakie zaszły na przestrzeni lat mówi tak:
– Kiedyś, na początku, wszystko w Polsce wydawało nam się takie szare, a tam bardziej kolorowe, nasycone barwami. Teraz ten kontrast się zmniejszył i trudno wskazać, kto mówi po niemiecku, kto po polsku, ponieważ młodzież wygląda bardzo podobnie. Uczniowie słuchają podobnej muzyki, mają podobną świadomość. Oni są bardzo do siebie podobni w marzeniach, celach i stresach życiowych.

– Mało z nas miało wtedy poczucie, że jesteśmy równorzędnymi partnerami, że wychodzimy i sobie gadamy. Czuliśmy, że jesteśmy gdzie indziej wychowani, że mieliśmy inne dzieciństwo. Teraz to nie ma takiego podłoża. Młodzież stwierdza, że to, co ją teraz różni od rówieśników z zagranicy, to język ojczysty, bo już nie język obcy
– Grzegorz wyjaśnia różnice między przeszłością a teraźniejszością.

A przyszłość? Pożyjemy, zobaczymy.

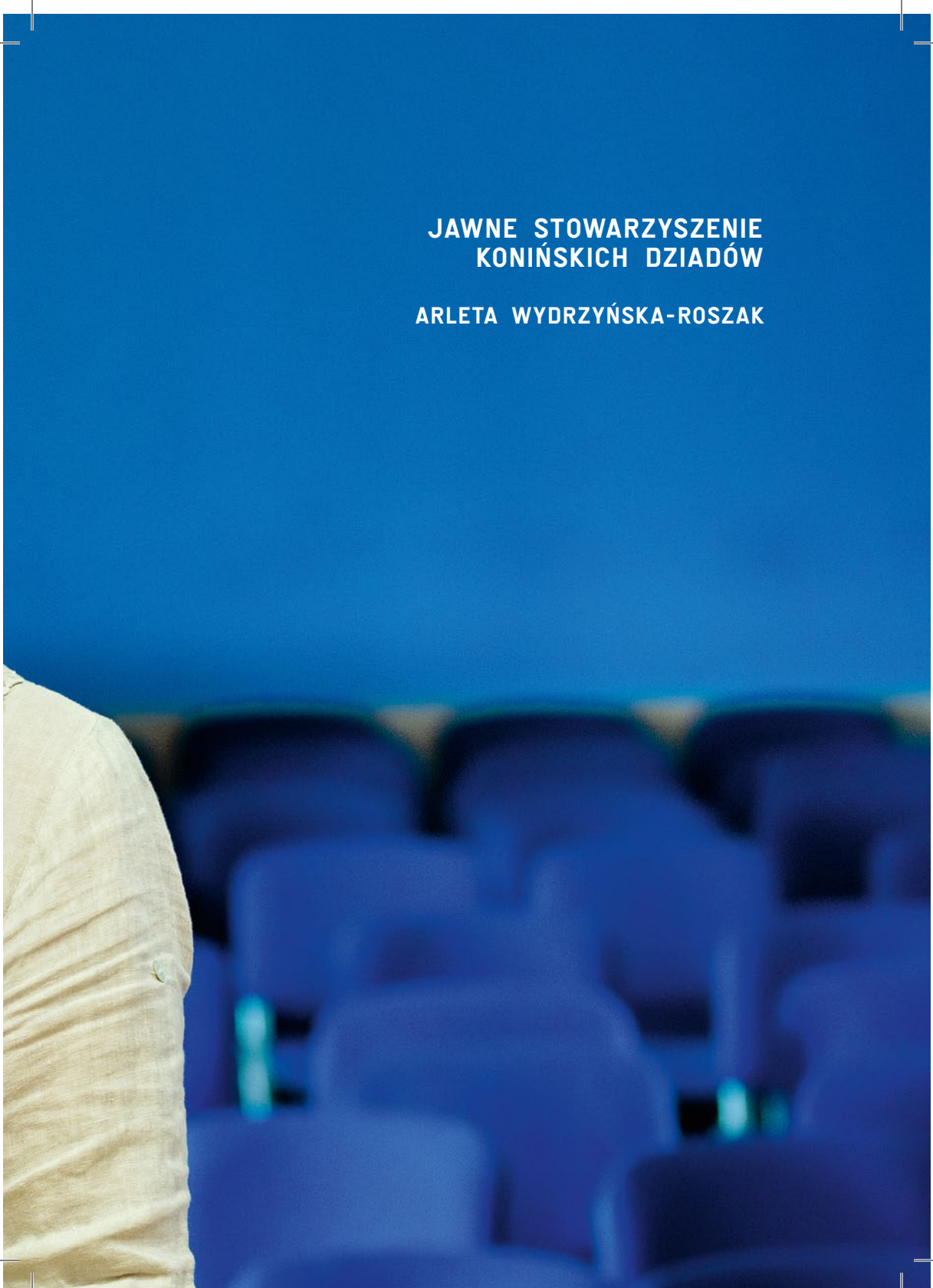
Marcin Karpiński (ur. 1978) – nauczyciel. Absolwent Akademii Wychowania Fizycznego im. Eugeniusza Piaseckiego w Poznaniu. Instruktor tańca i pływania sportowego. Pracuje w I Liceum Ogólnokształcącym im. Tadeusza Kościuszki w Koninie, gdzie oddaje się swojej pasji, czyli nauczaniu. Malarz amator, zafascynowany impresjonizmem. Lubi kolor niebieski. Pasjonat gitary klasycznej.





JAWNE STOWARZYSZENIE
KONIŃSKICH DZIADÓW

ARLETA WYDRZYŃSKA-ROSZAK





Dla Pani Hani

Sceneria jak z filmu grozy... Zachodzące słońce, niezliczona ilość płonących świeczek, stos jesiennych warzyw, a dookoła dziwne postacie, jakby nie z tego świata. Widma? Upiory? Przebierańcy? Grozę potęguje wirujące gdzieś w górze w złowieszczym kręgu ogromne stado wron. Cicho jak makiem zasiał. Hen, gdzieś za rzeką, zaszkowyczał pies. Ciarki przeszły po plecach ludzi, którzy zebrali się dookoła siedzących widmowych postaci.

Wtapiam się w ten tłum, oddycham jego ciszą i skupieniem. Widzę dzieci z pobliskiego osiedla. Widzę matki i ojców z wózkami, w których śpią słodkim snem ich nieświadome niczego maleństwa. Widzę twarze ludzi starszych, jakby zastygłe w blasku migoczących świec. Wrażenie jest dziwne. Jakby umilkło całe miasto. Jakbyśmy byli tylko my, zebrani tutaj, na tym brzegu rzeki. A przecież to bardzo późne piątkowe popołudnie, czas zaczynać świętowanie weekendu. Głośnie, pełne zabawy, śmiechu i żartu.

*Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Co to będzie, co to będzie?*

Pani Hania

Żaden z byłych uczniów-aktorów nie mówi o niej inaczej niż „pani Hania”, dopiero w sytuacjach bardzo oficjalnych pojawia się „pani profesor”.

Dzięki polonistce Hannie Nowak, która wyreżyserowała sztukę, uczniowie I Liceum Ogólnokształcącego im. Tadeusza Kościuszki w Koninie zagrają *Dziady* już po raz dwudziesty szósty. To ponad ćwierć wieku tradycji.

– *Dziady*, cz. II, to w moim odczuciu najlepszy dramat naszego wieszca – mówi Hanna Nowak, obecnie emerytowana nauczycielka I LO w Koninie, za której sprawą uczniowie przedstawiają stary, utrwalony w Mickiewiczowskim dramacie obrzęd spotkania żyjących z umarłymi. – Widowisko ma potężną, poruszającą siłę przekazu. W symboliczny sposób przekazuje ponadczasowe prawdy na temat ludzkiej egzystencji, doskonale wpisując się w klimat Święta

Zmarłych – twierdzi reżyserka. – Żyjemy teraźniejszością, ciągle w biegu. Zapominamy o najprostszych prawach, które powinny kierować naszym życiem – wzdycha po chwili.

Zapytana, dlaczego wybrała ten trudny dla współczesnej młodzieży tekst, odpowiada, że jest on po prostu mądry. Pełen dobrych wskazówek i pouczeń, które może przyjąć jako swoje każdy człowiek, a jednocześnie bliższy nam niż patetyczna część III. Ta ostatnia jest, owszem, patriotyczna, ale i pompacyjna, być może mniej zrozumiała dla współczesnego młodego czytelnika („Jako nauczycielka polonistka, śmiem twierdzić, że zupełnie wręcz niezrozumiała”). Mickiewiczowskie *Dziady* są lekturą szkolną od lat, znają je nasi dziadkowie i rodzice. Potrafią przyprawić o dreszcz niejednego ucznia, niejednemu już powinęła się na nich noga. To jedna z tych lektur, które mają zachwycać, ale... nie zachwycają („Że też Gombrowicz uparł się na Słowackiego jako przykład twórcy dzieła «niezachwycającego». To raczej *Dziady* byłyby w sam raz”). Pani Hanny bynajmniej to nie odstraszyło. Systematycznie, co rok, wraca do tego tekstu.

Miała być po prostu inna lekcja polskiego

Reżyserka zaczyna spektakl krótką historią genezy tej części dramatu. Historia ta przybiera nieoczekiwanie postać ciekawej gawędy. Sztywny i posągowy Mickiewicz staje się na chwilę bliższy – swójski. Ale czyż nie o to chodzi w nauczaniu młodzieży literatury?

To właśnie za sprawą pani Hani uczniowie przedstawiają po raz kolejny stary, utrwalony w Mickiewiczowskim tekście obrzęd spotkania żyjących z umarłymi. Wykorzystali w tym celu Nadwarciański Bulwar, tym samym go ożywiając. Kilkadziesiąt osób siedzi teraz w tajemniczej scenerii: przy świecach, przy dużym krzyżu zrobionym z gałęzi znalezionych w lesie i przy porozstawianych koszach z tym, „co Bóg dał”. A dookoła ludzie. Swoi, znajomi, rodzina, ale i zupełnie obcy. Niektórzy ze starszych mieszkańców przychodzą tu już kolejny raz. Wsłuchani w mądre nauki...

Dziady – polskie Halloween

Dziady w wykonaniu konińskich licealistów na pewno mogą konkurować z popularnym świętem Halloween. Są jego swojską

alternatywą. Nie stanowią przyczynku do zabawy, przebieieranek, ale skłaniają do refleksji i przemyśleń.

Aktorzy, ale i widzowie, są zdumieni, słysząc, że autor *Dziadów*, tworząc historię nocnego spotkania z widmami, miał dopiero około dwadzieścia sześć lat. „Skąd w tym młodym człowieku tyle mądrości?” – zadaje sobie pytanie pani Hania.

Dwudziestosześcioletek po raz dwudziesty szósty na licealnej scenie

Tegoroczne *Dziady* wystawiane są po raz dwudziesty szósty. Choć pani Hania mówi, że nie da sobie za to uciąć ręki, możliwe, iż spektakli było więcej.

– Nie mam w sobie ciągót do bycia księgowym, śmieje się. Na konińskim bulwarze zagospodarują one na pewno po raz czwarty. Inscenizacja najbardziej znanego fragmentu *Dziadów* to już tradycja w najstarszym konińskim liceum. Spektakl jest lekko zmodyfikowany. Pani Hania lubi opowiadać historię rodzenia się szkolnej wersji dramatu:

– Zaczęło się od próby uatrakcyjnienia lekcji. Tekst wydawał mi się nieco statyczny, postanowiłam go ożywić, proponując uczniom stworzenie widowiska. Po wyćwiczeniu tekstu wystawialiśmy go w sali lekcyjnej. Zadziałała magia zasłoniętych okien, płonących świec, szeptania „głucho wszędzie, cicho wszędzie...”. Zapraszaliśmy inne klasy, aby wspólnie z nimi „bawić się” w dziady. Co roku więcej młodzieży chciało wziąć udział w listopadowej „dziadowskiej” lekcji. Powstał pomysł, aby wyjść z tego typu lekcją z sali lekcyjnej do auli szkolnej i zaprezentować ją szerszej publiczności.

Kilkanaście lat temu uczniowie na prośbę polonistki dopisali rolę patrona szkoły – Tadeusza Kościuszki – i Sybiraka. Skąd ten pomysł? Ożywienie postaci patrona szkoły wydawało się pani Hani czymś ciekawym, oryginalnym, na pewno niebanalnym. A Sybirak?

Cichy szloch wśród ciszy

W szkole działa Klub Wnuka Sybiraka.

– Tym starszym ludziom należy się szacunek za to, co przeszli w swoim życiu – mówi cicho pani Hania. Duchy Patrona i Sybiraka mają więc w sztuce dopisane role, niosące określone przesłania.

Zakutana w chusty i kozuch postać Sybiraka na koniec swego wystąpienia szepcze: „O pamięć, pamięć Sybirak prosi...”. Łzy pojawiają się teraz w oczach zaproszonych dzieci dawnych sybiraków. Co roku to dla nich niezwykła chwila – chwila, która łamie głos i każe przetrzeć ukradkowym ruchem oczy.

– A wie pani co? Popłakałam się przy Sybiraku! – wyznaje mi jedna z młodzieńskich aktorek. – Tak jakoś smutno mi się zrobiło, gdy usłyszałam o tych samotnych grobach zawianych śniegiem. Ta nastolatka nagle zrozumiała, że historia zesłańców ma ludzkie oblicze, a nie jest tylko suchym przekazem z kart podręcznika. Mickiewicz chyba by się ucieszył! Wszak to takim jak oni młody Adam dedykował III część swego dramatu:

*Niech nasza dola tułacza
Zostanie w pamięci następnych pokoleń [...]
O pamięć, o pamięć Sybirak prosi...*

Ostatni fragment, dopisany przez samą Hannę Nowak, niesie swoiste *katharsis* dla widzów. O dziwo – i tych starszych, i tych nastoletnich!

Po co dziś przyszlście?

– Gdy spotykam się z uczniami po wielu latach, to nie pamiętają wycieczek szkolnych, pamiętają *Dziady*. Nie spodziewałam się, że ta tradycja przetrwa do dziś – wyznaje reżyserka.

Przetrwała. Co roku na widowisko wystawiane na Bulwarach Nadwarciańskich przychodzą dawni odtwórcy ról Guślarza, Zosi, Złego Pana, Sowy czy Kruka. Wśród widzów dostrzegam znajome twarze. Tak. To absolwenci. Co ich przywiodło na Bulwary w to chłodne późne listopadowe popołudnie? W piątek rozpoczynający weekend?

Powspominajmy. LUBIĘ TO!

Postanowiłam popytać ludzi, co stanowi o fenomenie tego szkolnego spektaklu. Absolwenci, jak zwykle aktywni, ciągle się ze sobą, mimo upływu lat, kontaktujący, zareagowali na mój apel natychmiast! Facebook przez kilka dni pracował na pełnych obrotach,

chwilami rozgrzewając się do czerwoności. Wywołanie tematu wyraźnie sprawiło im radość. Pojawiła się okazja do wspomnień. I to różnorodnych...

„Co pamiętacie ze swego udziału w widowisku?

Czy warto było uczyć się ról, pracować godzinami nad scenografią?

Czy Mickiewicz (szkolna lektura) «tak podany» ma sens?»

Reakcja była natychmiastowa i przerosła moje oczekiwania: 19 kliknięć w jedną z ikonek – Lubię to!, Super, Ha ha lub Wrr – 1 udostępnienie, 11 komentarzy.

Czyhanie na ogień

Damian Kruczkowski: „zapada w pamięć... magia auli (jeszcze w starej szacie, długo przed remontem), liście na parkiecie, dynie... wyjazd ze spektaklem do Krzymowa... tylko rola niewdzięczna, bo pana-zdziercy-krwiopijcy :)”.

Damian Kruczkowski: „PS jeszcze jedna rzecz... «stara» aula i fakt, że można było zupełnie bezkarnie za absolutnym przyzwoleniem i z przyklaskiem nauczycieli «napierdzielić» tonę liści na ten drewniany parkiet i podpalić «żywe» świece niemal bezpośrednio na tym parkiecie, wśród tych liści... no i ten gorąc od świec, i ten zapach liści... ktoś wie, jak pachnie topola i zwiędłe liście topoli? Mhm... zapach świec i pożółkłych liści topoli, i wilgotnego drewna, to dla mnie już na zawsze zapach auli w czasie spektaklu... :)”.

Arleta Wydrzyńska-Roszak: „:) szczerze! ale mnie *Dziady* też właśnie kojarzą się z tym specyficznym zapachem! Ale i ze strachem... że te liście zaraz zajmą się żywym ogniem (teraz mogę się przyznać!), jednak tyle spektakli i.... nic, nigdy NIC :D”.

Damian Kruczkowski: „to mamy trochę inaczej, zapach ten sam, ale... oczekiwania zupełnie inne... myślę, że... nie tylko ja chciałem, aby właśnie chociaż troszkę się te liście zajęły... tak troszeczkę... to takie oczekiwanie z serii tych: niech się w końcu Gargamelowi uda zjeść chociaż jednego smerfa :P”.

Zosia, co to serca do mężczyzn nie miała

Aleksander Szymański: „Choć czas, kiedy wcieliłem się w rolę ducha Tadeusza Kościuszki w spektaklu jest już dla mnie odległy, dzień tego wydarzenia pamiętam bardzo dobrze. Stres towarzyszący mi na kilka dni przed przedstawieniem, napięta atmosfera grupy moich koleżanek i kolegów, oczekiwanie na coś niezwykłego... Do dziś pamiętam dość śmieszną sytuację, kiedy chcąc wejść po schodach w za dużych butach, które były częścią kostiumu, wywróciłem się i upadłem pod nogi pięknej koleżanki. Nawiasem mówiąc, grała rolę Zosi, która pogardzała miłością, żyła marzeniami i nie dbała o realny świat (Idealnie nadawała się do tej roli, także wiedziałem, że skończy się tylko na bólu kolana, a nie na pozalekcyjnym spotkaniu)”.

Piszcie, piszcie!

Arleta Wydrzyńska-Roszak: „Zachęcam do refleksji i wspomnień (dobrych, złych, byle «prawdziwych») <3”.

Damian Kruczkowski: „No ba! Integracja klasy... Wspaniałe było to, że zaangażowani byli wszyscy. Wiadomo, że role były mniej lub bardziej wymagające, ale wszystkie bez wyjątku są pracowite i niezmiernie ważne... Nikt nie czuł się pominięty, nikt nie czuł się gorzej...”.

Marika Kachelska: „Co do tego, że «nikt nie czuł się pominięty» – chyba w tym tkwi siła naszych *Dziadów*. Nie ma osoby, która nic nie robi. Każdy się angażuje, jeśli nie w dużą rolę, to w «robień tła», które w tym przypadku jest niesamowicie ważne, bo ma wpływ na odbiór...”.

Arleta Wydrzyńska-Roszak: „Zachęcajcie wszystkie Zosie, Józiów, Guślarzy i innych do wspominek!”.

Mał Bro – Małgorzata Broniszewska: „Damian Kruczkowski w swej roli zagłodził mnie za życia, ale dzięki niemu po śmierci stałam się dorodną sową, puchaczem lub krukiem ;). Do szkoły

w Krzymowie pojechaliśmy na zaproszenie Pani Dyrektor, a prywatnie mamy Andrzeja Wyrwińskiego. Role były świetne. Role były świetnie obstawione, na przykład Józia w marynarskim ubranku zagrał wysoki na 1,90 metra Artur Serafin ;). A my mamy dziś więcej lat od Marzenki, kiedy się nami opiekowała i kiedy zmarła (tragicznie zmarła wychowawczyni klasy). Tyle lat... My się starzejemy, a ona ciągle pozostanie dziewczyną w niebieskich rajstopach”.

Hanna Nowak: „Małgosiu, pięknie to ujęłaś. Marzenka pozostanie na zawsze młoda”.

Agata Szada-Borzyszkowska: „Pamiętam, że Marzenka zadzwoniła po spektaklu do każdego z naszych rodziców z podziękowaniami :). Swoją drogą, to naprawdę niebywałe, że konińskie *Dziady* trwają nieprzerwanie już od tylu lat! Świetna sprawa, pani Hanno Nowak!”.

Iza Wilczewska: „Bardzo dobrze pamiętam *Dziady*, tylko jakoś najmniej swoją kwestię... Atmosfera luzu, dobrej zabawy, ale też pozytywnej spinki. Dziękuję pani Hani Nowak za świecką tradycję trwającą przez tyle lat. Może my wracamy jak te wszystkie upiory na wspominki pod wodzą Rafała – Guślarza. A nasza Marza... «Niechaj podbiegną młodzieńce, / Niech mnie pochwycą za ręce, / Niechaj przyciągną do ziemi, / Niech poigram...»”.

Martyna Mi: „No właśnie, moje wspomnienie z *Dziadami* też jest związane z panią Marzenką... Pokłóciliśmy się po pierwszym spektaklu z kolegą Janiakiem na schodach i akurat szła korytarzem pani Marzena. Nie wiem do końca nawet, o co poszło, ale jak myślę o *Dziadach*, to mam ten obrazek przed oczami...”.

Piotr Czerwiński-Mazur: „To był chyba 1986 rok? Pamiętam liście jesienne rozsypane po auli, jaskrawy makijaż na twarzy, emocje sceniczne i... panią Hanię jako naszego reżysera... To były czasy teatrów amatorskich (w tym i naszej klasy, choć biologiczno-chemicznej), gdzie królowały improwizacje...”.

Hanna Nowak: „Dziękuję, Panie Piotrze, za miłe słowa”.

Marika Kachelska: „Dziady jako zwyczaj miały zbierać wszystkich żywych razem, by wspólnie przeżywali jedną z nocy, w której czasie można spotkać zmarłych – i to zostało świetnie oddane. Choćby sam fakt, że przedstawienie nie dzieje się na scenie, ale widownia jest ustawiona inaczej, tak by być częścią spektaklu. To daje moc”.

Hanna Nowak: „Iza, dziękuję Wam, Kochani, że chcieliście współtworzyć tę tradycję...”.

Pisali i pisali. Przestać nie mogli...

Paulina Pachulska: „Moje *Dziady* graliśmy chyba w 1995 roku, w auli szkoły. Najpierw była wyprawa do parku po liście, po południu spektakl dla zaproszonych gości, rodziców. Grałam Upiora (pobielona twarz z poczerniałymi oczodołami i siną szminką, długi skórzany płaszcz taty). To było wspaniałe przeżycie! Ten klimat, świece, ciarki! Piękne wspomnienia – DZIĘKUJĘ!”.

Szymon Wójciński: „Wydaje mi się, że zdjęcia mi się gdzieś zachowały ;)”.

Paweł Kaczorowski: „Dawaj te zdjęcia ;)”.

Małgorzata Krawczyńska: „A ja występowałam w roli Rózi. Miałam przesympatycznego brata Józia, w którego rolę wcielił się Mateusz Kowalski. Ale najwspanialsze było to, że po kilku latach mogłam raz jeszcze wystąpić w tej roli w ubiegłym roku. Trzymam kciuki za powodzenie tegorocznego przedstawienia”.

Cdn.

Hanna Nowak: „Dziękuję i pozdrawiam w imieniu Jawnego Stowarzyszenia Dziadów Konińskich”.

Od przyszłego roku ktoś inny przejmie opiekę nad *Dziadami*. Pani Hania chce odpocząć. Mówi, że wystarczająco długo „dziadowała”, że czas oddać spektakl w inne ręce. I... że wcale się nie martwi, że tradycja listopadowego „dziadowania” w szkole i na konińskich Bulwarach zaginie. Mogę to potwierdzić: na pewno nie zaginie, ba!, przybierze inny nieco kształt, zmieniający oblicze dramatu. I to co roku. Postarają się o to dawni aktorzy pracujący nad pewnymi, nazwijmy to, „innowacjami”. A ja będę miała o czym pisać w 2017 roku.

Arleta Wydrzyńska-Roszak (ur. 1966 w Koninie) – absolwentka Wydziału Filologii Polskiej i Klasycznej UAM, gender studies UAM, studiów podyplomowych z zakresu teatru, dramatu, filmu XX wieku na UMK. Nauczycielka języka polskiego z dwudziestopięcioletnim doświadczeniem, egzaminator egzaminu maturalnego. Interesuje się literaturą współczesną (uwielbia twórczość Margaret Atwood), filmem (ale nie lubi fantastyki), hoduje z upodobaniem własne warzywa i kocha swoje dwa koty. Lubi słuchać opowieści ciekawych ludzi.





PIERWSZY KROK
W CHMURACH

MARIA SOBCZAK



Recepta (operacja obłok)

Po jednym z koncertów na żywo, które odbywały się w każdy wakacyjny piątkowy wieczór, ulice opustoszały. Nie zauważyli zachodzącego słońca i nadchodzącej nocy. Było jednak dość gwieździszcze, a w powietrzu czuło się morski zapach. Trochę się ochłodziło. Wszyscy czworo chcieli zdążyć na ostatni autobus. Szli uliczką od strony Kanału w kierunku przystanku, gdy usłyszeli wrzaski.

„Mewy?” – pomyśleli jednocześnie, choć wcześniej nie było słychać tych ptaków na nabrzeżu, mimo że ponoć tu królują. Są tacy, którzy twierdzą, że wielkością dorównują naszym indykom. Ale to raczej nie były one.

W świetle latarni zobaczyli krzyczącą do telefonu młodą rudą kobietę. U jej stóp leżała druga dziewczyna z pięknymi blond włosami. Z daleka można było przypuszczać, że to atak padaczki. Wyglądała nieciekawie, miała drgawki, oczy szeroko otwarte, a z ust leciała jej cienka strużka śliny. Olga pomyślała, że trzeba natychmiast przerwać te bezsensowne krzyki, tym bardziej że dziewczyna wrzeszczała po niemiecku.

„Odlóż telefon. Wszystko, co się tu stało, trzeba rozwiązywać tutaj, na miejscu” – powtórzyła w myślach zapamiętane słowa instrukcji. Trochę po angielsku, trochę po niemiecku, ale stanowczo nakazała dziewczynie zakończyć rozmowę, tłumacząc też, że wołanie po niemiecku, a tym bardziej telefonowanie do osoby w Niemczech, nic nie da.

– Trzeba wezwać pogotowie – mówiła dalej spokojnie.

Ruda dziewczyna po chwili posłusznie zakończyła rozmowę i oddała Oldze telefon. Na migi wskazała na Blondi, że to po alkoholu.

– Ile wypila?

– Kieliszek, może dwa – wymieniły informacje po angielsku.

Nic tu nie pasowało. W końcu Ruda przyznała, że Blondi coś zażyła. Sama nie wiedziała co, zwiniętą w trąbkę dłońią z wystającym kciukiem i małym palcem pokazała, że prawdopodobnie trawkę.

Olga przytomnie wykręciła numer pomocy i zaczęła tłumaczyć po angielsku, o co chodzi. Wezwanie karetki okazało się jednak nie takie proste. Kobieta z drugiej strony słuchawki w pierwszej chwili chyba nie uwierzyła. Polka wzywająca w Anglii pogotowie dla Niemki? Bardzo niejasne okoliczności.

Ruda nadal panikowała. Dziewczyna była tak zestresowana, że nie potrafiła przeliterować nazwiska koleżanki. Blondi zaś straciła przytomność i wyglądała, jakby miała zaraz umrzeć. Olga pomyślała, że nieważne jak, ale pogotowie trzeba zmusić do przyjazdu.

„Dziewczyna zaraz zejdzie” – pomyślała. U leżącej ofiary zamiast strużki śliny pojawiła się lekka piana. Pogotowie nie przyjeżdżało.

– Dzwonimy jeszcze raz!

Kobieta tym razem bez oporu przyjęła zgłoszenie. Olga nie wiedziała jednak, czy wysłano karetkę, bo minęło kolejne 15 minut, a pogotowia jeszcze nie było. Dopiero teraz zauważyła, że wokół nich zebrała się mała grupka gapiów. Podjęła jeszcze jedną próbę. Wyłowiła z kręgu młodego mężczyznę ubranego w dres i poprosiła, by to on jeszcze raz zadzwonił po pomoc.

Karetką przyjechała po 45 minutach od ostatniego wezwania. W tym czasie chłopcy położyli kurtki pod głowę Blondi, a dziewczyny ułożyły ją w bezpiecznej pozycji. Otarły jej twarz chusteczką, usta zwilżyły wodą mineralną. Cały czas kontrolowały, czy oddycha, i rozmawiały z Rudą, podtrzymując ją na duchu. Ale ta była już tak spanikowana, że prawie przestała komunikować się po angielsku.

Z ulgą zaakceptowali werdykt pielęgniarki z ambulansu:

– Zabieramy dziewczuchę.

Po odjeździe karetki poczuli zadowolenie. Instrukcje się przydały. Pierwszy raz w takich okolicznościach. Ale regulamin został złamany – nie zameldowali się w miejscu pobytu o godzinie 22:00. I trzeba będzie dojść tam pieszo. Siedem kilometrów.

Dwa tygodnie wcześniej, czyli sztuka latania

2:00 w nocy, wszyscy stawili się punktualnie. Na zbiórce zameldowała się cała szesnastka. Większość zrekrutowanych pochodzi z okolic Konina, tylko nieliczni z miasta. Każdy przybył z rodziną, mimo że nie lecą do Afganistanu. Taki był jednak nakaz.

Niebo było ciemne od chmur. Sierpniowa noc 2016 roku nie powinna być tak gorąca. Zgodnie z prognozami nie padało. Osiemnaście stopni nocą pozwoliło na założenie tylko cienkiej bluzki. Cały plan poszedł w łeb! Najcięższe buty miały być na nogach. Kurtka i bluza na sobie. A tu gorąco. Trzeba było wziąć napoje do samolotu, chociaż to zabronione. Stres się potęgował. Olga pomyślała o tym,

jak planowała złamać sobie rękę, by nie ponieść konsekwencji wycofania się z projektu. Co za głupota! Przecież babcia pojechała do Lichenia z pielgrzymką w jej intencji. Samolot z pewnością nie spadnie.

– Za 5 minut odprawa grupy – wydobył się głos z pojazdu.

Kierowca niecierpliwie spoglądał na zegarek. Słyszała, jak mówi do koordynatorki:

– Jeśli mamy zdążyć, to powinniśmy już ruszać.

Gwiazd nie było już prawie wcale widać i noc wydawała się coraz mroczniejsza. Nagle zaczął wyc alarm. Cisza, której wszyscy potrzebowali o tej porze, została zakłócona. Zbiórka pod basenem Rondo – czy to dobry pomysł? Żadnych ludzi, żadnych świadków. Dźwięk alarmu pewnie przyciągnie policję. Chociaż pojazd jest już sprawdzony. Może kierowca nie ma dokumentów? Podobno raz już się tak zdarzyło. Przy ostatniej wyprawie. Nie ma jeszcze Matki ani Ojca. Spojrzała na Natalię, która tego dnia była wyjątkowo zmęczona, ale to z pewnością dlatego, że do 20:00 stała na stanowisku.

Koordynatorka zarządziła odliczanie obecnych. Jeszcze raz przedstawiła przydatne informacje i przeszła do podsumowania zbiórki.

– Opuszczenie kraju zaplanowano na 6:40. Należy zachować szczególną ostrożność, pilnować grupy, przepisów, dokumentów. Słuchać poleceń, trzymać się z daleka od zagrożeń, przestrzegać regulaminu. Zachowywać ostrożność w sytuacjach kryzysowych. W razie wystąpienia takowych – obowiązkowo współpracować z Matką i Ojcem. Nikt nie może się zgubić, nie wolno oddalać się od grupy. Macie mieć oczy i uszy szeroko otwarte.

Zaleciła sprawdzenie sprzętu, akcesoriów, odzieży, dokumentów, prowiantu. Przypomniała, że każdy podjął się misji dobrowolnie, ale musi współdziałać z grupą i być odpowiedzialnym nie tylko za siebie, ale – solidarnie – za innych.

– Obowiązuje was partnerstwo. Wszyscy wiemy, po co tam jedziemy. Zobowiązaliście się przestrzegać regulaminu i zasad, teraz nie możecie już odstąpić od zobowiązań. Jesteście dobrze przygotowani. Będziecie reprezentować swoją rodzinę, jednostkę i kraj. Nie zawiedźcie nas. Trzymam kciuki. Będę z wami w kontakcie. Powodzenia. Do zobaczenia.

W tym momencie pojawili się ostatni oczekiwani pasażerowie. Pojazd ruszył w kierunku autostrady A2 i dalej prosto na lotnisko Ławica.

„Grupa niemiecka ma jeszcze trochę czasu. Mogą spokojnie pospać do 6:00” – pomyślała.

Potem szykować muszą się ci, którzy mają najdalej do miejsca zbiórki. Grupa niemiecka spotyka się w centrum miasta pod Wieżą Ciśnień, przy dworcu PKP. Ponieważ jest mniejsza, jedzie tylko z Matką. No i nie leci samolotem.

Matka zastępcza i Ojciec zastępczy

– Matka i Ojciec zastępczy – tak roboczo nazwaliśmy opiekunki wyjeżdżające z młodzieżą na praktyki zagraniczne – opowiada koordynatorka wyjazdu. – One są i muszą być jak mama i tata. Na cztery tygodnie zostawiają swoją rodzinę, by na najwyższych obrotach przez 24 godziny na dobę być dostępne dla zastępczych dzieci. Dostępne przez telefon i na FB, dostępne na wycieczkach, spotkaniach integracyjnych, spotkaniach z grupami obcokrajowców, zajęciach czy w czasie podróży tam i z powrotem. Muszą też być nauczycielami wspierającymi, oceniającymi, doradcami zawodowymi, kierownikami i szefami w jednym. Są sprawozdawcami, współpracują z instytucjami oraz pracodawcami przyjmującymi nasze dzieci na praktyki zawodowe.

Trochę inaczej wygląda praca opiekunów, którzy jadą z młodzieżą do Wielkiej Brytanii, a trochę inaczej tych, którzy wybierają się do Niemiec. W Wielkiej Brytanii młodzież i opiekunowie mieszkają i żywią się u rodzin (w grupach po dwie-trzy osoby). W Niemczech młodzież mieszka w ośrodku, w którym jednocześnie może przebywać 300 obcokrajowców. Matki pełnią różne funkcje: są pogotowiem lingwistycznym, mentorkami i rodzicami zastępczymi. Na wyjeździe zdarzają się takie historie jak w rodzinie – kogoś trzeba dowieźć do lekarza, dostarczyć do dentysty czy komuś pomóc w poszukiwaniu zagubionego bagażu. Czasami trzeba wysłuchać żalów, pogodzić koleżanki czy interweniować w przypadku pojawiających się kryzysów.

– Jestem wdzięczna panu Zuckerbergowi za Facebooka – śmieje się koordynatorka. – Dzięki niemu rodzice, rodziny, przyjaciele

są informowani na bieżąco, co dzieje się u dzieci na praktykach. A dzieci to, pół na pół, pełnoletni i niepełnoletni uczniowie konińskiej szkoły ponadgimnazjalnej.

– Matki zastępcze projektują weekendowy kierunek zwiedzania, dopytują swoich „hostów”, gdzie warto pojechać, by było tanio, i by dało się coś zwiedzić w jeden dzień, nawet mimo kapryśnej brytyjskiej pogody. W Niemczech pogoda jest bardziej przewidywalna, można wcześniej coś zaplanować. Chociaż w tym roku grupa niemiecka zwiedzała w potwornym upale, co nie do końca było w planach. Konferencje online z Matkami zastępczymi w trakcie wyjazdu odbywam co wieczór. Zwykle po konferencji odbieram jeszcze materiał zdjęciowy, filmowy lub tekstowy z pobytu. Czasami sama coś napiszę. Umieszczam to potem w sieci.

– Na spotkaniach przedwyjazdowych – opowiada Matka zastępcza nr 1 – opiekun zwykle mówi: „Ja będę jak wasza matka zastępcza. Zwracajcie się do mnie z wszelkimi sprawami – sercowymi, zawodowymi, zdrowotnymi. Macie rozterki – jesteśmy dla was”. Natomiast ja mówię: „Ja będę jak wasz ojciec – wymagający, sprawdzający, akceptujący wszelkie pomysły. Jesteśmy jak wasi rodzice. O wszystkich problemach, zdarzeniach musimy wiedzieć, najlepiej jako pierwsi”.

Po całym dniu pracy czy wypoczynku dzieciaki wracają same do swoich zastępczych domów. Wtedy Matka bierze telefon i obdzwaniania wszystkie szesnaścioro dzieci po kolei. Po kilku dniach zna rytuały każdego z nich. Damian odpowiada, że właśnie się uczy. Przerabia słówka z angielskiego i testy. Ma plan nauki na całe cztery tygodnie. Wcześniej jednak odrobił trening, czyli biegał. Olga z Natalią w towarzystwie Patryka i Dawida z pewnością poznają nowe miejsca w mieście. Ola z Klaudią poszły jak zwykle na zakupy i omawiają swoje zdobycze. Młodsze dzieciaki konferują na Facebooku z rodzicami, a może z przyjaciółmi. Taką rundkę telefoniczną Matka zastępcza wykonuje każdego dnia przez cztery tygodnie – szesnaście telefonów co wieczór.

W tym czasie zastępczy Ojciec zdaje relacje szkolnemu koordynatorowi, czyli uruchamia Skype’a i relacjonuje przez szkolną godzinę dzień praktyk. Jest tego sporo. Sprawy i problemy omawia się i rozwiązuje na bieżąco – jak w rodzinie. Kto ma kryzys, kto w kim

się zakochał, kto z kim nie rozmawia od wczoraj, kto się z kim lepiej dogaduje czy kto dziś został pochwalony na praktyce. To ostatnie zdarza się codziennie.

Opiekunowie działają natychmiast. Kiedy Anka po pierwszym dniu pobytu w Wielkiej Brytanii napisała na swoim profilu facebookowym do koleżanek w Polsce: „Chyba wracam, nic nie rozumiem po angielsku. Jutro nie idę na praktykę. Nie dam rady”, wiadomość o kryzysie natychmiast dotarła do Matki zastępczej. Całe szczęście, że Anka mieszkała z pełną życia Natalią, która wyciągnęła ją rano do pracy. Traf chciał, że przez przypadek koordynatorka dowiedziała się o kryzysie już następnego dnia. Nie z Facebooka i nie od Anki. Po prostu spotkała na szkolnym korytarzu koleżanki z klasy Anki. Pomoc przyszła w porę. Po kilku dniach Anka była najaktywniejszym uczestnikiem wyjazdu. Sama inicjowała popołudniowe spotkania.

– Życie grupy zależy od temperamentu – opowiada Matka zastępcza nr 2. – W projekcie brały udział osoby z różnych środowisk, z różnych oddziałów klasowych, a nawet z różnych typów szkół czy różnych zawodów, z niejednakowym poziomem opanowania języka obcego. Różnaita była też ich dojrzałość przed wyjazdem. Na miejscu w Wielkiej Brytanii czy w Niemczech traktowano je jak osoby dorosłe i odpowiedzialne. Chłopcy uczący się logistyki czy geodeci, mimo młodego wieku, dostali sprzęt znacznej wartości i po krótkim instruktażu musieli go obsługiwać. Niektórzy przetestowali na sobie różnicę pomiędzy praktykami zagranicznymi a odbywającymi się w Polsce. Tam dostawali odpowiedzialne zadania. Najlepszym przykładem jest Andżelika z klasy „kucharskiej”, która już po kilku dniach była traktowana jak każdy inny pracownik. W Polsce obserwujemy niekiedy brak zaufania do umiejętności uczniów. Rzadziej powierza im się poważne obowiązki. Uczniowie również to spostrzegli. Mimo niedostatecznej biegłości językowej uczniów, pracodawcy zagraniczni byli tak zachwyceni, że Matki zastępcze nasłuchiwały się wielu pochwał w rodzaju: „pani mi przywiezie więcej takich uczniów!”.

Uczniowie czuli się wtedy docenieni. Niektórzy szczególnie zażyli w pracy. Dawid i Natalia wprowadzili swoją potrawę do

menu i pokazali, jak można robić pewne rzeczy w kuchni. Faworki Natalii okazały się hitem.

Oczywiście uczniowie dostrzegali różnice kulturowe. Najwięcej nietypowych sytuacji wywoływał ruch lewostronny. Standardowo każdemu zdarzyło się pojechać w zupełnie innym kierunku. Natalia jednak przebiła wszystkich – pierwszego poranka zadzwoniła do Matek zastępczych, że się zgubiła.

Nie umiała powiedzieć, gdzie jest, w jaki autobus wcześniej wsiadła. Nie miała ze sobą żadnego długopisu, żadnego adresu. Nie wiedziała, co robić. Na pytanie, na jakiej znajduje się ulicy, odpowiedziała „nie wiem”. Na pytanie, co widzi – „nic nie widzę”. Sprobowanie Natalii na praktykę trwało dwie godziny. Trzeba jednak przyznać, że przez następne dni Natalia nigdy nie spóźniła się do pracy i z topografią miasta była najlepsza. Uczniowie szybko przyzwyczaili się do machania na autobus czy cierpliwego czekania w kolejce na przystanku.

– Wiemy, że kryzysy pojawiają się po około dwóch tygodniach i wtedy trzeba działać, motywować i wspierać. W rezultacie naszych działań praktyki, popołudniowe spotkania i weekendowe wyjazdy, a przede wszystkim atmosfera powodują, że nikt nie chce wracać do domu. Taki wyjazd to dla uczniów fajna przygoda i fajny czas, w którym dużo się dzieje. Każdy z nich przeżył na wyjeździe coś pierwszy raz. Dominik pierwszy raz jechał pociągiem, Damian pierwszy raz zobaczył morze. Małgosia, Kamila, Adam pierwszy raz byli na zorganizowanym wyjeździe. Większość pierwszy raz leciała samolotem i była za granicą. Umiejętności techniczne i gastronomiczne grupy zostały wykorzystane przy organizacji osiemnastych urodzin Julity. Ekipa wyjazdowa urządziła prawdziwą osiemnastkę. Dziewczyny kupiły pamiątkową koszulkę. Chłopcy zapewnili grilla, a Matki zastępcze, ku zdziwieniu swojej gospodyni, upiekły prawdziwy tort, na którym znalazło się osiemnaście świeczek. Przydały się umiejętności zawodowe chłopaków z logistyki, którzy dostarczyli ciasto na miejsce zbiórki koło latarni morskiej. Tak właśnie Julita obchodziła w Plymouth swoje pierwsze, jak powiedziała, najlepsze osiemnaste urodziny.

Kłopoty z językiem? Oczywiście, czasami były. Zdarzały się też ciekawe przypadki. Patryk trafił na rodzinę pochodzenia

węgierskiego. Jak twierdzi, słówka węgierskie były bonusem pobytu w Plymouth.

– Wszyscy stali się odważniejsi – relacjonuje Matka zastępcza nr 2 – szczególnie jeśli chodzi o mówienie w języku obcym. Przed wyjazdem musieli przekalkulować, czy powiedzą coś poprawnie, a teraz są śmiali i po prostu starają się mówić, nieważne – dobrze czy źle.

Zaskoczył ich wysoki poziom kultury. Wszyscy, których spotykali w pracy czy na ulicy, byli uprzejmi, życzliwi i otwarci. Większość uczniów zdumiało to, jak serio się ich traktuje.

Zaskoczeniem było dla nich również to, że tak poważnie traktowano dyscyplinę. Wymagano punktualności. Konrad pierwszego dnia spóźnił się do pracy trzy minuty. Był zszokowany tym, że pracodawca natychmiast chciał go zwolnić. Punktualności, obowiązkowości wymagano przede wszystkim.

Na wyjeździe jednak błyskawicznie podporządkowali się obowiązującym regułom. Nie narzekali na godziny pracy, które były różne. Daria musiała stawiać się w firmie o 7:00, co oznaczało, że wstawała około 5:00. Nie było z tym problemu. Nie mogła się spóźnić, ponieważ jej grupa z rana zwykle wyjeżdżała w teren na pomiary geodezyjne. Izabela oraz Arek pracowali od 7:00 do 12:00 z przerwą południową, potem do wieczora. Razem osiem godzin. To też było wyzwanie.

Praktykanci szybko dostroili się do rygorów mieszkania w ośrodku. Wieczorem, o wyznaczonej godzinie, mieli obowiązek znaleźć się w pokojach. W czasie ciszy nocnej nie wolno było hałasować ani nawet brać prysznica. Za nieprzestrzeganie ciszy nocnej groziła kara w wysokości 100 euro. W pokojach młodzieży zainstalowane były czujniki dymu, przez co bezwzględnie nie wolno było używać ognia, a to z kolei wywoływało traumę u palaczy. Przypadkowe uruchomienie alarmu mogło kosztować do 5000 euro – to koszt przyjazdu staży pożarnej. Do pokoju śniadaniowego młodzieży mogli wejść tylko pod opieką opiekuna.

Najbardziej jednak młodzież była zdziwiona obowiązującą bezwzględną segregacją śmieci oraz karami finansowymi za nieprzestrzeganie zasad kulturalnego bycia, na przykład kara za plucie

w miejscu publicznym wynosiła pięć euro, a za wyrzucenie gumy w miejscu publicznym – dziesięć euro. Pewnym novum było noszenie opasek na rękach. Zielone były dla tych, którym wolno było spożywać alkohol. Mogli oni, oczywiście w ograniczonych ilościach, kupować piwo i papierosy w klubie na terenie ośrodka. – Jednak nasi mieli czerwone opaski – całkowity zakaz kupna oraz spożywania alkoholu i palenia papierosów. Oczywiście prosili o zamianę na opaski zielone, jednak nie chcieliśmy się na to zgodzić.

Przygody, sytuacje kryzysowe? Nie było, chociaż w pokoju chłopców pojawiły się osy, atakujące w liczbie kilkudziesięciu jednocześnie. Skończyło się na tym, że mimo walki wręcz, czyli wieczornego polowania na te złośliwe owady, trzeba było zmienić pokój.

– Młodzież mogła spędzać ze sobą wolne popołudnia i wieczory. Miejsce spotkań zależało od pogody. Moja grupa bardzo szybko zintegrowała się z grupami Bułgarów, Chorwatów i Portugalczyków. Czasami jechali do Lipska na zakupy lub po prostu pozwiedzać. Mieli już swoje ulubione bary w Lipsku, gdzie byli rozpoznawani i mile witani. Radzili sobie bardzo dobrze, poruszali się w grupie, by wspierać się językowo. W markecie w Lipsku grupa kupiła gry planszowe w języku niemieckim. Grali w piłkę siatkową, bilard, tenisa stołowego, w FIFA – zawsze międzynarodowo. Na tańcach również nie było barier językowych. Jak tylko mieli ochotę, wspólnie z Matką zastępczą biegali po okolicy. Żałowali tylko, że nie mają ze sobą rowerów.

Obsługa ośrodka nie wykazywała zniecierpliwienia wobec grup niemówiących biegle po niemiecku, tym bardziej że Portugalczycy w większości porozumiewali się tylko po angielsku. Przed wyjazdem trochę się baliśmy, w końcu jechaliśmy do Niemiec cztery tygodnie po zamachu w Monachium. Ale nie było żadnej nagonki. To, że jesteśmy z Polski, nie miało znaczenia. W kolejce podmiejskiej do Lipska, w drodze do pracy czy na wycieczkę, można było zaobserwować ludzi różnej narodowości rozmawiających po niemiecku, turecku, arabsku, polsku, rumuńsku. Każdy w pociągu mówił po swojemu. Ludzie byli do tego przyzwyczajeni i na nikim nie robiło to wrażenia.

Poznajmy się

Nóż w rybie, czyli The Dome to nie dom

– To, co wywarło na mnie największe wrażenie – opowiada Mateusz – to życzliwość Anglików. Byliśmy w Wielkiej Brytanii właśnie w czasie podejmowania decyzji w sprawie Brexitu. Także wtedy miał miejsce atak na polską rodzinę mieszkającą w Plymouth. Niczego podobnego nie doświadczyliśmy. Nie odczuliśmy żadnej wrogości. Tuż po ogłoszeniu wyników referendum w sprawie Brexitu wszyscy zastanawiali się, jak to będzie. Zrobiliśmy zdjęcie wyników głosowania, i tyle. Ludzie byli tak samo pomocni, mili i uprzejmi, zarówno w pracy, jak i na przykład gdy pytaliśmy o drogę.

Co mnie zdziwiło? – dzieci mogą zostawiać na noc swoje zabawki na ulicy. Obok naszej host-mamy mieszkały rodziny z małymi dziećmi. Wracaliśmy do host-domu wieczorami. Zabawki, piłki, kolejki, rowerki leżały na chodniku. Rano wciąż tam były.

O moim miejscu praktyki, The Dome, usłyszałem przed podróżą. Pierwszy raz przechodziłem obok kopuły w dniu przyjazdu. Chyba ze względu na zmęczenie nie zrobiła na mnie aż takiego wrażenia, nie odczułem nic szczególnego, choć wcześniej oglądane zdjęcia z lotu ptaka wywierały emocje. Budynek znajduje się przy samym The Hoe – głównej spacerowej trasie mieszkańców miasta i turystów. Coś jak konińskie bulwary nad Wartą. Obiekt wyglądem przypomina obserwatorium astronomiczne. W dzień przez szklane sklepienie prześwituje światło. W nocy goście mają piękny widok na gwiazdy, a z okien sięgających od sufitu do podłogi – widok na nabrzeże. Widziałem już wiele miejsc za granicą. Ale ta panorama była chyba jedną z najpiękniejszych. Z tarasu jeszcze lepiej widać kanał La Manche, zwany przez Anglików English Channel. Lokal, kombinacja restauracji z barem i kawiarnią, organizujący ekskluzywne imprezy dla ponad 100 osób, wieczory wigilijne, sylwestry z żywą muzyką, był przez cztery tygodnie moim miejscem praktyk. W czasie pracy nie czułem jednak zapachu morza ani nie słyszałem krzyku mew. Nie widziałem wielkich jak wieżowce, oświetlonych wycieczkowych promów, które zwykle wieczorami przyływały z Francji czy z Hiszpanii. Pracowałem w kuchni. Już na początku praktyki szef kuchni wziął mnie pod swoje skrzydła. Widziałem, jak flambiruje się *mussels* (małże) z wykorzystaniem brandy

i przygotowuje wykwintne dania. Po pewnym czasie mogłem kroić, ćwiartować, filetować nożem szefa kuchni. Ponieważ szybko i błędnie wykonywałem polecenia, powierzano mi takie zadania, jak każdemu innemu pracownikowi. Nie tak jak w Polsce, gdzie początkujący praktykant jest głównie od zmywania. Chociaż przyznaję, że w Polsce miałem okazję gotować zupę pomidorową. Tam jednak bardziej ufają praktykantowi. Pracowałem w towarzystwie międzynarodowym, w którym porozumiewaliśmy się po angielsku. Miałem okazję pracować z dwiema Polkami, Niemką i Anglikami. Ekipa była wesoła. Przygotowywałem z nimi dania, głównie z ryb. W tej restauracji goście przede wszystkim zamawiali ryby. Dowożone codziennie świeże owoce morza pochodziły z tamtych regionów. Codziennie były też dostawy świeżych warzyw. Ale ja akurat w większości przygotowywałem ryby. Klaudia natomiast nauczyła się wypiekać ciastka, których polskiej nazwy nie znam.

Nie myślałem, że będzie tak fajnie

Uczymy polskiego

– Co do języków – mówi Jakub – to, czego uczymy się w szkole, a to, czego potrzebowaliśmy w Plymouth, to dwa różne światy. Pierwszy dzień to był szok – nie rozumiałem, co do mnie mówią. Bałem się, że w pracy nie będę mógł się porozumieć. Ale tylko pierwszy dzień był gehenną. Teraz wydaje mi się, że w słuchaniu jestem o wiele lepszy. Z mówieniem był związany stres. Z słuchaniem radziłem sobie lepiej. Ale w Plymouth ludzie są bardzo pomocni, w domu, czyli u rodziny, i w pracy. W pracy chcieli się uczyć języka polskiego. W pierwszej kolejności interesowały ich niecenzuralne słowa. Nasz angielski koordynator praktyk zaczął uczyć się polskiego, słuchał polskiej muzyki. Następne wakacje planował spędzić w Polsce. Wszyscy, których poznaliśmy w pracy, a było ich kilku w magazynie i kilku ze sklepu, również chcieli nas bliżej poznać. Szokowało nas zwracanie się do siebie po imieniu. Nie tylko do tych po trzydziestce, ale i do tych po pięćdziesiątce. Zresztą jedni i drudzy poważnie nas traktowali, ale nie było między nami dystansu. W pracy często rozmawialiśmy o filmach – interesowali się polskimi odpowiednikami tytułów znanych filmów. Nasi współpracownicy opowiadali nam, jak żyje się w Anglii, jakie są zasiłki, jakie zarobki. Poznaliśmy

angielski humor. Mieliśmy kolegę w pracy, którego nazwano *Angry Kid*, a który był spokojny i przyjazny. Na wycieczce w Plymouth zobaczyliśmy dom z napisem „W tym domu nic się nie wydarzyło” (*Nothing has happened in the past*). Mieliśmy kolegę, którego wszyscy nazywali *I don't know*, ponieważ na wszystkie pytania odpowiadał „Nie wiem”. W czasie pracy muzyka grała cały czas, chociaż każdy z nas lubił inne kawałki, nikt się tym nie stresował.

Jak spędzaliśmy czas? Jeśli nie jechaliśmy do pracy czy na wycieczkę, szliśmy na miasto. Damian czytał książkę lub się uczył. Przerabiał testy na prawo jazdy. Co do wycieczek: w Polsce takich miejsc, w jakich byliśmy, nie ma. Zobaczyliśmy fajne nadmorskie miejscowości Devon i Kornwalii, gdzie można było pochodzić po klifach, pozwiedzać. Wszędzie rosły palmy, jak nad Morzem Śródziemnym. Odwiedziliśmy przecież Angielską Riwierę. Na wycieczki jeździliśmy autobusami lub angielską koleją. Zajmowaliśmy przedział lub piętro autobusu i śpiewaliśmy polskie przeboje. Miód malina! Podobało się nawet Anglikom.

Jedzenie i opieka host-mamy były świetne. Najbardziej podobały mi się lunchboxy – batony, jogurty, owoce, kanapki w jednym. Mieszkaliśmy w małym pokoiku, który w czasie nieobecności syna naszej gospodyni był wynajmowany studentom.

Ten wyjazd to było ciekawe doświadczenie

Poznaj Ralfa

– Lubię gotować – mówi Iza – ale moim marzeniem była szkoła lotnicza w Dęblinie. Klasa żywieniowa była alternatywą. Od paru lat prowadzę własny blog kulinarny i tak się stało, że wylądowałam w technikum gastronomicznym. Trochę się buntuję, ale radzę sobie.

Po przyjeździe na praktyki odczuliśmy wielką kulturę Niemców i szacunek, jaki dla nas mieli. Niemcy i przedstawiciele innych narodowości, gdy tylko usłyszeli, że jesteśmy z Polski, byli zainteresowani naszą kulturą, naszym językiem. Byli nastawieni przyjaźnie. Na ulicy między kierowcami a pieszymi panowały dobre obyczaje. Przepuszczali się wzajemnie, uśmiechając się do siebie, a sprzedawcy, słysząc, że jesteśmy z Polski, uśmiechali się i wołali po polsku „O! Witajcie, Polacy!”.

Szefowie ośrodka chcieli nam we wszystkim pomagać. Na każdym kroku odczuwaliśmy ich życzliwość. Właścicielka przygotowywała dla nas ciasta. Od niej nauczyłam się piec niemiecki jabłecznik. Szef ośrodka, Ralf, wyglądał na takiego, któremu wszyscy chcą schodzić z drogi. Jednak kiedy w klubie próbowaliśmy rozegrać partyjkę w bilard i zupełnie sobie nie radziliśmy, przez dwie godziny cierpliwie tłumaczył krok po kroku zasady gry. Dla wszystkich było jasne, że okazał się fajnym facetem, który do tego jeszcze dał sobie zrobić ze sobą selfie. Byliśmy tym tak podnieceni, że po rozegraniu meczu poszliśmy podzielić się nowiną ze swoją zastępczą Mamą, która w tym czasie zdawała raport do Polski. Mogliśmy śmiało wykorzystywać sprzęt dostępny w ośrodku. Mieliśmy do dyspozycji komputery, tworzyliśmy filmy, prezentacje. Z dyscypliną nie było lekko, choć przyznam, że był porządek.

Co do innych nacji – pracowałam z Rumunką. Ona nie знаła niemieckiego. Jakoś musiałyśmy się dogadać. Portugalczycy byli najśmieszniejsi i najciekawszy. Ich grupy wymieniały się co dwa tygodnie. Zazwyczaj porozumiewali się po angielsku, niemieckiego raczej nie znali albo znali słabo. By sobie radzić, posługiwaliśmy się językiem angielskim i niemieckim. Dziś z niektórymi utrzymujemy kontakt. Arek z jakimiś Portugalczycami, a ja z ludźmi z Polski.

Co jakiś czas miały miejsce śmieszne sytuacje. Zdarzało się, że kuchnia była nie tylko miejscem pracy, ale też swoistej terapii. Czasami ktoś musiał być wyróżniony, na przykład dodatkową pracą w kuchni czy zamianą bransoletki zielonej na czerwoną. Wtedy cieszyliśmy się, że ktoś dołączył do naszej czerwonej grupy.

Najwięcej nauczyłam się na praktyce. Nie staliśmy na zmywaku. Oczywiście obsługiwaliśmy zmywarkę, ale robiliśmy to po kolei. Nauczyłam się też obsługiwać piec konwekcyjny. Jestem teraz specjalistą w jego obsłudze. Potrafię upiec jabłecznik niemiecki czy roladę wołową faszerowaną twarogiem, papryką, ogórkiem, pieczarkami. Zrozumiałam, że kuchnia czeka na nas, że brakuje rąk do pracy. To miejsce nie tylko ogrzewa, ale i rozwija. Chociaż nieraz byliśmy tak zmęczeni, że czekaliśmy na słowa „*Pause Arbeit, Finish Arbeit*”.

Co do wycieczek, to najfajniejsza była do Berlina. W Berlinie było ciekawie, dużo obcokrajowców. Zobaczyliśmy kawałek

historii, salon Mercedesa. Trafiliśmy na jakieś manifestacje, ale było dużo policji i panował spokój. Mieliliśmy oryginalnego przewodnika. I zrobiliśmy łącznie około 20 kilometrów w 12 godzin. To był super dzień. Drezno, moim zdaniem, jest dla starszych osób. Same stare zabytki.

Poprawiłam swój niemiecki, bo jak chcieliśmy pogadać, to rozmawialiśmy z Niemcami. Lepiej też radzę sobie w kuchni. W Niemczech bardziej spodobał mi się mój zawód, który – mam wrażenie – będę uprawiać i rozwijać.

Kierunek – statek

– Pracowałam z Angielkami – opowiada Olga. – Myślałam, że będzie gorzej, że będzie większy problem z językiem. Chociaż koleżanki czasami musiały mi coś rysować. Mieszkalam u sympatycznej rodziny pochodzącej ze Szkocji.

Pierwsza rzucała się w oczy grzeczność. Wszyscy mówili „dzień dobry” i byli dla siebie mili. Dostałam już ofertę pracy. W Plymouth, oczywiście. Myślałam, że Plymouth jest mniejsze, a tam 200 tysięcy mieszkańców. Zdziwiła mnie multikulturowość. Pierwszy raz w życiu rozmawiałam z Japończykami. Miałam okazję ich obsługiwać, potem pytali o drogę. Obsługiwałam Anglików, Francuzów, Japończyków, Polaków, Arabów. Całe grupy turystów i pojedynczych gości. Z powodu mojej urody raz wzięto mnie za Włoszkę. Okazało się, że gośćmi były wtedy Polki. Matka z córką, przyjechały trochę pozwiedzać. Córka studiowała w Londynie. Ja planuję studiować w Katowicach. Chciałabym w przyszłości pracować na statku, może na statku powietrznym. Jestem oryginałem. Lubię zmieniać miejsca i otaczać się zwariowanymi ludźmi.

Dzięki wyjazdowi poznałam angielską kulturę, jedzenie, ludzi oraz zwiedziłam wiele przepięknych miejsc, o których istnieniu wcześniej nie wiedziałam.

Zmień życie, otwórz umysł

– Uważam, że po powrocie młodzi są bardziej dojrzały – podsumowuje nauczycielka języka angielskiego. – Mają większą motywację do nauki, przede wszystkim nauki języka obcego, poznawania kultury innych krajów. Wyrażają szacunek do zajęć. Widać, że przez

ten czas wydorośleli. W rozmowach wykazują dojrzałość w podejściu do życia. Teraz w większości dorabiają w weekendy i poważniej podchodzą do pracy sezonowej. Widać, że doświadczenie wywarło na nich wpływ. Według mnie dzięki takim wyjazdom stają się odpowiedzialni. Mają inne podejście do pracy na lekcji. Zobaczyli też różnicę praktyk tam i w Polsce. W Plymouth potraktowano ich jak dorosłych, odpowiedzialnych ludzi. U większości widać wyraźny postęp językowy. Po powrocie zintegrowali się ze sobą. Na korytarzach przychodzą do siebie, rozmawiają ze sobą. Planują wspólne spotkania.

– Po przyjeździe są bardziej wyważeni – mówi nauczyciel nr 2. – Przede wszystkim utwierdzili się w tym, że dokonali dobrego wyboru zawodu. Niektórzy mają dalsze plany. Arek i Julia już dziś zgłosili się na wakacyjny wyjazd na prom pływający ze Świnoujścia do Szwecji. Natalia, Kamil, Dawid i pięcioro innych uczestników wyjazdu wybiera się na dodatkowe staże zawodowe w swoich zawodach”.

– Po przyjeździe potrzeba silnej mobilizacji, by ponownie wdrożyć się w schemat, rozkład każdego dnia – mówi nauczyciel nr 3. – Bo na wyjeździe jest tak fajnie. Jesteśmy świadkami powrotu do szkoły, przetrwania pobytu. Patrzymy jeszcze na emocje, opadający stres, roześmiane twarze. Przez kilka tygodni po powrocie widzę Dominika, Natalię, Klaudię – siedzą na szkolnych schodach i przesuwają palcem po ekranie telefonu, oglądając zdjęcie po zdjęciu. Trudno im rozstać się z przygodą i wejść w tryb nauki. Na moich przedmiotach siedzą w pierwszych ławkach. Uśmiechają się. Mają zawsze coś do powiedzenia. Są aktywniejsi, odważniejsi, chłoną wiedzę. Dzielą się doświadczeniem. Opowiadają historie z pobytu, wspominają podróże. To są małe, drobne rzeczy, ale z pewnością nastąpił rozwój osobisty. Bije z nich taka otwartość, łatwość nawiązywania relacji z nauczycielem, łatwość wypowiadania, prezentowania pomysłów, zaangażowanie w pracę na lekcji. Bariera między nauczycielem a uczniami opadła. Chociaż trzeba było na to trochę czasu.

Jeżeli pracują w danym zawodzie (po lekcjach, w weekendy), utwierdzają się w tym, że podjęli słuszną decyzję. Czują się wybrani, bo inni nie potrafili i nie przeżyli tego, co oni. Mają poczucie dobrego przygotowania do zawodu, ponieważ mogli dzielić się tym,

czego już się nauczyli. Taki wyjazd niesamowicie rozwija wyobraźnię, umiejętności, a przede wszystkim postrzeganie świata.

Uczniowie już wcześniej się nie oszczędzali. Przykładowo Natalia, która do godziny 20:00 była w pracy, przygotowując imprezę w restauracji, o 2:00 w nocy jechała już do Plymouth, by tam odbyć czterotygodniowe praktyki. Teraz angażują się jeszcze bardziej. Dzieci rozwinęły się niesamowicie. Dominika, która w pierwszej klasie technikum pytała nauczyciela „Proszę pani, co to jest przyczyna?“, dwa tygodnie po przyjeździe z praktyk pojechała na konkurs kelnerski i osiągnęła sukces. Damian przeszedł do drugiego etapu olimpiady logistycznej, Jessica, Mateusz oraz Adrian wygrali w konkursie znajomości wiedzy o krajach niemieckojęzycznych.

A może ja też powinnam spróbować praktyk zawodowych, pojechać na jakiś *job shadowing*? W końcu języka angielskiego zaczęłam uczyć się dzięki projektom wyjazdowym dla młodzieży w naszej szkole.

W projekcie Erasmus+ w 2016 roku uczestniczyło 44 uczniów Zespołu Szkół Budownictwa i Kształcenia Zawodowego im. Eugeniusza Kwiatkowskiego w Koninie wraz z opiekunami.

Maria Sobczak – nauczycielka Zespołu Szkół Budownictwa im. Eugeniusza Kwiatkowskiego w Koninie, inicjatorka i organizatorka wyjazdów młodzieży na praktyki zagraniczne w ramach projektu Erasmus+ (dawniej Leonardo da Vinci).





ZE BY DALEJ
BYŁO LEPIEJ

DOROTA KOZANECKA





Obcy

– Nie chcę być Ukraińcem, chcę być Europejczykiem – Anton śmieje się i chrząka. Myje kubek po kawie, wyciera go i odstawia do szafki. Poprawia przy tym kilka innych, tak by wszystkie stały w równym rzędzie. Zanim ponownie usiądzie na krześle, strzepnie z niego okruszki.

– Kiedy był mecz Polska–Ukraina, koledzy z Leszna zapytali: gdzie twój strój, gdzie twoje barwy? A ja przyszedłem ubrany na biało-czerwono i krzychałem „Polska, Polska!”.

– Ja czuję się nadal Ukrainką!

– Nie lubię Ukraińców.

– Ja jestem niezgodna z nim.

– Ale życie i praca są tu lepsze.

– Tu jest wszystko to, czego nie mamy tam, na przykład drogi – wymienia Anton.

Bałagan

– Na Ukrainie wszędzie są śmieci, ble – Anton wzdryga się z odrazą.

– U nas też są śmieci.

– No właśnie, też mu to mówię – wtóruje mi Alina.

– Ale nie aż tak, to nie jest to samo.

– Dla mnie mentalność polska i ukraińska to jest to samo. Niemiec i Ukrainiec się różnią, ale Polak i Ukrainiec już nie.

– Tam jest syf, a tutaj robi się coś dla ludzi.

– No tak... Był Majdan, miało być dla ludzi i czekaliśmy, czekaliśmy, i nic się nie zmieniło, szto to samo.

– Tam każdy tylko robił wszystko dla siebie, dla swojej kieszeni. Nowy rząd mówił: „idziemy do Europy”. No tak, idziemy, ale z tej drugiej strony – Anton wybucha śmiechem.

– Tu jest gdzie pojechać na rowerze, pójść na spacer, jest ładnie i czysto.

Anton i Alina muszą już jechać do pracy. Pytają, czy ich podwiozę. Zgadzam się bez namysłu. Podchodząc do auta, nie myślę o panującym w nim bałaganie. Anton jednak, zamiast wsiąść do środka, dobre 2 minuty strzepuje okruszki z siedzenia.

– Wejść do kobiety do domu, to jest czysto, ale o auta to my nie dbamy – Alina uśmiecha się przyjaźnie. Zastanawiam się, czy Anton zniósłby pobyt w moim domu.

Agencja

– Kiedy ja zarabiała 2000 złotych, to ja myślała, że to mało. Kiedy przyjechała do Leszna, to ja wiem, że to było dużo. Jako hotelowa w pokoju ja pracowała.

– Pracowałem w Katowicach, miałem tam minimum 10 złotych za godzinę, ale tylko przez pół roku. Agencja mówiła innym, że można dłużej, że załatwią kartę stałego pobytu, ale potem wiza się kończyła i trzeba było z powrotem na Ukrainę. Tutaj jednemu naprawdę załatwili kartę, dlatego przyjechaliśmy – Anton śmieje się. – Wszystko, co dotyczy naszej pracy, załatwiamy z agencją, nie mamy kontaktu z właścicielem firmy czy z jakimiś pracownikami administracji. Idziemy prosto do pracy, zajmuje się nami taki kurator, znamy też Katarzynę – Anton wzrusza ramionami. – Wszystko za nas tam robią.

– A jak wy oceniacie tę agencję? Jest waszym zdaniem w porządku?

– Agencja zawsze załatwi pracę tam, gdzie nie chcą pracować Polacy – mięso, kury, fabryka, tam, gdzie pracuje się po dziesięć-dwanaście godzin. Polaki jeżdżą do Europy, a Ukraińcy do Polski – Anton wybucha śmiechem.

– Jeżeli zmienimy pracę, to agencja zgłosi do urzędu: ten człowiek nie jest już nasz, i nowy właściciel musi załatwić kartę od nowa. Ukrainiec to dla pracodawcy taki ktoś, kto mówi: „przyjadę, przyjadę”, a potem – Anton gwizdże – do widzenia. Możemy tu być tylko ze względu na pracę albo na korzenie, ale takich nie mamy.

– I tak będzie zawsze, aż do stałego pobytu, ale to za jakieś osiem lat może.

– Mówią, że pięć lat, ale pod warunkiem, że nie wyjeżdżasz w tym czasie na Ukrainę. Po pięciu latach możesz przebywać na Ukrainie maksymalnie pięć miesięcy.

Polak

– Kiedy mieszkaliśmy na Poplińskiego, to najpierw nikt z sąsiadów z nami nie rozmawiał, a z czasem pojawiło się „cześć” i „dzień

dobry”. Potem to już dawali nam różne rzeczy, bo nam trzeba pomóc. Chcesz jechać do sklepu? Bierz kluczyki, auto i jedź! Lepiej niż na Ukrainie, tam to raczej niemożliwe. Ludzie odbierają nas chyba normalnie. Jedynie nasi nowi sąsiedzi trochę się czepiają: to za głośno zamkniemy drzwi, to za głośno chodzimy, ale to chyba taka mentalność? – na twarzy Antona maluje się niepewny uśmiech.

Problem nowych sąsiadów zdaje się jednak powracać jak bumerang. Przy kolejnym spotkaniu Alina nieśmiało pyta, jak można znaleźć mieszkanie do wynajęcia.

– Oni idą na nas skarżyć do właściciela mieszkania, a on idzie do agencji, no i mówi nam o tym nasz menadżer – tłumaczy Alina.

– Ale co im się nie podoba?

– Jak ta sąsiadka nas pierwszy raz zobaczyła i usłyszała, że mówimy po ukraińsku, to nie powiedziała żadnego „dzień dobry”, tylko od razu: „jak będzie za głośno, to dzwonię na policję”. Mnie się wydaje, że ona by jeszcze chciała poimprezować, wyjść gdzieś, a w domu z dzieckiem siedzi i dlatego jest taka wściekła.

Wołyń

– Razem byliśmy na tym filmie – Anton poważnie, nie potrafi usiedzieć spokojnie, wstaje, chodzi po pokoju, dotyka swoich włosów.

– Moje życie zmieniło się po obejrzeniu tego filmu, był bardzo ciężki. Myślisz sobie: jak żyć po czymś takim? Bardzo źle się potem czułam.

– Ile złości w tych ludziach było.

– U was na Ukrainie mówi się o tamtych wydarzeniach?

– Mówi się, ale na zasadzie „było jak było, i dobrze”.

– Nie ma takiej katastrofy, jak to jest pokazane w tym filmie – dodaje Anton. – W szkole się o tym tylko wspomina, można trochę poczytać w internecie, ale na naszych ukraińskich stronach to jest tak jak w filmie.

– Po filmie chciałam to wszystko wyrzucić z głowy... Za dużo krwi i brutalności. Nie umiem odpowiedzieć sobie na pytanie, jak sąsiedzi mogli tak zabijać sąsiadów.

– Myślisz sobie: „jakie czasy wtedy były?”.

– Nadal jest u was UPA, prawda?

- No, jest UPA... No, nacjonalistyczna partia trochę, ale oni sami siebie tak nie pokazują. Ale trochę może tak być, sam nie wiem.
- A jaki wy macie do tego stosunek?
- Może to komuś przeszkadza, może komuś się podoba, ale ja nie wiem...
- My nigdy ich nie spotkali.

Rodzina

- Na Ukrainie za wszystko musisz płacić, nie możesz się nawet za darmo urodzić.
- Lepiej mieć dzieci tu niż tam.
- Tu taniej mieć dzieci niż w Ukrainie. Jak chcesz urodzić dziecko w szpitalu miejscowym, to musisz zapłacić co najmniej 10 000 złotych – za poród, za badania medyczne, za to wszystko.
- U nas jak wołasz „pomocy, pomocy”, to policja nawet na ciebie nie spojrzy, nie ma żadnej reakcji, każdy idzie prosto swoją drogą.
- Możemy otworzyć tu jakąś firmę, ale myślimy, co robić – Anton śmieje się radośnie.
- Na Ukrainie jak zakładasz firmę, to jest tylko problem. Problem z pozwoleniami, kontrolami, zawsze jest coś nie tak, nic nie możesz załatwić, dopóki nie zapłacisz. Tam korupcja niszczy wszystko. Co mamy tam robić?

Leszno

- Jestem zmęczony dużym miastem, Charkowem. Polaki muszą wiedzieć, co to Charków, ma ponad dwa miliony mieszkańców.
- Anton, Alina i ja spacerujemy po lesie w towarzystwie moich chartów. Alina jest nimi zachwycona, Anton zachowuje dystans i woli przyglądać im się z daleka. Mojego charta rosyjskiego nazywa rowerem.
- Leszno to małe i spokojne miasto. Jest tu bardzo dużo tras dla rowerów, jest gdzie pospacerować, są mniejsze parki, no i dwa leśniczynie kluby, których mieszkańcy nie lubią, tak?
- Byliście tam?
- Mieszkaliśmy koło klubu Heaven i w piątek czy sobotę nie trzeba było wychodzić z domu, żeby tam być – obydwoje śmieją się.
- Przeszkadzała wam głośna muzyka?

- Nam nie. Może jak ktoś ma małe dziecko, to tak.
- Trzy miesiące i się przyzwyczailiśmy.
- Mnie najbardziej podoba się to, że Leszno to takie małe miasto, a latem jest tu dużo imprez, na przykład na lotnisku. Jest co robić z rodziną w weekend. Nawet jak nie masz pieniędzy, to jest co robić.
- Możesz też jechać na plażę, tam także jest dużo imprez.
- Jakie show było na lotnisku – Anton gwizdże z wrażenia. – Takiego czegoś to ja w życiu nie widziałem, no i wejście za 5 złotych, aaa! – Anton krzyczy podekscytowany. – Na cały dzień, to coś wspaniałego.
- Mnie na następny dzień bolały plecy, bo ja cały dzień stała z telefonem wpatrzona w niebo.
- Dookoła jest też dużo jezior, jak chcesz, to masz gdzie jechać. A co się nam nie podoba? Chyba to, że dużo od psów jest tych... – Anton gwizdże.
- Kup?
- Tak, tak.
- No i budynki niektóre trochę brzydkie i zniszczone...
- To może tu zostanieie?
- Gdzie będzie dobra praca, tam zostaniemy.
- Mnie się podoba też leszczyńska policja. Trzy razy tak miałem, nie wiem, ale no tak mnie to spotkało... Co to było? Ja chyba wtedy z chłopakami z Heaven wracałem?
- Ja nie wiem, co wy tam robiliście, ja z wami nie była.
- To chyba było 2 tygodnie temu. Wszyscy byliśmy jak z Heaven
- Anton wykonuje ruch zataczającego się mężczyzny. – I było przejście ze światłami, i my szliśmy przez to przejście, i pół drogi było zielone, a pół drogi było czerwone. No i jeden kumpel mówi: „Aaa, idziemy, noc jest, nikogo nie ma”. Mhm...
- Policja?
- Około 50 metrów dalej: „Dzień dobry, na jakich światłach przechodzicie?”. No i dobrze, że jeden kolega od razu powiedział, że na czerwonym. Drugi mówi, że pół zielonego było, ja na to: „Cii! Czerwone!”. Policjant na to: „Skąd? Ukraina?”. Tak, odpowiadam. Policjant: „Co tam? Do domu idziecie?”. „Tak”. Policjant: „No dobra, ostatni raz!”. A u nas tak nie ma, na Ukrainie cokolwiek i...
- Anton udaje, że kładzie coś na swoją rękę.

– I coś jeszcze było, że powiedzieli nam, że tak po prostu nie wolno robić, i tyle. O! Przypomniałem sobie, jechałem kiedyś na dworzec, tam jest taki parking dla rowerów i ja po peronie też jechałem rowerem, no i podchodzi do mnie i mówi: „dowód osobisty”. Ja mu daję i stoję taki przestraszony, a on pyta, czy wiem, że tu nie wolno jeździć. Dalej mówi: „Nie chcesz stowy?”. „Nie, nie” – Anton śmieje się trochę nerwowo. – „Ostatni raz”.

– Po prostu takie odnoszenie się po ludzku: no tak, nie wiedział, przepraszam. Bo na Ukrainie w takim wypadku to zawsze papier.

– Nie zawsze chodzi o mandat, często policjant bierze do kieszeni, i to nawet więcej, niż jakby wypisał mandat. Żeby nic nie było, żeby nic nie pisać. U nas już zmienili policję, ale dalej tak jest.

Rower

– Latem zawsze jeżdżę do pracy rowerem – opowiada Anton. – Bo tym autobusem jeździć, to... – prychnął.

– Tu możesz objeździć całą Wielkopolskę na rowerze.

– Najdalej pojechaliśmy rowerem do Boszkowa, ale z powrotem to już pociągami.

Kontrast

– Dla nas to jest dziwne, że tu nie możesz tak po prostu rozpałić sobie ogniska na dworze.

– W lesie nie wolno.

– U nas to jest normalne, że jak chcesz, to robisz sobie grilla.

– No i nie możesz zrywać kwiatów.

– Są tu też różne przepisy, których my nie znamy.

Spacerujemy po Karczmie Borowej, niedaleko znajduje się Polana Trzech Dębów.

– Na tej polanie możemy przynajmniej zrobić ognisko, tam jest takie specjalne miejsce – mówi Anton. Tłumaczy, że do tego potrzebna jest zgoda, trzeba złożyć specjalne pismo, okazać dokument tożsamości.

– Tak? My myśleliśmy, że tak po prostu możemy sobie tam ogień rozpałić – Anton podnosi głos z wrażenia.

– Jednak jak coś wiesz, to wiesz, a jak nie, to zaraz przyjdą i będą pisać.

– Dziwne, dla nas to jest dziwne.

Wyjaśniam, że taka formalność jest konieczna ze względów bezpieczeństwa. Ktoś musi być odpowiedzialny za ugaszenie ogniska i za posprzątanie śmieci.

– A, no tak. Tak musi być.

– To dobre jest – przyznaje Alina.

– A ta agencja nic wam nie mówiła o przepisach?

– Nie.

– Co jeszcze jest dla mnie dziwne? Kupić samochód to ja mogę, ale zarejestrować go, to już nie – mówi poruszony. – Mam z tym problemy, bo nie mamy karty tymczasowego pobytu, czekam już na nią dziesięć miesięcy.

– Mieszkanie mamy, ale nie mamy meldunku.

Do zarejestrowania pojazdu potrzebny jest albo meldunek, albo karta tymczasowego pobytu.

– My nie wiedzieli o tym i kupili ten samochód, a teraz nie wiadomo, co z nim zrobić.

– Ale to dziwne, bo jeździć mogę – Anton przystaje na chwilę i gestykuluje rękoma.

– To co zrobiliście z tym samochodem?

– No jeździmy, jest zarejestrowany na kogoś tam – Anton uśmiecha się szelmowsko. – Jest zarejestrowany na jakiegoś tam mężczyznę, ubezpieczony na jeszcze inną osobę, a jeżdżę ja – wybucha dłuższym śmiechem.

– Nie wiem, czy później nie otrzyma mandatu za to, że samochód nie jest na niego zarejestrowany.

Dochodzimy do drogi, po której czasami jeżdżą samochody, chwytam psy na smycz.

– Szczupły – Anton dotyka kręgosłupa mojego borzoja.

– Trochę kosztował, na karmę już nie wystarczy.

Ukraina

Jedziemy we trójkę po moje dzieci. Najpierw odwiedzamy wspólnie jedną z leszczyńskich szkół. Anton i Alina cieszą się, nie byli wcześniej w polskiej szkole. Przemierzamy długi korytarz. Alina idzie obok mnie. Anton zatrzymuje się przy każdej tablicy powieszona na ścianie. Najpierw mijamy te z dyplomami sportowymi uczniów,

dalej wiszą już tylko ich prace. Anton ogląda wszystko bardzo dokładnie, rysunki i napisy są dla niego intrygujące. Czuć zapach sali do ćwiczeń i tanich środków do sprzątania. Chyba trochę się tego zapachu wstydzę. Koloru ścian i podłogi też.

– Cześć. Matylda to moja córka – mówię, kiedy skręcamy w końcu w lewo. – Mają tu szafki, mogą zostawiać swoje książki lub inne rzeczy – tłumaczę, trochę dumna, że w polskiej szkole wreszcie jest coś, czym można się pochwalić.

– Mówiłaś, że nie macie kursów języka polskiego. Musielibyście uczyć się chyba tak jak moja córka, czyli zacząć od alfabetu i od prostych zdań... Matylda, pokaż swój zeszyt – przeglądamy go razem z Aliną, potem go jej pożyczam. Wyjaśniam też, że mogą kupić z Antonem książeczki z alfabetem dla dzieci.

– Aa, no tak.

Nie zauważam, że Anton znów ogląda wiszącą na ścianie gablotę. Znajdują się tam pamiątki z całego świata, to kącik podróżnika.

Anton ogląda pocztówki z wyraźnym zadowoleniem. W przedszkolu, do którego uczęszcza moja młodsza córka, obydwie czują się już swobodnie. Miejsce jest też bardziej przytulne.

– Tu jest podobnie jak u nas na Ukrainie – mówi Alina, kiedy idziemy po schodach. Sale, w których bawią się dzieci, robią na nich jednak dużo większe wrażenie.

– Wow, jak tu kolorowo!

Kiedy próbuję dojść do ładu z moją „pociechą” na korytarzu, Anton i Alina odczytują po kolei imiona i nazwiska dzieci znajdujące się na szafkach.

– Lena Kozłowska, to tak jak u nas, Leenaa.

– A-m-e-l-i-a. Amelia, to już trochę inaczej – obydwie patrzą na biegającą i skaczącą Hanię.

– Moja siostra ma córkę, która też ma cztery lata, jest tak samo wesoła.

Hanka wskakuje na mnie tak, że prawie tracę równowagę, uśmiech wraca na twarz Aliny.

Sens

– My teraz jak psy, wszystko rozumiemy, ale powiedzieć nie umiemy.

Anton jest z zawodu mechanikiem samochodowym, Alina studiowała zarządzanie zasobami ludzkimi.

– Bez znajomości języka możemy ten nasz papier wyrzucić do śmieci.

– Co dały te nasze studia na Ukrainie? Niby są, ale ich nie ma.

Alina pracuje jako tapicer. Anton wybucha śmiechem. Liście szeleszczą pod stopami, co jakiś czas przywołuje moje psy.

Pół roku czekała, żeby znaleźli miejsce dla kobiety, bo z początku chcieli zatrudniać jedynie mężczyzn. Obydwoje pracują teraz w jednej z dużych firm, fizycznie.

– Jak dostaniemy kartę tymczasowego pobytu, zmienimy pracę, musimy tylko lepiej poznać język. Tu w Lesznie nie ma kursów języka polskiego, ja czytać trochę umiem, ale chciałabym nauczyć się pisać.

Obydwoje zatrzymują się na papierosa. Anton kupuje gazety poświęcone mechanice samochodowej.

– Jak pojechałem kiedyś do warsztatu samochodowego w Polsce, to kompletnie nie rozumiałem słów. Ciężko jest, wszystkie słowa są różne. Moje wykształcenie jest związane z przepisami, a te na Ukrainie są inne, dlatego też na nic się tu nie przyda. Jestem w Polsce rok, a miałem już pięć czy siedem różnych prac, każda inna, jakieś meble, drukarnia, jedzenie, cukiernia. Ja nie lubię pracować w miejscu, w którym jest dużo ludzi. Musimy znaleźć taką pracę, żeby zarabiać minimum 2500 złotych i żeby ta praca nie była taka fizyczna. Bo teraz jak przychodzimy po ośmiu godzinach pracy do domu, to czujemy, jak byśmy pracowali dwanaście, a nawet czternaście godzin – Anton śmieje się niepewnie.

– Może zrobimy tu jakiś kurs, studia, zdobędziemy w Polsce jakiś zawód.

– Żeby dalej było lepiej...

Dorota Kozanecka (ur. 1984) – leszczynianka. Absolwentka I Liceum Ogólnokształcącego w Lesznie. Miłośniczka zwierząt, przez wiele lat jeździła konno. Od zawsze jej pasją było

pisanie. Ukończyła Wyższą Szkołę Nauk Humanistycznych i Dziennikarstwa na kierunku politologia ze specjalizacją dziennikarską (w Poznaniu). Przez kilka lat szukała swojej drogi zawodowej. Od lipca 2015 roku pracuje w Radiu Elka w Lesznie jako reporter. Mama dwóch dziewczynek, właścicielka dwóch chartów. W wolnych chwilach biega i rozmyśla nad twórczością pisarską.





PRZEDŁUŻONY
WEEKEND W LESZNIE

MICHAŁ LAREK



Sobota, parę minut po 10:00. Końcówka listopada. Powoli poprawia się widoczność. Właśnie dojeżdżam do Leszna. Przed sobą mam płaską scenografię ozdobioną trzema wieżami. Za chwilę zaparkuję na ulicy Narutowicza, wejdę do Teatru Miejskiego, mężczyzna o twarzy Tommy'ego Lee Jonesa poda mi komórkę, w której usłyszę głos Beaty Kawki: „Panie Michale, jest mgła, trochę się spóźnię, bardzo przepraszam”. „Nie ma sprawy” – odpowiem i pójde do Galerii Sztuki Muzeum Okręgowego, gdzie będę wpatrywał się w wielki obraz Michała Gorstkina-Wywiórskiego, *Pejzaż z okolic Jutrosina*; uwielbiam go za brudny realizm.

Serce miasta

Beata Kawka (aktorka, dyrektor artystyczna Teatru Miejskiego w Lesznie): „Co ty robisz w tym Lesznie?” – pytają mnie i od razu dodają: „Rozwaliłaś system!”.

Historia zaczęła się sześć lat temu, kiedy przyjechałam tu, żeby zagrać małą rolę w spektaklu *Kallas*. Po premierze poznałam Błażeja Baraniaka, z którym przegadałam wiele godzin i w efekcie zaprzyjaźniłam się serdecznie. Zaczęłam mu pomagać przy kolejnych przedsięwzięciach, coś podreżyserowałam, coś załatwiłam, kogoś zaprosiłam.

Ktoregoś razu Błażej poinformował mnie, że powstanie tutaj teatr. „Chciałbym, żebyś poprowadziła ten teatr artystycznie” – oznajmił.

Popukałam się w czoło: „Człowieku, przecież ja mieszkam 400 kilometrów stąd, mam własną firmę producencką, dziecko, psy!”.

Ale on był nieugięty.

No i niemożliwe stało się możliwe. Po raz pierwszy od czterdziestu lat powstał nowy teatr publiczny w Polsce, a ja zostałam wciągnięta w to fantastyczne przedsięwzięcie.

„Ale jak to się robi? – zapytałam Anię Seniuk. – Jak się otwiera teatr?”. Trzeba przecież jakoś uświęcić scenę.

„Może powiedz – ona na to – «A teraz niech zgaśnie światło i stanie się teatr». I zanućcie coś”.

Tak zrobiłam.

Stałam przed publicznością i przemówiłam: „A teraz niech zgaśnie światło i stanie się teatr”. Chwilę później aktorzy cichutko

zanucili *Pamiętajcie o ogrodach*. Wszystkim przeszły ciarki po plecach. Z oczu popłynęły łzy.

A na bankiecie pomyślałam sobie: „za rok skończę pięćdziesiąt lat i to jest spełnienie moich marzeń. W końcu mogę coś dać od siebie”.

To chyba najbardziej emocjonująca scena w całej tej leszczyńskiej historii. Pamiętam, że przed premierą ktoś nagle rzucił: „Pani dyrektor, przyszedł prezydent”. Zaniepokoiłam się. „Panie prezydencie, czy coś się stało?” – pytam. „Nie, nie, pani Beatko, nic się nie stało – odpowiada prezydent. – Niedługo premiera, przyszedłem zapytać, czy wam czegoś nie potrzeba. Jeśli tak, to proszę mówić. Pomożemy, załatwimy. Jesteśmy otwarci”.

Byłam w szoku.

Na premierę prezydent przybył, wzruszył się i odtąd bywa na każdej kolejnej. Radni zresztą też.

Jakie jest Leszno? Przede wszystkim nie jest prowincją. To piękne, otwarte miasto, które pokochało teatr. Czuję się tu o wiele lepiej niż w Warszawie, gdzie ze wszystkiego może powstać problem. Tutaj jest spokojnie, serdecznie. Mieszkańcy podchodzą, zagadują. „Pani dyrektor – mówią – dziękujemy za teatr”.

Bardzo lubię chodzić na bazarek. Biorę ogórki, pytam: „Ile?” i słyszę w odpowiedzi: „Nie, pani Beato, absolutnie nie. Niech pani sobie jeszcze jabłek dobierze”. „Ludzie, ale ja nie mogę nie płacić” [śmiech].

Regularnie bywam też na siłowni. Przychodzę tam zawsze o 8:00. Na miejscu jest już pani Irenka (lat siedemdziesiąt sześć), pani Zosia (lat siedemdziesiąt osiem). Witamy się i ćwiczymy razem. O czym rozmawiamy? O diecie, miejskich newsach, teatrze. Panie są bardzo otwarte, więc częstują mnie swoimi życiowymi historiami.

No i Rynek – kolejne ważne miejsce. Chodzę tam na coś słodkiego i przyglądam się przechodniom. Czasami ktoś podejdzie, przycupnie, zagadnie, podpowie, gdzie można pójść na sushi, gdzie sprzedają smaczne wędliny. Niekiedy, jak jest ciepło, zbieramy się z aktorami w ogródku i śpiewamy do kurantów – wkrótce dołączają do nas leszczynianki i leszczynianie; okazuje się, że umieją pięknie

śpiewać. Dzięki takim spotkaniom oni wiedzą, że lubię tu być, że jestem tu z nakazu serca.

„Pani jest naszym Biedroniem – mówią mi. – Dzięki pani jesteśmy słynni w całej Polsce”. Korzyść jest obustronna – ja przecież poznaję wtedy swoją publiczność, wiem, czego chce, na co czeka, co jej się podoba.

Moja publiczność? Rośnie w siłę, jest coraz aktywniejsza, żywo komentuje przedstawienia – wystarczy wejść na facebookowy profil teatru, żeby się o tym przekonać.

Czy istnieje różnica pomiędzy publicznością warszawską a leszczyńską? Tak. Pierwsza jest nieco rozpieszczona liczbą scen w mieście, druga natomiast jest wdzięczna za każdy dobry spektakl. Czy pan wie, że nie było jeszcze spektaklu, który nie miałby owacji na stojąco?

Nasz teatr jest oblegany, ponieważ widzowie znajdują tu pozytywne emocje, dobrą energię. Po każdym spektaklu wychodzimy do nich – porozmawiać, posłuchać o ich wrażeniach, pobyć z nimi. Zależy mi na tym, żeby wiedzieli, że my jesteśmy dla nich, że chcemy im służyć. Czego ludzie szukają w teatrze? Na pewno nie polityki ani trudów życia codziennego. Szukają za to wzruszeń. Chcą się pośmiać, popłakać, oczyścić. Po premierze *Abonamentu na szczęście* panie wyszły z załzawionymi oczami.

Teatr jest miejscem, gdzie każdy ma potrzebę przeżycia czegoś intensywnego. Gdzie należy odpowiedzieć sobie na pytania dotyczące człowieka.

Matka chrzestna Teatru Miejskiego, Anna Seniuk, powiedziała mi kiedyś: „Pamiętaj, Beciu, teatr ma być sercem miasta”.

Właśnie – sercem, nie rozumem. Ludzie przychodzą do nas po emocje, nie po dywagacje.

Ten teatr jest taki jak ja... Do repertuaru wybieram rzeczy, które lubię, które ja sama chciałabym obejrzeć na scenie. Zaczęliśmy od opowieści prostych, pięknych, ale utrzymanych na znakomitym poziomie. Powolutku będziemy wspinać się na coraz wyższe szczeble.

Teraz robimy *Wiśniowy sad* Czechowa. A przyszły sezon chciałabym otworzyć *Ślubem* Gombrowicza. Przyjdzie też czas na Szekspira.

Wie pan co? Proszę przyjść na dzisiejszy spektakl. O 19:00 gramy *Abonament na szczęście*. Przekona się pan, o czym mówię. Zapraszam.

Ze szpitalnej perspektywy

Elżbieta Buchwald (mgr pielęgniarstwa; specjalista w dziedzinie anestezjologii i intensywnej terapii, pracuje w Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym w Lesznie): Dzisiaj zrobiłam podsumowanie za kilka miesięcy, więc mogę naszkicować odpowiedź na podstawie własnych statystyk.

Zwiększa się liczba operacji. W zeszły roku było ich 6400, a w tym – mamy dopiero listopad – 6550. Coraz częściej operujemy przepukliny w odcinku lędźwiowym kręgosłupa. Poronienia – odnotowałam wzrost. Nie wiem, z czego to wynika. Zdecydowanie więcej osób choruje na tarczycę.

Co jeszcze? Zwiększa się liczba zapaleń pęcherzyków żółciowych, co świadczy o tym, że króluje zła dieta. Z tym wiąże się otyłość, którą zauważam wśród młodych pacjentów. Kiedy dzisiaj znikają z oczu swoim rodzicom, ruszają natychmiast do McDonalda – no i mamy efekty. Więc ta moda na bycie „fit” dotyka tylko wybrane kręgi. Przykład: kiedy szłam na nasze spotkanie, minęłam sushi bar i budkę z kebabem, w pierwszym miejscu pustki, w drugim natomiast wielki ścisk.

I próchnica – o tym też trzeba wspomnieć.

Z drugiej jednak strony coraz więcej ludzi biega. 1 września na trasie minęłam około 50 osób – tego dnia pewnie wszyscy postanowili wziąć się w końcu za siebie [śmiech].

Do Leszna przyjechałam z Poznania. W 1993 roku. Było to dość depresyjne przeżycie, musiałam zaaklimatyzować się do zupełnie innych warunków. Duże wsparcie dał mi mąż – więc po jakimś czasie polubiłam się z tym miastem.

Jakie było wtedy Leszno? No – nie tak rozwinięte jak teraz, nie tak kolorowe, klimatyczne. Chociaż już wtedy dużo się tu działo. Zresztą, od zawsze odnosiłam wrażenie, że włodarzom zależy na pozytywnych zmianach, że niezależnie od reprezentowanych opcji politycznych dobrze kierują miastem.

Za co lubię Leszno? Za kulturę i sport. Różnorodność oferty. Mamy tu teatr, kino – tańsze lub bardziej ekskluzywne.

Ważna jest dla mnie muzyka, więc wspomnę o spotkaniach jazzowych, organizowanych w Galerii Lochy i Klubie Kwadrat. Może nie przychodzi tam dużo ludzi, ale to świetne imprezy.

Warte polecenia są koncerty w Miejskim Ośrodku Kultury. 3 grudnia przyjeżdża Czerwony Tulipan, a dzień później odbędzie się Koncert Wiedeński.

No i barok. Leszno to przecież miasto baroku. Od 2015 roku organizowany jest cyklicznie Festiwal Leszno Barok Plus.

A jeśli chodzi o sport – do wyboru, do koloru. I dla kibica, i dla amatora takiego jak ja. Piłka ręczna, siatkówka, koszykówka, halowa piłka nożna. Żużel, oczywiście – nasza wizytówka. Nie ma w tym przesady. cztery lata temu byliśmy na igrzyskach olimpijskich. W trakcie rozmowy z poznanymi tam Anglikami powiedzieliśmy, że jesteśmy z Leszna. „Znamy, znamy – odpowiedzieli. – Żużel”. No więc żużel. Tak na marginesie: mąż zabrał mnie tam na pierwszą randkę [śmiech].

Cudowne maratony rowerowe, które są organizowane cyklicznie. Fajną sprawą jest boisko do piłki plażowej funkcjonujące latem na starówce.

Ale najbardziej lubię Leszno za las w Karczmie Borowej – to dwa kilometry od miejsca mojego zamieszkania. Mnóstwo tam ścieżek rowerowych, ścieżek do biegania. Wspaniała okolica.

Jacy są leszczynianie? Przychylni wobec innych, otwarci, życzliwi. A czy spotkałam się z tendencją do narzekania? Może coś w tym jest, ale nie zwróciłam na to uwagi [śmiech].

Czy czegoś tu brakuje? Tak! Telefonicznej opieki poradniczej. Chodzi mi o poważne kwestie, o pytania, co ze sobą zrobić, kiedy nie chcą mnie przyjąć do szpitala, kiedy muszę czekać wiele godzin w strasznie długiej kolejce. Kiedy nie wiem, czy znajduję się już w stanie zagrożenia życia, czy jeszcze nie. Z tym trzeba koniecznie coś zrobić.

Europejskie miasto

Tomasz Malepszy (samorządowiec, były prezydent Leszna): Leszczynianie wystawili pomniki trzem postaciom, które nie były

Polakami: Janowi Amosowi Komeńskiemu, Janowi Jonstonowi i Johannowi Christianowi Metzigowi. O czym to świadczy? O tym, że potrafią obiektywnie oceniać cudzą działalność, że są otwarci na inne nacje i kultury. Że nie są ksenofobami.

Jesteśmy znani z tego w świecie. Przypomnę, że w 2003 roku Leszno zostało wyróżnione Flagą Europy...

Pamiętam dobrze te chwile. Któregoś dnia dostaliśmy informację, że tę flagę przywiezie wiceprzewodnicząca Parlamentu Europejskiego, Austriaczka, bardzo elegancka kobieta. Nastąpiła pełna mobilizacja, żeby odpowiednio przyjąć przedstawicielkę władz Unii Europejskiej. Udało się! Dopisała pogoda, była bardzo duża frekwencja: na starówce zgromadziło się 7000 mieszkańców. Co więcej, przed imprezą przysłała do mnie Młodzież Wszechpolska i powiedziała: „Spoko, nie będziemy zakłócać”. Jak się dowiedziałem, pani przewodnicząca była zadowolona, że mogła porozmawiać z uczniami po angielsku.

Profesor Waldemar Łazuga, poznański historyk, pochwalił nas kiedyś, że spośród wielkopolskich miast najlepiej wykorzystaliśmy środki unijne.

Czego obawiają się leszczynianie? Młodzi boją się o pracę, natomiast starsi – tego, że młodzi czują coraz słabsze związki z miastem...

Jest też kwestia bezpieczeństwa. Ze statystyk wynika, że pod tym względem jest całkiem dobrze, brak zorganizowanej przestępczości, ale mieszkańcy czują to inaczej.

I jeszcze coś, co dotyczy całego kraju – coraz większa partyjność na poziomie samorządowym; wielka szkoda, że tak się dzieje.

Pyta pan o ważne dla mnie miejsca... Na pewno Rynek – proszę spojrzeć za okno, jaki piękny. Swoją urok ma plac Metziga, lubię to miejsce. Uwielbiam też spacerować po tzw. dawnej dzielnicy żydowskiej, w której wyróżnia się Nowa Synagoga.

Wielki sentyment czuję do kościoła św. Mikołaja, czyli obecnej Bazyliki Mniejszej, w której byłem ochrzczony... Zawsze gdy chciałem odetchnąć, uspokoić się, wyciszyć, to wchodziłem właśnie do niej.

Dla mnie Leszno to miasto edukacji. Miasto szkół. Świadczymy w tym zakresie wysokiej jakości usługi. To nas wyróżnia w województwie i w całej Polsce. Mamy tu liceum z maturą międzynarodową, gimnazja dwujęzyczne, szkoły zawodowe z różnorodnością kierunków kształcenia.

Leszno to także miasto pracy. Tak sobie teraz głośno myślę, że standardowy leszczyńianin jest nastawiony na zwyczajną prozę życia. Praca i jeszcze raz praca. Nie szable, ale praca. Przykład: jest tu coraz więcej firm, coraz więcej branż, zdaje się, że doliczono się prawie 8000 podmiotów prowadzących działalność gospodarczą.

Robi wrażenie, prawda?

Owszem, przegrałem w ostatnich wyborach na prezydenta miasta, ale mimo wszystko czuję się spełniony. Cieszy mnie, gdy przy różnych okazjach leszczyńianie przekazują mi słowa uznania za efekty mojej pracy.

Joachim Gauck, prezydent RFN, uhonorował mnie w 2014 roku Krzyżem Zasługi na Wstędze Orderu Republiki Federalnej Niemiec. Za co? Za szczególny wkład w rozwijanie współpracy pomiędzy Polakami i Niemcami. Za to, że nie uciekaliśmy od trudnych momentów w historii.

A w maju ubiegłego roku zadzwonił do mnie redaktor „Rzeczpospolitej” i zaprosił na konferencję samorządową. „Prosimy o obecność” – powiedział. Jak się okazało, zostałem wyróżniony dyplomem „Lider Samorządu 25-lecia” w kategorii miast na prawach powiatu. Wyróżnienie to odebrałem na Europejskim Kongresie Samorządów w Krakowie.

No cóż, po wyborczej porażce to był pozytywny sygnał, znak, że dobrze zapisałem się w pamięci...

Nowe wyzwania dla Leszna? Rewitalizacja. Dokończenie drogi krajowej nr 12 i uniknięcie „wyssania” naszych mieszkańców przez Poznań i Wrocław.

Kiedys, dzisiaj nie

Piotr Pazola (były dziennikarz Radia Elka, informatyk): Leszno jako otwarte, multikulturowe miasto? Może kiedyś, dzisiaj

na pewno nie. Z obcokrajowców znajdziesz tu trochę Kazachów i Ukraińców, jakieś niewielkie grupki obcojęzycznych studentów. I tyle. Szczerze mówiąc, to zamknięte miasto o ciasnej mentalności – jak cały kraj zresztą.

Jeśli chcesz poczuć specyfikę Leszna, wejdź na stronę naszego portalu. To znakomity materiał operacyjny dla policji, socjologów, psychologów [śmiech]. Pierwsze, co zobaczysz, to wybuchy grupowej zazdrości. Jeśli ktoś się wybije, jeśli komuś coś się uda, od razu jest przedmiotem złośliwych komentarzy. Wszyscy się tu znają, wszyscy wszystko o sobie wiedzą [śmiech].

Dużo ludzi stąd powyjeżdżało. Za granicę, do Wrocławia, do Poznania.

Ja tu mieszkam ze względu na pracę – gdybym nie dostał roboty w Elce, dawno by mnie tu już nie było.

Jak tu się mieszka? Dobrze. Całkiem dobrze. Małomiasteczkowość ma swoje minusy, ale i plusy. Żyje się tu spokojnie, prosto i wygodnie. No i tanio [śmiech].

Obywatelskie Leszno

Lucyna Walczak (bankowiec, emerytka, aktywistka obywatelska): Parę dni temu byłam na „Obywatelskim czwartku”, na którym dyskutowaliśmy o promocji miasta. Wielu leszczynian wskazuje sport żużlowy jako naszą wizytówkę, ale jest też spora grupa, która absolutnie nie zgadza się z taką identyfikacją. „Nie życzymy sobie, żeby utożsamiać Leszno z żużlem” – mówią.

Moja propozycja jest taka: ciasto „brukowiec”. To wypiek o charakterystycznej powierzchni, przypominający bułki, zwijany, suchy, chyba drożdżowy. Upieczono go po raz pierwszy na święto Szlifowania Bruku. Ciasto jest smaczne, uwielbiam je, ale chyba nie cieszy się dużą popularnością. Szkoda, ono mogłoby nas wyróżniać.

A druga rzecz to Radio Elka, które ma wyjątkową siedzibę przy ulicy H. Sienkiewicza. Byłeś tam? Z ulicy widać dziennikarzy, którzy pracują przy mikrofonach, mikserach. Przejrzyste, przeszklone miejsce. Bardzo mi się to podoba. Bardzo.

Jeszcze słówko o Radiu Elka. Prowadzi ono portal elka.pl, który zrzesza bardzo aktywną społeczność komentatorów. Według mnie

to jest ewenement. Opisy wydarzeń wywołują natychmiastowe reakcje internautów.

Pamiętam news o jeleniu, który pojawił się w Lesznie. Biegał po ulicach, spał pod sklepem, służby nie dawały sobie z nim rady, w końcu zastrzeliły go.

W ciągu 3 godzin i 5 minut pojawiło się 100 komentarzy – czyli bardzo dużo.

To jest piąta władza – internauci coraz częściej wyręczają dziennikarzy, którzy rozpoczynają dyskusje na ważne dla naszego miasta tematy, ale szybko je urywają. A mieszkańcy chcą znać dalszy ciąg danej sprawy, do której media już nie wracają. Internauci domagają się miasta obywatelskiego, z większą możliwością współdecydowania, w którym polepszałaby się jakość życia mieszkańców. W mojej ocenie w Lesznie nie ma dziennikarstwa obywatelskiego. Szkoda. Nasi lokalni dziennikarze nie dość uważnie patrzą władzy na ręce. Nie dość tłumaczyć lokalną rzeczywistość.

Zalety leszczynian? Trudne pytanie, nie wiem, jak na nie odpowiedzieć! Że są otwarci, pracowici, nastawieni na pracę? No nie wiem.

Może wyróżnia nas to, że narzekamy na nasze miasto, podczas gdy ludzie z zewnątrz chwalą Leszno. Miałam kiedyś gościa z zagranicy. „Ludzie tutaj są coraz bardziej uśmiechnięci” – powiedział któregoś razu podczas spaceru.

Ludzie – właśnie, to jest nasz kapitał! Mieszka tu wielu świetnych, inspirujących ludzi.

Ważnym wydarzeniem był Czarny protest. Po demonstracji ktoś napisał w internecie, że właśnie narodziło się obywatelskie Leszno.

Pamiętam dobrze ten dzień. Październikowy poniedziałek. Było chłodno, padał deszcz. Bałam się, że nikt nie przyjdzie. Więc na Rynek szło się bez pozdrowień, w milczeniu.

A tam niespodzianka!

Frekwencja nastrajała optymistycznie. Tłum rósł w oczach. Podjeżdżało coraz więcej samochodów policyjnych, liczba patroli świadczyła o randze tego wydarzenia.

To była godzina swobodnego skandowania haseł („Mar-twe-ro-dzić-nie-bę-dzie-my”! „Jestem-myśle-de-cy-duję”!

„Wol-ność-wyboru-za-miast-ter-roru”! „Ja-rek-o-żeń-się”!) i wspiewywania hymnu protestu.

Z tłumu padały hasła i wszyscy za nimi podążali. Jedność myśli. Radość, że można się w końcu wyrazić.

Potem rozchodziliśmy się pojedynczo, bo nie dano zgody na przemarsz.

Trzy scenki, trzy oblicza Leszna.

Nagle uświadamiamy sobie, że są wśród nas osoby, które protestują przeciwko nam. Szok. Zwarta grupa, która tak naprawdę jest ostro podzielona.

Druga migawka. Uśmiechnięta pani z parasolem zaprasza pana bez parasola, żeby razem z nią skrył się przed deszczem. Była w tym jakaś czułość, solidarność.

I trzeci obrazek. Po proteście poszłam na zakupy. W sklepie dostrzegam mężczyznę – wysokiego, postawnego, w samym podkoszulku. „Nie zimno panu? – zagaduję go. – Mnie zimno, wracam z protestu. Udało się!”. A on na to: „Polski już nie ma! Ale mogę krzyczeć, ile chcę! Jeszcze jest demokracja!”.

Moja *idée fixe* to bezpłatna komunikacja miejska w Lesznie. Niestety, władze mówią „nie”. A ja uważam, że powinno się ją wprowadzić. Leszczynianie mało zarabiają i to utrudnia im dostęp do różnorodnych dóbr czy dojazd do pracy. Ja na przykład nie chodzę tam, gdzie trzeba płacić za bilety. W związku z tym jeszcze nie byłam w teatrze. Bezpłatna komunikacja mogłaby być przedsięwzięciem kulturotwórczym. Trudno zresztą wyliczyć wszystkie jej zalety – od bardziej czystego powietrza w Śródmieściu po oszczędności w budżecie rodzin.

Sport, puder i mentalność

Karolina (blogerka): No i co chciałbyś usłyszeć o tym naszym Lesznie? Najnowsze wieści? Niech pomyślę – ostatnio odbył się spacer socjalizacyjny dla psów organizowany przez jakiegoś face-ta z Gostynia. Zebrała się grupka mieszkańców, których psy miały na wspólnej przechadzce poznać się, poćwiczyć przyjazną komunikację, nauczyć się opanowywać emocje. Ciekawa inicjatywa, prawda? Ale ktoś złożył donos na piśmie, że psy biegały luzem. To

zabronione. Pewnie organizator dostanie mandat i już nigdy więcej czegoś takiego nie zorganizuje...

O! Hitem były „rynki śniadaniowe” zorganizowane na placu Metziga. Nie poszłam na nie ani razu, ale na zdjęciach fajnie to wyglądało.

Coraz więcej się u nas dzieje, ale nie wiem, czy ludzie to doceniają, czy korzystają z coraz bogatszej oferty.

Leszno jest coraz bardziej kolorowe. Murale na ścianach kamienic, parasolki na ulicy Wróblewskiego – ale, ale... ktoś ostatnio napisał w internecie, że Leszno to miasto upudrowane. Może miał trochę racji.

Medialne wydarzenia przykrywają ważne problemy. Weźmy nasze szkoły, w których jest buro, szaro i ponuro, w których brakuje – uśmiejesz się – papieru toaletowego. Kiedy zbliża się inspekcja, dyrektorzy dostają cynk i pospieszenie kupują rolki [śmiech].

Jeśli się zajrzy głębiej, będzie jeszcze gorzej. Trudno tu założyć własny biznes, fajne przedsięwzięcia upadają. Młodzi nie mogą znaleźć pracy, więc uciekają do Poznania albo Wrocławia. Nie masz znajomości, niczego nie załatwisz.

Urząd Pracy wydaje mi się nieudolną instytucją, niezbyt pomagą. Pamiętam, jak osiem lat temu próbowałam znaleźć pracę. Bezskutecznie. Masakra.

No i sprawa zasadnicza. Jesteśmy biedni, co rodzi frustrację – i na przykład skłonność do bezustannego narzekania i krytykowania. Tutaj każda inicjatywa i każdy brak inicjatywy ściąga na siebie falę hejtu.

Przykład. W tamtym roku władze zorganizowały na Rynku Sylwestra. Skrytykowano. W tym roku ze względów oszczędnościowych zrezygnowano z niego. I co? Hejt [śmiech]. Wejdę na stronę Elka.pl i przeczytam ci kilka komentarzy. Słuchaj: „Kasa poszła na premie, murale, parasolki, to już nie ma na sylwestra”. „Dobra zmiana”. „Żalosne”.

Tak to wygląda. Mentalność leszczynian: wszystko skrytykować, doszczętnie.

Co nas wyróżnia? Sport. Sport na światowym poziomie. Za kilka tygodni odbędą się tu Międzynarodowe Zawody Jeździeckie – zawodnicy przylecą nawet ze Stanów Zjednoczonych, pod tę imprezę wybudowano dwa hotele! Ale czy leszczynianie o tym wiedzą? No właśnie – nie! Cały świat wie, ale my nie wiemy, nam się nie chce wiedzieć.

Żużel – mówił ci ktoś o żużlu? Wszyscy? [śmiech] Owszem, mocno dzieli, ale też mocno łączy. Żużlowcy są popularni. Nie dziwię się, to fascynujący, strasznie niebezpieczny sport. Czy ty wiesz, że maszyny żużlowe nie mają hamulców? Tylko gaz! Naprawdę. Wchodzisz w wiraż, mały błąd i katastrofa.

Czuję słabość do tego sportu – pewnie z powodu wspomnień. W dzieciństwie tata zabierał mnie na mecze, na spacer w pobliże stadionu. Mam to więc we krwi – zapach, wielkie emocje, adrenalinę, poczucie wspólnoty.

Czy lubię Leszno? Lubię. Jest małe [śmiech]. W Poznaniu źle bym się czuła. Nie ma tu korków, a dla mnie stanie w korkach to okropne marnotrawstwo czasu. Ważną zaletę stanowi bogata oferta edukacyjna dla dzieci – pamiętaj, że jestem matką. No i przepyszne sushi w Hocho, na które przyjeżdżają ludzie z całej Polski. Wpadnij tam kiedyś, polecam.

Co jeszcze? Dużo zielonych terenów, gdzie można się wybiegać i „wyspacerować” do woli. Lasy, Karczma Borowa, Polana Trzech Dębów...

Powiem tak: tu się dużo dobrego może wydarzyć. Warunek jest jeden – zmiana mentalności.

Dziura na świat

Grzegorz Lorek (biolog, nauczyciel): Płasko, po horyzont pola pszenżyta, niedaleko fabryka keczupu. Taki surrealny obrazek leszczyńskiej mentalności: wielkie gmaszysko Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej bijącej w oczy swoją nowoczesnością, a obok, na rozjechanych trawnikach, autobusy wypełnione delegatami i orkiestrą strażacką, samochody studentów i tabliczka na sąsiednim parkingu Lidla z napisem „Nie parkować na czas zajęć”.

Jakie jest Leszno? Małe, duszne, bez pomysłu na siebie. No bo żużel czy szybownice to żadna idea. Poszedłbym w inną stronę – przecież tutaj istnieje potencjał poetycki o sile niemal kosmicznej. To jest miasto Stanisława Grochowiaka, Romana Chojnackiego. Jeszcze żyją ludzie, którzy chodzili z autorem *Płonącej żyrafy* do szkoły...

Leszno to miasto poetów, ale i muzyków – wspomnijmy tylko Romana Maciejewskiego, znakomitego kompozytora, pianistę, dyrygenta.

Sztuka – to jest właściwy kierunek.

Otwarcie Teatru Miejskiego na tym płaskowyzu – zarówno geograficznym, jak i duchowym – jest wydarzeniem rodem z kosmosu. Dlaczego? Teatr to przecież najważniejsza sprawa na świecie – pokazuje ludziom, jakimi mogliby być, a jakimi nigdy nie będą. Świadomość, że niedaleko jest taka placówka kulturalna, uspokaja mnie – faceta, który często odnosi wrażenie, że mieszka w fabryce keczupu.

Ale w związku z tym pojawia się zadanie: „Lorek, musisz zrobić wszystko, żeby twoi uczniowie zaczęli tam chodzić”. Bo na razie za mało młodych tam widuję.

Wiesz, że pierwszą sztuką, jaką wystawili, była *Moralność pani Dulskiej*? To był pierwszorzędny pomysł, podziwiam Błażeja Baraniaka, dyrektora teatru, i gorąco mu kibicuję.

Lekcja – lekcja biologii, każda inna lekcja – powinna być jak teatr właśnie, jak spektakl. Ma poruszyć uczniów, zapaść w pamięć. Ważne jest, żeby trwała dalej, działała dalej, po dzwonku. Kiedy mija tydzień i uczeń wraca do tematu sam z siebie, czuję, że jestem w porządku wobec podatnika i swojego świętej pamięci szefa, Jana Amosa Komeńskiego.

Lekcja to okno na świat. Ma zachęcać do myślenia.

Takim oknem na świat, taką kolorową dziurą na świat są też Portrety Ziemi – cykliczne spotkania z podróżnikami, które organizujemy w piątki o 18:00 w I LO.

Widziałeś na ulicy Narutowicza wymalowany smołą napis „Żydy”? Rzecz sprzed wojny. Na pierwszych zajęciach pokazuję go na prezentacji. „Wasze pierwsze zadanie domowe – mówię – którego nie sprawdzę: pójść tam i przyjrzeć się”. Po co? Żeby zachęcić ich

do myślenia, żeby wzbudzić w nich potrzebę refleksji, rozumiesz? Żeby zaciekać ich innością.

To ważne – w tym hermetycznym mieście, w którym ktoś w nocy na wszystkich tablicach wjazdowych wywiesza przekreślony znak meczetu... Ono słynęło kiedyś z tolerancyjności.

Jako nauczyciel biologii mam o wiele łatwiej niż na przykład nauczyciel matematyki. Świat jest fascynujący. Spójrz na ten atlas, spójrz na tego ptaka – przecież on jest piękny, kolorowy, rusza się.

Biologia to nie klepanie formułek, to coś o wiele więcej. Spójrz na tę półkę – tam jest stos tomików poetyckich. Często zaczynam lekcję od lektury jednego wiersza.

Lubię to miasto. Chociaż brakuje mi zieleni – zmienia przecież perspektywę fakt, że rano śpiewa ci do ucha piegża czy kopcuszek, a nie tylko kos. A teraz słyszeć jedynie kosa. To za mało. Za mało naturalnych dźwięków. Zgodzisz się chyba ze mną, że akustyka miasta jest niezwykle ważna?

Chcę tu mieszkać i chcę tu umrzeć.

Koniec końców – Leszno to zadupie, ale w pozytywnym sensie. To ciekawe miejsce. 3 godziny do Berlina, 4 do Warszawy, 15 minut do cmentarza, 5 minut do lasu.

I przestrzeń publiczna powoli zmienia się na lepsze – widać, że prezydentowi się chce, że coś robi. Taki mural choćby, świetna sprawa – idziesz ulicą i czujesz na sobie spojrzenie wielkiego ptaka.

Leszno od dziesięć lat ma taką samą liczbę mieszkańców. 62 000 plus żużlowcy [śmiech]. Ten żużel... Trzeba się od niego uwolnić.

Czy ty wiesz, że jelenie zaczynają rykowisko, jak kończy się sezon? No, tak to wygląda! Zwierzęta grzecznie czekają, aż ludzie skończą swoją hałaśliwą zabawę.

„A ile prezydent dał na żużel?” – pytają mieszkańcy i zaraz potem dopytują: „Ale dał na resztę?” [śmiech].

Spacer po Lesznie? Proszę bardzo.

Najpierw wały obronne. Kawalek puszczy w mieście, świetna sprawa. Dalej. Planty, które stanowią największe zagęszczenie starych drzew w okolicy – wiosną możesz zaobserwować 27 gatunków ptaków, poważnie. Dzieciół nawalający w lampy – fajny widok. Potem

warto dotrzeć do Szkoły Podstawowej nr 2 i przyjrzyć się zjawiskowej wieży ciśnień. Czerwona cegła – wielkie „wow”!

Niepokoi mnie jedna rzecz. „Zatankujemy bak do pełna i w 3 godziny jesteśmy w Niemczech” – takich tekstów nie słyszałem od dwudziestu lat. „Jak się zrobi bardzo źle, tniemy na zachód przez Wschowę”.

Nastroje więc nie są chyba momentami najlepsze.

Lato w Lesznie

Agnieszka Jerzyk (triathlonistka, żołnierka): Grzegorz Lorek? Pewnie, że znam, świetny nauczyciel, z życiowym podejściem, miałam z nim biologię. Każda lekcja była inna, barwna, ze slajdami.

Mówił o mnie „dziewczyna z krótszą nogą”, bo rzeczywiście jedną mam krótszą od drugiej o 2 centymetry [śmiech].

Czasy liceum to ważny etap w moim życiu – wtedy przecież zaczęła się przygoda z triathlonem. Wtedy pojawiły się pierwsze medale...

Ale korzystając z okazji, chciałabym wspomnieć o wuefście z podstawówki, panu Rafale Rosadzińskim, który odkrył we mnie talent do szybkiego biegania, i o Annie Orzełek, wychowawczyni, która wspierała mnie, gdy podejmowałam decyzję o przejściu na triathlon... A skoro wyciągasz ze mnie wspomnienia, to przywołam jeszcze Sławomira Stańczaka, który organizował pierwsze triatlony w Lesznie. Odbywały się one troszkę w innej formule, bo jedną z konkurencji rozgrywano osobno, ale wynik liczono łącznie. W tym roku Sławek wznowił organizację tego triathlonu i odbyły się zawody Triathlon Kids dla przedszkolaków i ich rodziców. Świetna inicjatywa.

W Lesznie mieszkam od urodzenia. Tutaj chodziłam do podstawówki, gimnazjum, liceum – a teraz studiuję w PWSZ. Tutaj zaczęłam uprawiać sport w klubie Akwawit Leszno.

Prawdę mówiąc, to dobre miejsce do trenowania mojej dyscypliny. Mamy stadion, na Grzybowie są lasy, gdzie można pobiegać w górzystym terenie i zrobić siłowe treningi. Co jeszcze? Trasy rowerowe. Brakuje tylko pięćdziesięciometrowego basenu i lepszego klimatu, czyli ciepła [śmiech].

W ciągu roku na obozach spędzam 200 dni, więc często zdarza mi się tęsknić za Lesznem, za rodziną, która tutaj mieszka.

Jakie jest Leszno? Coraz ładniejsze. Zwróć uwagę na odnowiony plac Jonsona, ulicę Chrobrego.

Piękna była akcja z kolorowymi parasolkami, które zawisły nad ulicą Wróblewskiego. Świetny efekt.

Według mnie to miasto się rozwija. Jest doceniane przez ludzi z zewnątrz. Jakiś czas temu kolega z Warszawy powiedział mi, że urzekł go nasz Ratusz i Rynek.

Coraz więcej pojawia się obcokrajowców.

Jacy są leszczynianie? Lubią luksus [śmiech]. Spójrz na nasze restauracje – urządzone z gustem, mające swój klimat, jednym słowem: ekskluzywne jak w dużym mieście.

Mieszkańcy są coraz bardziej otwarci... Chociaż, chociaż – kiedyś lepiej bawili się na imprezach otwartych. Podrygiwali, podśpiewywali, teraz tylko przyglądają się. Nie wiem, może to kwestia tego, że wszyscy młodzi wyjechali za granicę.

Ostatnio miałam spotkanie w gimnazjum i muszę powiedzieć, że młodzież jest boska.

Żużel jako wizytówka Leszna? Powiem tak: miałam przyjemność poznać chłopaków, byłam z nimi kilka razy na obozach, widziałam, jak ciężko trenują – jestem pod wielkim wrażeniem. Lubię chodzić na ich mecze, jestem wielką fanką. Ale szkoda, że pozostałe sporty są przez władze traktowane po macoszemu. Poza tym żużel wcale nie jest tak bardzo popularny we wszystkich polskich miastach, dlatego przydałoby się coś innego, coś bardziej uniwersalnego. Problem w tym, że nie wiem co [śmiech].

Jeszcze jedno: wbrew pozorom sport wcale nie jest u nas odpowiednio rozwinięty. Można by to mocniej podkreślić. Koszykówka, piłka ręczna, strzelectwo, szermierka, speedrower, pływanie – o tych dziedzinach za mało się pisze, za słabo się je promuje.

Ulubione miejsca? Smoczyk, czyli stadion im. Alfreda Smoczyka. Plac Metziga – tam jest stary dąb, nasz Bolek. Wielkie drzewo z wielką mocą i wielką historią. Bolek najwięcej z nas widział

i najwięcej z nas wie. Na tym placu położony jest Kościół Świętego Krzyża, do którego często chodziłam na msze – mam do niego sentyment.

Rynek, a na nim kawiarnia Delicje! Uwielbiam słodczyce, więc często zapraszam tam znajomych na kawę.

Bardzo lubię lato w Lesznie – można wtedy posiedzieć w ogródkach i nacieszyć oczy ładnymi widokami.

Jak określiłabym w kilku słowach Leszno? Trudne pytanie [śmiech]. Może tak: piękne, miłe, rodzinne.

Póki co nie planuję wyprowadzki, choć nie mówię „nie”. Ale myślę, że tylko jedna rzecz mogłaby mnie wyciągnąć z Leszna. Jaka? Miłość...

Powoli kończy się poniedziałek. Siedzę w samochodzie, który zaparkowałem na placu Metziga. W głowie słyszę opowieści leszczynian. Muszę odpocząć, jestem wykończony, choć zaintrygowany. Jutro zacznę odsłuch nagranych rozmów, dzięki którym w końcu mogłem zanurzyć się w Lesznie. Nagle przypominam sobie obrazek z Kościoła Świętego Krzyża: dwóch bezdomnych siedzi w ławce, jeden z nich trzyma w dłoni kawał suchego chleba i ze smutną miną gryzie go łapczywie. Nie wiem dlaczego, ale utkwiło mi to mocno w głowie. Dźwięk przychodzącego SMS-a, to Lorek: „Wykonać na płaskowyżu”.

Michał Lorek – (ur. 1978), pisarz, wykładowca. Adiunkt w Zakładzie Literatury i Kultury Nowoczesnej IFP UAM, gdzie bada techniki przyciągania uwagi odbiorcy. Prowadzi kursy ze storytellingu w szkole kreatywnego pisania Maszynadopisania.pl. Miłośnik kultury popularnej, uzależniony od amerykańskich seriali. W 2014 roku wydał *Martwe ciała*, reportaż o Edmundzie Kolanowskim, seryjnym zabójcy z Poznania, a w 2016 roku powieść kryminalną *Mężczyzna w białych butach*, także inspirowaną prawdziwym historią (we współpracy z Waldemarem Ciszakiem, adwokatem). Obecnie pracuje nad cyklem kryminalnym „Dekada”, który jest osadzony latach 90.



A close-up portrait of a man with a shaved head and a light beard, looking directly through the viewfinder of a camera. The camera's lens and part of its body are visible in the foreground, slightly out of focus. The background shows a dramatic sunset or sunrise with a gradient of orange, pink, and purple clouds over a dark horizon. The man is wearing a dark blue hooded sweatshirt.

PRADAWNA CHĘĆ
PALENISKA

PIOTR PAZOŁA



Michał Kałużny to leszczynianin, absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Poznaniu na kierunku fotografii. Od kilku lat posiada własne obserwatorium astronomiczne zlokalizowane kilkadziesiąt kilometrów od Leszna. W 2015 roku wyłącznie z jego zdjęć powstał kalendarz firmy American Express, wydawcy kart płatniczych zza oceanu. Rok później cztery jego zdjęcia znalazły się w kalendarzu astronomicznym „Gazety Wyborczej”. Oddajmy mu głos.

Kilka migawek z moich wypraw.

Na pole nagle przyjeżdża facet w cabrio. Jest późny październik. Duży koleś wysiada i pyta:

- Co panowie tu zakopują?
- Nic nie zakopujemy, tylko w niebo sobie patrzymy.
- Aha, to do widzenia.

Pierwsza myśl, która przysła im do głowy: „parę rzeczy jest tu już pewnie zakopanych”.

Zanim postawiłem obserwatorium, też tak jeździłem. Ten najbardziej znany rój, który najtrudniej się fotografuje, czyli Perseidy, widać w końcówce sierpnia. Raz podjechał do nas myśliwy i powiedział, że sądził, że jesteśmy zwierzyną i chciał nas odstrzelić, ale nie miał pewności... Jak już byliśmy bardziej wyluzowani i niestraszni nam byli myśliwi, to często leżeliśmy na leżakach. Czterech koleś, a dookoła jeżdżą kombajny.

Inna historia, jesień. W ogóle bym nie zarejestrował, kto to jest, gdyby nie to, że zatrzymał się koło nas. Był z gosposią. Zaczął tłumaczyć, co tu robi. Gdyby po prostu przejechał, w ogóle by mnie to nie zaintrygowało. A tak, trafiłem w polu na proboszcza.

Raz pojechaliśmy ze znajomym w Bieszczady. Jest tam najlepsze niebo w Polsce. Druga albo trzecia noc obserwacyjna, kumpel ogląda przez lornetkę niebo. Ono jest niesamowite, niezanieczyszczone. Widzisz tak dużo rzeczy, że nie da się tego porównać z naszym grajdółkiem. Kumpel stoi, ja siedzę na krzeselku.

- Maciej, to w brzuchu ci tak burczy?
- Nie... A dlaczego?

Usłyszeliśmy wyraźne warczenie, a we wsi zaczęły szczekać psy. Zwialiśmy, zostawiając sprzęty. Na polu zostało z 70 000 złotych. Następnego dnia znaleźliśmy ślady misia. Przechodził przez wieś.

Ale nie miał zamiłowania do astronomii, sprzęty były niejadalne i kompletnie je olał. Minął nas wtedy. A to okolice Baligrodu, gdzie jest najwięcej niedźwiedzi w Polsce. Może woń whisky, która się sączyła tego wieczoru, nas uratowała i żaden inny atrakcyjny zapach się do nosa misia nie przedostał.

Są dwa etapy robienia zdjęcia astronomicznego. Pierwszy to akwizycja materiału, pozyskanie go. Drugi to obróbka. Wersji danego zdjęcia powstaje co najmniej kilka. Wybieram zwykle tę, która mi się najbardziej podoba. Chyba że robię jakieś zdjęcie pod publiczność, takie kolorystycznie łatwiejsze do przełknięcia. Wrzucasz kolorowe zdjęcie na Facebooka, takie wiesz! I 300 polubień. Wrzucasz takie, gdzie na jednym bardzo wąskim wycinku kadru znalazło się 500 galaktyk, i nic. 60 galaktyk z katalogu NGC i IC. Wizualnie są mało atrakcyjne. To jest gromada Abella. Abell 1656. Typowo wiosenny, drugi warkocz Bereniki, Panna. To gwiazdozbiory widoczne sezonowo – późną zimą, wiosną – gdy patrzysz poza naszą galaktykę, na zewnętrzną stronę Drogi Mlecznej, czyli na Wszechświat. No i tu widzę 69 polubień. Taki Forsyt: 265 polubień – fotografia jest kolorowa, kontrastowa, jaskrawa. To jak ze zdjęciem weselnym.

A tu taki fajny obszar aktywny wodorowo. Mówią na te obiekty, bo są dwa obok siebie, Serce i Dusza. Mnie ta dusza bardziej świnię przypomina.

W Polsce nie ma żadnych regulacji dotyczących tego, jak ma świecić lampa uliczna. Gminy oszczędzają, kupują taki sprzęt, żeby po prostu świecił, bo ludzie chcą, żeby było jasno w nocy. Takie lampy stały ostatnio u nas na wsi. Oczywiście jak stały, to się załamałem. Są takie dwie w okolicy, mniej więcej 100 metrów od obserwatorium. Zrobiło się dużo, dużo jaśniej. Mam takie specjalne urządzenie do pomiarów i ono pokazuje, że w zenicie niby dużej różnicy nie ma, ale horyzonty są dużo jaśniejsze.

Co roku organizuję zlot astrofotografów. Już od trzynastu-czternastu lat. Grillujemy, pijemy piwo i gadamy o astronomii. Przyjechali ludzie na zlot, a te lampy zapalone. Taki jeden z bystrzejszych mówi:

– Słuchaj, tu musi być jakaś skrzynka od tego. Chodź, poszukamy. Poszliśmy. Faktycznie, wisi skrzynka na słupie. „No co, zobaczymy, nie?”. Otwarta, o dziwo. Otwieramy ją. O, zwykły wyłącznik. Czasówka z programatorem i zwykły wyłącznik, wajcha w dół. „No co? Wajcha w dół”. Jest godzina 23:30, w sierpniu. Wszyscy śpią, żadnych ruchów we wsi nie ma. Domów przy tej drodze stoi z dziesięć. Może nawet mniej. Siedem. Moja najszcześniejsza noc w tym roku!

Przez trzy kolejne pogodne noce po prostu te lampy wyłączaliśmy. Skończył się zlot, ludzie wyjechali. Dzwoni do mnie właściciel posesji, na której mam obserwatorium.

– Słuchaj, stary, jest dym. Ktoś doniósł do wójta, że ktoś wyłącza światło w nocy.

Lampy były wyłączane między 23:30 a 4:00. Żadne auto nie jeździ. Nic się nie dzieje. Droga boczna, do lasu, szybko się kończy. Ludzie chcą, żeby było jasno w nocy. Co jest, po pierwsze, nielogiczne, a po drugie wbrew fizjologii. Ale mieszkańcy chcą mieć jasno. Ja nie potrafię tego zrozumieć.

Przestałem wyłączać. Właściciel nieruchomości powiedział, że ludzie są nieobliczalni i nie wiadomo, co zrobią. Pójdę wyłączyć, a ktoś mi wbije nóż w plecy, psy spuści. Wolę nie ryzykować.

Jest taki moment, że zdjęcia rzeczywiście zaczynają wychodzić. Do tego poziomu trzeba dochodzić parę lat. Mam kilku znajomych na takim poziomie. Każdej nocy czekają, wypatrują. Ja już tak nie robię. Chociaż ostatnio realizuję pomysł na większy materiał. Z takiej listy. Z katalogu Messiera, czyli astronoma, który po raz pierwszy w historii skatalogował 110 obiektów. To taka podstawowa grupa obiektów na północnym niebie. On to opracował dawno temu. Nie pamiętam kiedy, 1850 albo 1860 rok, mniej więcej w tym czasie to skończył. Niektóre z tych obiektów to pomyłki. Obok nich znajdują się większe, dużo fajniejsze, a nikt nie wie, dlaczego Messier skatalogował akurat te. Jak porównujesz, na jednym zdjęciu masz trzy obiekty, wszystkie takiej samej wielkości, jasności, a tylko jeden skatalogowany. Cały czas mnie to zastanawia. Jaki miał do tego klucz? Optyka już wtedy była bardzo dobra, więc może wybierał losowo? Cholera wie! Kosmos, faktycznie.

Katalog Messiera obejmuje różnego rodzaju obiekty: od mało efektownych gromad otwartych po jakieś galaktyki, które mają przedziwne kształty. Są tam totalnie abstrakcyjne mgławice, to jest coś z wnętrza naszej galaktyki. Niektóre z tych mgławic są przekiczowate, w kolorystyce bazarowo-jarmarcznej. Aż niewiarygodne, że coś takiego gdzieś tam wisi w kosmosie.

Jestem już bardzo blisko realizacji celu. Zostało mi tylko 17 czy 18 obiektów z tej listy. W Polsce nikt nie sfotografował całego Messiera. Jest masa obiektów, kosmos jest ich pełen. Biorąc pod uwagę pogodę w naszym kraju, niemożliwe jest sfotografowanie ich wszystkich, nawet gdyby wykorzystywało się każdą noc przez całe swoje życie. Jedna sprawa to nasza zależność od technologii, ale druga – że kosmos jest tak rozległy, nieskończony, że nie masz z nim szans.

Nie da się wmówić ludziom, że światło jest złe, że należy je wyłączać. Ja zresztą rozumiem tę pradawną chęć paleniska, tłącego się gdzieś przez całą noc. Ale to, że nie zrobię zdjęcia, jest rzeczą mniej istotną od negatywnych skutków sztucznego oświetlenia – i dla środowiska naturalnego, i dla zdrowia tych ludzi. Włączanie świateł na całą noc nie ma też sensu pod względem ekonomicznym. Jest oczywiście opór ze strony firm energetycznych, które zarabiają na tym bardzo dużo. Nie czarujmy się. Ale jak przejdiesz się po biednych gminach, to zobaczysz, że po 23:00 po prostu wyłączają. Tak naprawdę po tej 23:00 światło nie jest takie potrzebne.

Okazuje się, że światło ledowe to są w gruncie rzeczy takie lampki, które świecą pełnym spektrum, bardzo nienaturalnie. Chociaż nie ma problemu, żeby ledówki świeciły bardzo wąskim wycinkiem. Koszt tego to pewnie ułamek centa na milion lampek. Tylko że to światło faktycznie jest, powiedzmy, mniej jasne. Takie światło wpływa na przysadkę mózgową, na wydzielanie melatoniny. W miastach obficie oświetlonych ledem – a przerabiano to już w paru metropoliach – sporo ludzi nie wchodzi w pełną fazę snu.

W Polsce instaluje się wszystko, co najtańsze. Widziałem już przeróżne lampy. Te, które zainstalowano na drodze przy obserwatorium, mają taką soczewkę. Wali wszędzie. A są przecież dostępne

oprawki, które świecą punktowo. Nikt na to nie zwraca uwagi. Nikt się tym nie przejmuję.

Mało tego, z badań prowadzonych na Zachodzie wynika, że sztuczne oświetlenie wcale nie wpływa na poprawę bezpieczeństwa. W ruchu drogowym, gdy jest dużo światła, ze względu na kontrast światła nie widzi się ludzi nieoświetlonych. Łatwiej kogoś potrącić. Amerykanie, którzy są bardzo pragmatyczni, przed wprowadzeniem obowiązkowego oświetlenia zrobili badania w połowie stanu. Kazali jeździć z włączonymi światłami przez pół roku i zobaczyli, jak się zmieniły statystyki. Gigantycznie wzrosła liczba potrąceń pieszych i rowerzystów.

Nieoświetleni rowerzyści to plaga. Sporadycznie trafiam na takiego, który miałby kamizelkę. Mógłbym ich policzyć na palcach jednej ręki, a często jeżdżę tą drogą w nocy. No i co? Wysiąść, zrzuć z roweru, wpierdolić czy co zrobić?

W astronomii nie operuje się powiększeniem. To jedna z mylnych kwestii. Tanie teleskopy zazwyczaj mają tysiąckrotne powiększenia, jednak jeśli spojrzysz na specyfikację teleskopu za 20 000 złotych, to wygląda ona zupełnie inaczej. Nie osiąga się takich powiększeń. W ogóle nie jest to potrzebne. Teleskopy dobiera się w zależności od tego, co chce się fotografować. Im większy teleskop, tym lepszy. Daje wyraźniejszy obraz, o większej rozdzielczości. Ale żeby z tej rozdzielczości skorzystać, trzeba mieć pozostałe elementy układu na bardzo wysokim poziomie. Na przykład bardzo dobry montaż, który prowadzi teleskop za gwiazdami. To jeden z najdroższych elementów, o czym mało kto wspomina.

Technologia jest teraz obłądna. W cenie niewielkiego auta można kupić sobie teleskop z osprzętem i robić takie zdjęcia jak największe teleskopy trzydzieści pięć lat temu. Dziś teleskopem 10-, 15-centymetrowym zrobisz to samo, do czego wtedy ktoś potrzebował teleskopu 4-, 5-metrowego!

Jakoś nigdy nie kręciło mnie, żeby sfotografować najstarszą galaktykę albo coś, co oznaczy się potem na zdjęciu jako kwazar. Zwykle te obiekty, które dają się zarejestrować, to zwykłe kropki. Masz

żółtą kropkę na zdjęciu, i co? A ja jestem esteta. Sfotografować jakiś odległy obiekt albo jakąś starą galaktykę? Na zdjęciu to będzie parę pikseli. Mnie nie zależy na tym, żeby oznaczyć żółtą kropkę. Bardziej interesują mnie obiekty faktycznie atrakcyjne wizualnie.

Znajomi odkryli kometę w zeszłym roku. Postawili obserwatorium w Chile. Zajmują się wyłącznie planetoidami i szukają komet. I znaleźli taką. Mało tego, nazwali ją Polonia. Od nazwy obserwatorium. Odkrywca ma możliwość nazwania odkrycia swoim nazwiskiem, a jeżeli odkrywców jest kilku, to zwykle mogą wpisać swoje nazwiska, ale może to być też nazwa obserwatorium. Ja próbowałem tę kometę sfotografować z Polski. Udało mi się to zrobić. Musiałem poprosić jednego z nich (jest astronomem z wykształcenia), aby znalazł mi ją na zdjęciu, które zrobiłem. Oznaczył pojaśnienie na jednym pikselu. Zaledwie jeden mały piksel jaśniejszy od miliona innych! To była ta kometa, „niefotograficzna” w ogóle.

Bardzo często fotografuję komety, ale tylko jeżeli są ciekawe, jasne. Wiele z nich to obiekty jednokrotne. Raz się pojawiają, raz przelatuja. Część z nich jest widoczna krótko po zachodzie słońca. Najjaśniej świecą, kiedy przechodzą przez peryhelium, są wtedy najbliżej Słońca. Polujesz na tę kometę, bo jeśli jej nie sfotografujesz, to już jej nie będzie. Albo będzie za sto lat! Ale wtedy nie będzie już ciebie...

Normalną rzeczą jest to, że gdy przychodzę do obserwatorium po wielu dniach nieobecności, to nigdy nie jest ono „moim miejscem”. Śmieję się, że nie należy do mnie, tylko do tych wszystkich robaków, które tam żyją. Jest ich całe mnóstwo. Używam jakichś preparatów, no ale... Już parę razy miałem gniazdo szerszenia. Przyjeżdżam jednej nocy – nic nie ma, a następnej już mała kulka wisi pod sufitem. Kwiecień gorący, ale noce jeszcze zimne. Jakiś kawałek deski znalazłem, przydusiłem, zazgrzytało coś w środku. Oczywiście, gdy ją odsunąłem, wyleciał na mnie szerszeń. I Wielka Pardubicka. Wylot z obserwatorium w trybie natychmiastowym, walka z szerszeniem za pomocą szufelki. Trafic go tak, żeby odbił się od jakiejś ściany, i zadeptać. Ale zanim to zrobiłem, parę razy miałem duszę na ramieniu. Tak więc nie jestem właścicielem tego miejsca. Pewnie te robale niezłe zadymy robią, kiedy mnie nie ma.

Zjawiska bolidowe uświadamiają ci dobitnie, gdzie jest twoje miejsce. To, że wydaje ci się, że jesteś bezpieczny, masz dach nad głową i tak dalej, nic nie znaczy. Nagle widzisz, że coś jasnego wpada w atmosferę i mocno świeci. Porównywalnie do Księżyca albo jeszcze jaśniej. Spala się. To zawsze robi bardzo duże wrażenie. Jest tak jasno, że rzucasz cień na ziemię.

Przy obserwatorium mam kamerę Polskiej Sieci Bolidowej. Ona rejestruje bardzo dużo tego typu zjawisk. Kamera jest skierowana na wschód, a kolega z Warszawy patrzy w moją stronę. I pomiędzy tymi punktami spada cała masa obiektów, wyznaczając ich dokładną pozycję. Między Leszmem a Warszawą jest 330 kilometrów w linii prostej, między nami te obiekty wpadają i spalają się. To tak naprawdę niedaleko. Średnio w nocy można zarejestrować około 8-10 takich bolidów, jeśli jest pogoda. Takich mniejszych, wiadomo. Takich bardzo jasnych, spadkowych, które nie spaliły się w pełni, jest niewiele. Zawsze mam nadzieję, że będzie ich na tyle dużo, że rozpieprzą ten bajzel.

Piotrek ma cukiernię, jest więc w tryb nocny wdrożony zawodowo. Bo musi w nocy wstawać, śpi w dzień. Ciastka kręci w nocy. To jeden z najlepszych astrofotografów, tylko skręca w różne kierunki poboczne. To nie jest dziwne, biorąc pod uwagę pogodę w tym kraju. Teraz tuninguje corvetty wieczorami. To możesz robić każdego wieczoru, a astrofotografii nie. Pomiedzy październikiem a styczniem dobrych nocy jest zaledwie kilkanaście. Piotrkowi udało się sprzedać zdjęcia firmie Apple.

Nawet jeżeli fotografujesz obiekt, który znajdziesz w tysiącu miejsc w internecie, to zdjęcie jest twoje. Ty zbierasz światło, siedzisz w nocy. Wokół tego jest taka otoczka. Trochę jak z zachodami słońca, które zwykle kojarzą się z czymś przyjemnym, miłym, więc wszyscy je lubią. Ty widzisz obraz finalny, a ja mogę do tego dołożyć świeższe, które grają w nocy, jabłka z pobliskiego sadu, które jem, albo zapach wiosennej trawy. Więc te zdjęcia mają dla mnie wartość dodaną. To jest nieprzekładalne na obraz, nigdy.

Jedziesz w ciche miejsce, gdzie właściwie nie dzieje się za dużo. Więcej wydarza się w twojej głowie. Widzisz co 5-6 minut, jak

klatka wczytuje się z kamery do komputera, i dostrzegasz obiekty. Wtedy faktycznie możesz zastanawiać się nad swoim położeniem w bloku, w mieście, nad sytuacją finansową, politycznymi budżetami i nad tym, jakie to ma znaczenie w skali Wszechświata. Tak naprawdę nie ma żadnego, w ogóle.

Zdjęcie z kometą. Akurat tutaj jest słabo widoczna. Na niej osiadła sonda Rozeta. To jeden z nielicznych pozytywnych aspektów działania cywilizacji. Te obrazki są absolutnie niesamowite – zrobiła je sonda, która dziesięć lat leciała do komety zahibernowana, wprowadzona w ruch wirowy. Doleciała, weszła w orbitę, zrzuciła lądownik, który wprawdzie bardzo pechowo wylądował. Trafił pod jakąś skałkę i nieprawidłowo stał. Za mało światła, za mało prądu do działania. Europejska Agencja Kosmiczna w ogóle ma problem z lądownikami. Ostatnio zjarali jeden na Marsie.

Kolorystyka zdjęć wynika z wielu rzeczy. Istnieją różne typy mgławic, bo mgławice są najbardziej kolorowe. Galaktyki mają różne kolory ze względu na wiek gwiazd. A mgławice świecą w zależności od tego, jaki gaz się w nich jonizuje. Na przykład mgławice planetarne powstają po śmierci gwiazdy. Następuje eksplozja i rozprzestrzenia się fala, szczątki tej gwiazdy. Z czasem rozrzucona materia zaczyna żyć. Znowu jakieś życie się z niej rodzi. Te mgławice planetarne są bardzo kolorowe, kolorystyka idzie w zielen i niebieski. Czasami żółty. Chyba że w tych mgławicach tworzą się nowe gwiazdy, gdzie świeci zjonizowany wodór, podstawowy budulec Wszechświata.

To jest M31, Galaktyka Andromedy. Zajmuje na niebie bardzo duży obszar. Sześć średnic Księżyca. Ten fragment widać przez lornetkę, gdy jest dobra przejrzystość i jest się pod ciemnym niebem. To ta galaktyka, z którą zderzymy się za jakiś milion lat.

Na Zachodzie, na przykład w Stanach, bardzo często jest tak, że astrofotografią interesują się ludzie na emeryturze. Idą na emeryturę, kupują sobie kamper, sprzęt i jadą przez pustynię, żeby fotografować gdzieś w Arizonie lub innej Kalifornii. A u nas? Nie wystarczy ci na kamper. Nie wyżyjesz. No, może na kamper ci wystarczy. Ale wszędzie jasno! Trochę do bani.

W zeszłym roku czy dwa lata temu ksiądz przyszedł do mnie na kolędę. Strasznie był gadatliwy, co było nie najgorsze, bo zwykle ci księża przychodzą i starają się dopasować do jakiegoś formatu. Zazwyczaj ta rozmowa nie jest fajna. A tu było całkiem w porządku. Do momentu, gdy zeszliśmy na temat astronomii. Tak od słowa do słowa mówi do mnie:

– Kiedyś spotkałem właśnie takich ludzi. Mieli teleskopy, obserwowali gwiazdy!

– Tak, to byłem ja – kwituję.

Po minucie już go nie było. To był ten proboszcz, którego spotkałem wtedy na polu. Przeniósł się z mniejszej parafii do miasta i po kilku latach znalazł się w moim domu. Ja go w ogóle lubię, to jest fajny koleś. Każdy ma prawo do prywatnego życia po robocie.

Kosmos, faktycznie.

Piotr Pazola – leszczyńnianin od urodzenia, rocznik 84, z wykształcenia informatyk. Pracownik Radia Elka w Lesznie, niegdyś realizator dźwięku, fotoreporter, aktualnie zawodowy programista aplikacji internetowych. Zafascynowany reportażem, w szczególności zagranicznym. Potrzebuje inspiracji i znajduje ją, będąc w drodze. W okupowanych terenach Sahary Zachodniej przy śniadaniu, zagryzając jajecznicę z kuminem na ulicach Dakhli, demaskując szpicli marokańskich władz. Posiadł umiejętność zauważania aniołów stróżów, nieporadnie niewidzialnych towarzyszy drogi w różnych zakątkach świata. Spotkał się z pasztyńskimi uchodźcami z Afganistanu w irańskim mieście Jazd. Pociągają go miejsca i historie pogrnicza, przenikania kultur i grup etnicznych. Podróżował po Turkiestanie, nieistniejącym kraju muzułmańskich Ujgurów, będącym częścią zachodnich rubieży Chin. Doświadczenie saharyjskiej hammady sprzed lat pcha go z powrotem do Afryki. Myślamy jest już z marabutami w mauretańskim Sabelu oraz poznaje pojęcie terangi, słuchając pieśni senegalskich griotów. Obecnie odkrywa ze zdumieniem, że te najmniejsze podróże, niewymagające opuszczenia najbliższych granic miasta, powiatu, województwa mogą być równie pobudzające.



Spis treści

Marcin Kącki, <i>Reportaże, które gryzą</i>	5
Karolina Gawarzewska, <i>Egoistyczna miłość XXI wieku</i>	9
Dorota Krajewska-Roszyk, <i>Kręgosłup pracownika?</i> <i>Taki sam jak dyrektora, czyli jak działają wielkopolskie firmy,</i> <i>które stawiają na ludzi</i>	25
Ewa Splawska, <i>Pradziadek z archiwum. Jak odszukać to,</i> <i>czego nie zapisano...</i>	43
Patryk Rzemyszkiewicz, <i>Muza – mój drugi dom</i>	59
Marzena Koźmińska, <i>Miasto kryminalistów</i>	83
Przemysław Semczuk, <i>Wapno tylko dla wapniaków</i>	93
Klaudia Siekańska, <i>Dlaczego ja tu jestem?</i>	105
Bartosz Olender, <i>Za mundurem panny sznurem</i>	113
Jerzy Szukalski, <i>Groby</i>	121
Czerwony Kwiat, <i>Mafia</i>	129
Marcin Karpiński, <i>607 kilometrów do wolności</i>	137
Arleta Wydrzyńska-Roszak, <i>Jawne Stowarzyszenie</i> <i>Konińskich Dziadów</i>	153
Maria Sobczak, <i>Pierwszy krok w chmurach</i>	165
Dorota Kozanecka, <i>Żeby dalej było lepiej</i>	185
Michał Larek, <i>Przedłużony weekend w Lesznie</i>	199
Piotr Pazoła, <i>Pradawna chęć paleniska</i>	219

Wybór tekstów, wstępna redakcja
Maszyna do Pisania – Magdalena Kostrzewska

Redaktor
Patrik Szaj

Autorzy fotografii wykorzystanych w książce
Michał Adamski, Andrzej Dobosz, Mariusz Forecki,
Adrian Wykrota, Michał Sita, Paweł Szott



Autor okładki i koncepcji graficznej, skład, łamanie
Piotr Zdanowicz

Korektorka
Natalia Słomińska

© Urząd Marszałkowski Województwa Wielkopolskiego Departament Kultury

© Karolina Gawarzewska, Marcin Karpiński, Marcin Kącki, Dorota Kozanecka,
Marzena Koźmińska, Dorota Krajewska-Roszyk, Czerwony Kwiat,
Michał Larek, Bartosz Olender, Piotr Pazola, Patrik Rzemyszkiewicz,
Klaudia Siekańska, Przemysław Semczuk, Maria Sobczak, Jerzy Szukalski,
Ewa Spławska, Arleta Wydrzyńska-Roszak

© Michał Adamski, Andrzej Dobosz, Mariusz Forecki, Adrian Wykrota,
Michał Sita, Paweł Szott

Przygotowanie do druku
Wydawnictwo Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej
i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu
60-819 Poznań, ul. Prusa 3
tel. (61) 664 08 75
e-mail: wydawnictwo@wbp.poznan.pl
<http://www.wbp.poznan.pl>

Institucja kultury Samorządu Województwa Wielkopolskiego

Wydawca
Urząd Marszałkowski Województwa Wielkopolskiego Departament Kultury
al. Niepodległości 34
61-714 Poznań
tel. (61) 626 68 80
e-mail: dk.sekretariat@umww.pl



Poznań 2017

ISBN 978-83-65772-07-7

Wydanie I

Druk i oprawa
Zapol Sobczyk Sp.j.
al. Piastów 42
71-062 Szczecin